

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

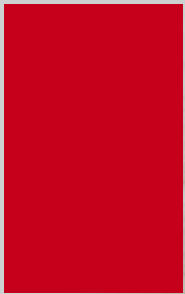
WOLNA
SOBOTA



Jak zdobyć **pierwsze
mieszkanie** ▶ 4
Miłosny trójkąt
Nawrockiego ▶ 15



WYSOKIE
OBCASY
Myśli
z kurzu
i szmat



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Anda
Rottenberg

Z wiekiem nie przybywa mądrości

▶ 24

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198



Sobota-czwartek, 15-20 lutego 2025 | Redaktorka prowadząca Ewa Wieczorek | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 38.10835, 1

Nakład 78 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA



Projektujesz, realizujesz, działasz
na rzecz szczęśliwych sąsiedztw?

Weź udział w konkursie:
Wyborcza.pl/zplkonkurs

NAGRODA
20 TYS. ZŁ!

ZAPROJEKTOWANE
POŁUDZKU
SZCZĘŚLIWE SĄSIEDZTWA

ORGANIZATOR
wyborcza.pl

SPONSOR STRATEGICZNY
otodom

KRAJ/34359246

Agnieszka
Kublik

Kara bez precedensu

Dziś zamachu stanu, o którym głosi prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Święczkowski, nie ma. Był, owszem – wiele lat temu. To Jarosław Kaczyński przechrwał się, że „po 2015 roku dokonaliśmy zmiany ustroju”.

Pierwszą ofiarą był właśnie Trybunał Konstytucyjny. Padł, jako niezależny sąd konstytucyjny. Została zależna od Kaczyńskiego maszynka do torowania mu wprowadzania owej „zmiany ustrojowej”. To sytuacja bez precedensu.

A teraz uważajmy na daty. 17 grudnia 2024 r., kilka dni po objęciu fotela prezesa TK, Święczkowski zaprosił przedstawicieli najważniejszych instytucji w państwie, m.in. premiera Donalda Tuska, marszałków Sejmu i Senatu. Chciał z nimi obgadać „zapewnienie sprawnego i niezależnego funkcjonowania Trybunału, w zgodzie z wynikającymi z Konstytucji zasadami demokratycznego państwa prawnego”.

5 lutego 2025 r. Święczkowski powiadomił Michała Ostrowskiego, zastępcę Prokuratora Generalnego Adama Bodnara - mianowanego jeszcze przez Zbigniewa Ziobrę, a którego nie można odwołać bez zgody prezydenta (to efekt tzw. ustawy betonującej) - o zamachu stanu dokonanym przez... rząd Donalda Tuska.

A więc Święczkowski w lutym 2025 powiadomił kolegę-prokuratora o zamachu trwającym od 13 grudnia 2023, o którym to „zamachu” nie miał pojęcia w grudniu 2024. Zagmatwane? Nie. Po prostu Święczkowski złożył zawiadomienie

o przestępstwie, którego nie było. O czym wiedzą wszyscy, w tym on sam. To fałszywe oskarżenie. Podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do 5 lat (art. 234 kodeksu karnego). Zatem prokuratura powinna postawić Święczkowskiemu zarzut fałszywego oskarżenia.

To sytuacja bez precedensu.

Święczkowski ma immunitet, bez zgody Zgromadzenia Ogólnego Sędziów TK nie może być pociągnięty do odpowiedzialności karnej. Takiej zgody nie będzie. To nic. Święczkowski byłby pierwszym prezesem TK, któremu prokuratura chciałaby stawić kryminalne zarzuty. Bodnar pokazałby, że z ludźmi, którzy grają z konstytucją i powagą Rzeczypospolitej, się nie patyczkuje.

Niedawno prof. Michał Romanowski, który broni sędziów prześladowanych przez poprzednią władzę, a więc i Święczkowskiego, na łamach „Rzeczypospolitej” zarzucił Bodnarowi „kapitulację w sprawie neosędziów” i „prokuratorów zasłużonych” dla poprzedniej władzy. Ci pierwsi nadal sądzą, ci drudzy - oskarżają.

- Brak sprawczości polityka dowodzi jego słabości - pisze prof. Romanowski. - Przywracanie praworządności jest podróżą w przeszłość i przyszłość, w znane i nieznanne. To, co zrobił z sądami i prokuraturą prezydent Duda, minister Ziobro, premierzy Kaczyński i Morawiecki to jest wielki kryzys.

Święczkowski właśnie ów kryzys pogłębia. Niech nie będzie bezkarny. Już samo ogłoszenie zarzutów dla prezesa TK to kara. Bez precedensu. ●

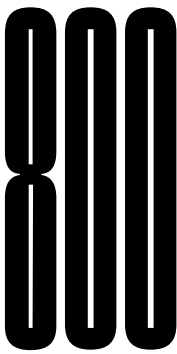
Andrzej rysuje

Teatr narodowy
Czyścić patriotyczny

Krzysztof Globisz na próbie „Straszny dwór”. „Nasi bohaterowie trafiają w polskie zaświaty, gdzie przeżywają swoistą drogę krzyżową i proces retraumatyzacji, o którym pisze prof. Bilewicz w „Traumalandzie” – mówi reżyserka Anna Obszańska. 11 luty, Teatr Stary w Krakowie

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Liczba tygodnia



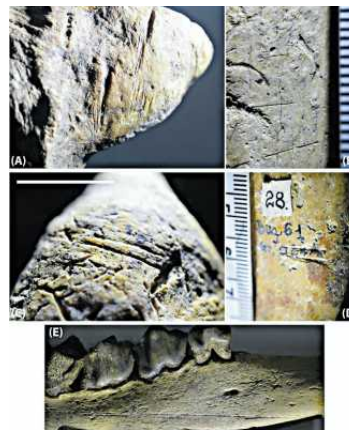
TYS. ZŁ

Kosztowały nas, podatników, podróże Karola Nawrockiego, PiS-owskiego kandydata na prezydenta.
• Gdzie podróżował
sprawdź ► Wyborcza.pl

Nasi byli tu wcześniej
Pierwszy włóczykij w Europie

Pierwsi ludzie byli w Europie już 1,95 mln lat temu, na terenie dzisiejszej Rumunii. Oznacza to, że zasiedlenie Eurazji przez człowieka miało miejsce o 150 tys. lat wcześniej niż dotąd uważano. Pierwszych ludzkich kroków na naszym kontynencie nie postawili, rzecz jasna, przedstawiciele naszego gatunku – Homo sapiens. Najstarsze znane nauce szczątki tzw. człowieka współczesnego liczą ledwie 315 tys. lat i pochodzą z Maroka

Przed Homo sapiens, a nawet równoległe z nim, na planecie, którą dziś uważamy za naszą, żyły inne gatunki rodzaju Homo. Wspólną ich cechą, pochwyczący od Homo habilis, było używanie i obróbka narzędzi (choć narzędziami posługują się nie tylko ludzie, a najstarsze znane nauce narzędzia są starsze od rodzaju Homo). Ludzi cechuje też dwunożny chód i natura wędrowca. Najstarszym włóczykijem, znanym nauce, był Homo erectus, człowiek wyprostowany, który zawędrował z Afryki aż po wyspy Azji Południowo-Wschodniej. Erectusi byli także najdawniejszymi mieszkańcami ziem obecnie zajmowanych przez Polskę. Ich liczące pół miliona lat obozowisko naukowcy odkryli w Trzebnicy na Dolnym Śląsku.



A za najstarsze szczątki ludzkie odkryte w Eurazji uchodzą szczątki erectusów z Dmanisi w Gruzji sprzed blisko 1,8 mln lat. Jednak ludzie byli w Eurazji co najmniej 150 tys. lat wcześniej – pisze międzynarodowy zespół badaczy w tygodniku „Nature Communications”. Dowodem są ponacinane kości zwierząt odkryte w Rumunii na stanowisku Grauncleanu.

Analiza izotopów tlenu i węgla odłożonych w zwierzęcych zębach wskazała, że blisko dwa miliony temu na terenie Rumunii panował umiarkowany klimat z łagodnymi zimami, sezonowymi mocnymi opadami deszczu i ze stepowo-leśną roślinnością, która przypominała florę dzisiejszej afrykańskiej sawanny. ●

Tomasz Ulanowski

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Pykniesz blika?

Nasze zbliżenie było przyjemne, a powinno być zajebiste – napisał do niej psychoterapeuta. – Spróbujemy seksu na trzeźwo? Co się dzieje na psychoterapii w Gdańsku? Reportaż Katarzyny Włodkowskiej



W tle rozmów Trumpa z Putinem

Już nikt nie śmieje się z generała

Ukraińcy wyciągają wnioski z sytuacji na froncie, uczą się własnych błędach i planują działania na kilka lat naprzód.

Czech

W zalewie informacji o rozmowach pokojowych oraz telefonicznych rozmowach Trumpa z Putinem i Wołodymyrem Zeleniśkim umykają sprawy stricte wojskowe. A to one wyznaczają moment, w którym Kreml będzie zmuszony do podjęcia negocjacji o zakończeniu wojny.

Ciężar pomocy Ukrainie spadnie na barki Europejczyków. Środowe spotkanie Grupy Kontaktowej ds. Obrony Ukrainy, tzw. Grupy z Ramstein, zwołał minister obrony Wielkiej Brytanii John Healey, a nie sekretarz obrony USA Pete Hegseth. Priorytetem Waszyngtonu są bowiem „wysilki dyplomatyczne” na rzecz zakończenia wojny, a nie dozbrajanie ukraińskiej armii – jak oświadczył Hegseth. Brytyjczycy natomiast uważają, że bez wzmocnienia Ukraińców wojna będzie się ciągnąć przez następne lata.

Putin i jego sztab generalny są bowiem przekonani, że działania zbrojne przebiegają zgodnie z planem, a zwycięstwo ma być bliskie. W takim podejściu utwierdzają ich eksperci wojskowi oraz dziennikarze w państwach zachodnich, którzy od połowy 2023 r. opowiadają o niechybnym załamaniu się ukraińskiej armii. Wówczas zakończyła się niepowodzeniem kontrofensywa, która miała otworzyć drogę do odzyskania wybrzeża Morza Czarne go i dotarcia do Przesmyku Perekopskiego – jedyne go połączenia lądowego z Półwyspem Krymskim. Gdyby plan się powiódł, koniec wojny byłby bliski. Nie ziścił się jednak. Od września 2023 ukraińskie wojsko prowadzi „strategiczną operację obronną”, czyli Rosjanie atakują, Ukraińcy się bronią. A wojna przeszedła w fazę konfliktu na wyniszczenie.

Strategia ukraińskiego sztabu zakłada twardą obronę, dopuszczając opuszczenie poszczególnych miejscowości, których utrzymanie stało się niemożliwe wskutek zniszczenia własnych pozycji bądź błędów dowództwa i rozprężenia w armii. A zdarza się i jedno, i drugie. Armia ukraińska się cofa, zaznaje strat w ludziach i sprzęcie. Jej wielkim problemem jest niedostateczna liczba zmobilizowanych i wyszkolonych żołnierzy (w 2024 roku zmobilizowano 200 tys. ludzi), dezercje oraz wciąż brak dostatecznej ilości uzbrojenia i amunicji.

Sytuacja zaczęła być krytyczna na kilku odcinkach frontu, głównie w Donbasie (walki toczą się w centrum Torecka i Czasowego Jaru) i odzyskanej latem 2023 r. części obwodu zaporoskiego (stracono Wielką Nowosilkę). Dla ustabilizowania sytuacji dowództwo kluczowego zgrupowania wojsk „Chortycia” objął gen. Mychajło Drapatyj, dowódca wojsk lądowych. To jeden z młodszych (rocznik 1982) i najbardziej uzdolnionych dowódców szczebla strategicznego, brał udział w wyzwoleniu prawobrzeżnej części obwodu chersońskiego (jesień 2022) i powstrzymaniu rosyjskiej ofensywy na Charków (kwiecień 2024). Dzięki tej nominacji z frontu dochodzą wie-

ści o znaczącej poprawie morale żołnierzy oraz ustabilizowaniu frontu na przedmieściach Pokrowska.

Ukraiński plan to obrona – oraz zadanie maksymalnych strat. Rosjanie codziennie tracą od 1,3 do 2 tysięcy zabitych i rannych. Zachodnie media donoszą o wyczerpujących się zapasach czołgów i bojowych wozów piechoty z czasów sowieckich (nowych produkuje się niewielkie ilości) oraz problemach z samolotami i helikopterami, których dawno nie widziano na froncie. Do ataków Rosjanie używają piechoty (stąd nazwa „szturmów mięsnych”), która do przemieszczania się wykorzystuje motocykle, samochody osobowe i wózki do gry w golfa. Żołnierze z Korei Północnej, których ściągnięto 10 tys., by pomogli wyrzucić ukraińskie wojska z obwodu kurskiego, nie podolali zadaniu, ponosząc na tyle duże straty, że na trzy tygodnie wycofano ich z frontu.

Do ataków powietrznych Rosja używa obecnie przede wszystkim dronów, bo efektywność uderzeń rakietowych – masowych zimą ubiegłego roku – znacząco spadła po tym, jak ukraińska obrona przeciwlotnicza otrzymała 8 baterii Patriotów, niemieckie zestawy przeciwrakietowe IRIS-T SLM i zestawy przeciwlotnicze z innych państw. Zaczęła też do zwalczania rakiet używać znacznego sukcesu operacji w obwodzie kurskim, która pokazała, że wojsko wciąż dysponuje potencjałem ofensywnym. To ważna wypowiedź, bo jednym z zasadniczych wyzwań obrony kraju stały się problemy w systemie kierowania wojskiem po zdymisjonowaniu rok temu gen. Walerija Żaluźnego. Wraz z nim z czynnej służby zwolniono kilkunastu innych generałów i tego uszczerbku nie udało się zasklepić do dziś.

„Wojen nie wygrywa się w obronie” – dwa tygodnie temu oświadczył gen. Oleksandr Syński, głównodowodzący Siłami Zbrojnymi Ukrainy. Podkreślił przy tym znaczenie sukcesu operacji w obwodzie kurskim, która pokazała, że wojsko wciąż dysponuje potencjałem ofensywnym. To ważna wypowiedź, bo jednym z zasadniczych wyzwań obrony kraju stały się problemy w systemie kierowania wojskiem po zdymisjonowaniu rok temu gen. Walerija Żaluźnego. Wraz z nim z czynnej służby zwolniono kilkunastu innych generałów i tego uszczerbku nie udało się zasklepić do dziś.

Ma to zmienić nowy wiceminister obrony. Generał Jewhen Mojsiuk, zastępca Żaluźnego w latach 2021-24, odpowiada za mobilizację i szkolenie żołnierzy.

System organizacyjny armii ma się opierać na korpusach, a nie na brygadach i zgrupowaniach operacyjnych, co ma zapewnić lepsze dowodzenie oraz stopniowe wprowadzanie nowo sformowanych brygad do działań bojowych. Korpusy składać się będą z 3-5 stałych brygad (dotychczas „szatkowanych” dla potrzeb określonych operacji), co pomoże zapewnić jednolitość dowodzenia wojskami na określonych odcinkach frontu. I dzięki nim nowo sformowane jednostki będą stopniowo wprowadzane do działań bojowych, co pozwoli uniknąć masowych dezercji, jak w wyszkolonej we Francji 155 brygadzie.

Mężczyźni w wieku 18-24 lat będą mogli służyć w wojsku – gdyż na ich

powołanie nalegają Amerykanie – lecz jedynie na podstawie jednorocznego kontraktu. To duża zmiana, bo dotychczas obowiązkowi mobilizacyjnemu podlegali mężczyźni od 25 roku życia. Ze względu na strukturę demograficzną społeczeństwa: roczniki urodzone w okolicach roku 2000 są najmniej liczne, chodzi też o to, by najmłodsi mężczyźni mogli założyć rodziny i mieć dzieci, bo wojna i masowe migracje za granicę i wewnątrz kraju spowodowały katastrofalne obniżenie liczby urodzeń. Zasadniczym problemem systemu mobilizacji i szkolenia poborowych stała się „busyfikacja” (od „busa”, czyli autobusu, do którego ładowano złapanych na drodze poborowych) i krótki okres przygotowania żołnierzy. W społeczeństwie powszechne stało się przekonanie, że pobór do armii, a w szczególności piechoty, oznacza pewną śmierć.

Nowe kierownictwo Pentagonu zarządziło przegląd planów dostaw uzbrojenia pod kątem szerszego wykorzystania sztucznej inteligencji i dronów. Bo plany z końcówki rządów Bidena uwzględniają nowe realia technologiczne w zbyt małym stopniu

Podstawowe zadanie gen. Mojsiuka to zmiana tego stanu. Jeśli mu się uda, sytuacja na froncie może zmienić się znacząco. Tym bardziej że rodzimy przemysł zbrojeniowy produkuje już jedną trzecią amunicji i uzbrojenia, szczególnie dronów, potrzebnych swojej armii.

Słowem, Ukraińcy wyciągają wnioski z obecnej sytuacji na froncie, uczą się własnych błędach i planują działania na kilka lat naprzód.

Przebieg zdarzeń potwierdza diagnozy Walerija Żaluźnego, zdymisjonowanego w zeszłym roku głównodowodzącego przez pierwsze dwa lata wojny, pozostającego najbardziej popularną osobistością w kraju. Jak te przedstawione późną jesienią w Chatham House – najważniejszym brytyjskim think tanku od polityki zagranicznej – o radykalnie zmieniającym się sposobie prowadzenia wojny. „Zachodnia prasa i generałowie śmiali się ze mnie. W 2024 r. w walkach uczestniczy rozwinięta technologia, wprowadzona przez sztuczną inteligencję. Już nikt ze mnie się nie śmieje”. Słowa o zakończeniu latem 2023 ery konfliktów zbrojnych na wzór wojny w Korei (1950-53) były echem jego dyskusji z amerykańskimi dowódcami podczas nieudanej kontrofensywy.

Po kilku tygodniach ciężkich walk Żaluźny nakazał zmianę uzgodnionego z Amerykanami sposobu przełamania linii obronnych Rosjan. Wstrzy-

mał używanie całych brygad wyposażonych w zachodnie czołgi i wozy bojowe, zarządził przejście do działań małych grup szturmowych, wspomaganych jedynie przez ciężki sprzęt. W Kijowie krążą legendy na temat sposobu, w jaki spierał się z amerykańskimi dowódcami o kontynuowanie operacji bez względu na ofiary, by zdobyć Tokmak – cel letniej ofensywy. Mówił im, że wojna w Ukrainie przypomina największą bitwę pancerną podczas II wojny światowej na Łuku Kurskim w 1943 r., a nie operacje w Afganistanie i Iraku. W odpowiedzi miał usłyszeć, żeby nie był taki pewny siebie, bo „jeszcze niczego nie wygrał”.

Wnioski Żaluźnego o decydującej roli technologii, w szczególności sztucznej inteligencji, idą daleko. Czy – zadał retoryczne pytanie – podstawą bezpieczeństwa globalnego pozostają myśliwce, lotniskowce i super drogie rakiety? „Zasmucę nieco państwa. Niestety, nie są”. Na dowód prawidłowości diagnozy może przedstawić Bitwę o Morze Czarne, jak nazwano zmagania o przegonienie rosyjskiej Floty Czarnomorskiej z zachodniej części akwenu, wygraną dzięki ukraińskim dronom morskim. Zdolnym nie tylko zatapiać okręty, lecz również zestrzeliwać helikoptery i samoloty. Z kolei drony lotnicze uderzają w rosyjskie rafinerie, centra logistyczne i magazyny amunicji kilkaset kilometrów za linią frontu. A miesiąc temu ukraińska armia wykonała natarcie z wykorzystaniem wyłącznie robotów.

Ujawnienie przez chińskie laboratorium modelu „rozumowania” RI DeepSeek, porównywalnego z modelami wyprodukowanymi przez słynne OpenAI, Anthropic i Meta, wywołało prawdziwy wstrząs w USA. Chiński produkt kosztował niewielką część tego, co wydali amerykańscy giganci z Doliny Krzemowej.

W cieniu tej sensacji nowe kierownictwo Pentagonu zarządziło przegląd planów dostaw uzbrojenia pod kątem szerszego wykorzystania nowoczesnych technologii, sztucznej inteligencji i dronów. Bo plany z końcówki rządów Bidena uwzględniają nowe realia technologiczne w zbyt małym stopniu. W piątek 7 lutego Trump poinformował, że polecił Elonowi Muskowi przyjrzenie się strukturze kosztów Pentagonu. Sam multimiliarder zapowiedział, że chodzi w szczególności o wzrost wydatków na nowoczesne technologie i sztuczną inteligencję, bo z obecnym uzbrojeniem USA nie wygrają następnej wojny.

Żaluźny – który obecnie jest ambasadorem Ukrainy w Wielkiej Brytanii, co w kontekście zmian „formatu Ramstein” nabiera dodatkowego znaczenia – ocenia, że przełomu technologicznego w uzbrojeniu armii należy oczekiwać w 2027 r. Wówczas trwająca „rewolucja” osiągnie punkt krytyczny, a wypracowywane obecnie modele będą powielane przez kolejne dziesięciolecia.

Aż do następnego przełomu technologicznego. ●

Mirosław Czech

WAŻNY TEMAT



Marzenie

Lawsze wolę mówić o planach niż marzeniach, ale gdy mowa o mieszkaniu, to jednak mówię o marzeniu – mówi Małgosia, 32-latką z Wrocławia.

Bardzo chciałaby mieć swoje, nie żyć z przekonaniem, że spona komuś kredyt. Wolalaby spłacać własny, urządać mieszkanie po swojemu, inwestować w nie. Teraz duża część jej wynagrodzenia idzie do czyjejs kieszeni.

Mieszkanie, które wynajmuje, ma około 43 m. Jest w kamienicy, blisko centrum, ma dwa pokoje, małą kuchnię, mikrolazienkę z prysznicem. Płaci za nie 2,1 tys. zł plus rachunki (zimą tylko gaz wynosi nawet 700 zł miesięcznie). Małgosia wie, że to mało – jest beneficjentką pandemii, gdy ceny wynajmu spadły, a w jej przypadku wiele później nie wzrosły.

Własnego mieszkania nie kupi, bo nie może wziąć kredytu. Pracuje na śmieciówce w branży mediowej, zarabia mało. Kredytu by nie dostała, zresztą nie ma z czego odłożyć na wkład własny. Przeszkadza też brak stabilizacji – bez umowy o pracę nie odważyłaby się wziąć kredytu. – Kształcisz się, dajesz z siebie wszystko, a to zawsze za mało – mówi. Nigdy nie sprawdzała jednak, czy i na jakie mieszkanie byłoby ją stać, nie rozmawiała z żadnym doradcą kredytowym.

Może mogłaby zmienić pracę, a nawet branżę, ale robi to, co lubi, i to, co zawsze robić chciała. – Nie mam pomysłów na inną karierę.

O pierwszym mieszkaniu

Z warszawską pensją i krośnieńskim cenami za metr wybór wydawał się Anicie oczywisty.

Edyta Bryła



FOT. GETTY IMAGES

Jakakolwiek zmiana jawi się jej jako bardzo trudna.

Zacisnąć zęby, iść do pracy w korpo i podnieść materialny komfort życia? Nie chciałaby, bo zawsze uważała, że trzeba zawodowo robić coś, w co się wierzy. Ale nie znaczy to, że jest pogodzona ze swoją ograniczającą sytuacją – nie ma przekonania, że ukochana praca jest ważniejsza niż mieszkanie.

Do tego widzi, że jej znajomym powodzi się lepiej. Często mają piękne mieszkania, ciągle podróżują. – Gdy zostajesz w tyle, obniża ci to poczucie wartości. Czujesz się jak przegryw. Duże jest ciśnienie, żeby do trzydziestki wszystko mieć ogarnięte – mówi.

Jednak znajomi chodzą na kompromisy. Jej koleżanka kupiła w Warszawie swoje pierwsze mieszkanie, ale jest małe. W sypialni prócz łóżka nic więcej się nie mieści, szafa stoi w przedpokoju. Ale jakby nie rodzice, koleżanka nie miałaby nawet tego. Do stała od nich w prezencie pieniądze na wkład własny, które sami odłożyli wielkim wysiłkiem.

Przyszłość? Małgosia boi się biedy. Ale ma też wciąż rodzinny dom, w którym mogłaby zamieszkać. To uspokaja.

Na mieszkanie, które bardzo by jej się podobało, chętnie zadłużyłaby się nawet na dekady, na inne niekoniecznie. Nie wyobraża sobie wyprowadzki daleko za miasto (kochi życie miejskie) czy do mieszkania, w którym by się męczyła, bo na przykład ma widok na okna sąsiadów.

Bliscy są wspierający, nie dziwią się, że mieszka w wynajmowanym – rozumieją, że to nie czasy, gdy

już bardzo młode małżeństwa zamieszkiwały w swoich nowo wybudowanych domach. – Całe szczęście, że chociaż rodzice tak mogli, bo dzięki temu ja będę się miała gdzie podziąć – wzdycha.

Jej siostra pobudowała się za miastem i żałuje. To działka na wsi, dla coraz starszych dzieci trzeba być szoferem, pieszo nie dotrą nawet do szkoły, bo daleko. Siostra i jej mąż tęsknią za wygodą i miejskimi usługami. Tylko czekają, by dzieci wyszły z domu i można było wrócić do miasta.

Zdolność kredytowa singla

Czy tylko szczęściarze mogą dziś kupić pierwsze mieszkanie? Zależy od definicji szczęścia. – Ja na to tak nie patrzę. To bardziej kwestia ogromnego wysiłku, intensywnej pracy, większej dyscypliny finansowej – uważa Honorata Skrzypek-Komorowicz, doradczyni kredytowa.

Jednocześnie przyznaje, że większość osób marzących o pierwszym mieszkaniu nie może sobie na nie pozwolić. Powody są różne – wiele zawodów wiąże się z niskimi zarobkami i niewielkimi perspektywami awansu.

– Takich osób jest bardzo dużo. Dlatego wielu młodych wybiera zawody dobrze płatne niekoniecznie z pasji – dodaje ekspertka. – Dzisiaj kredyt jest dostępny głównie dla tych, którzy dobrze radzą sobie na rynku pracy i potrafią oszczędzać. Przy minimalnym wynagrodzeniu i bez wsparcia z zewnątrz jest to niemożliwe.

Podkreśla, że kupno mieszkania nigdy nie było łatwe – ceny nieruchomości w Polsce zawsze były wy-

Joanna słyszała: „Kupisz mieszkanie, a mąż przyjdzie na gotowe. Lepiej zaczekaj”

sokie w stosunku do zarobków. Faktycznie, kredyty były bardziej dostępne w czasach niższych stóp procentowych, ale nawet wtedy stanowiły ogromne obciążenie dla budżetu domowego.

To nie tylko subiektywne odczucie, że młodym trudniej jest kupić pierwsze mieszkanie niż starszym pokoleniom. Dziś zdolność kredytowa singla, który zarabia 4,5 tys. zł na rękę, wynosi 286 tys. zł. Przy zarobkach 7,5 tys. to już około 500 tys. Bezdzienna para musi zarabiać łącznie 9,5 tys. żeby dostać kredyt na 600 tys., para z dzieckiem dostanie 100 tys. mniej. Samodzielna mama czy tata jednego dziecka dostanie kredyt na 583 tys., jeśli zarabia 9,5 tys. na rękę, a jeśli ma minimalną krajową, może liczyć tylko na 155 tys. kredytu.

– Jeśli spojrzeć na to, jak zmienia się dostępność kredytowa, to dziś wskaźnik jest niższy niż w latach 2014-21, choć wyższy niż w pierwszej dekadzie XXI wieku – mówi Jan Dziekoński, ekspert rynku nieruchomości.

I oczywiście o wiele łatwiej kupić mieszkanie dziś niż w latach 90., gdy kredytów hipotecznych nie było prawie wcale lub były one bardzo wysoko oprocentowane.

Ale na korzyść młodych przemawia to, że jesteśmy coraz bogatsi, mamy jeden z najszybciej rosnących PKB, a średnia płaca wynosi już 80 proc. uniijnej średniej. Dzięki mobilności i pracy zdalnej mamy możliwość zachować wysoko płatne stanowiska i przeprowadzić się do tańszej lokalizacji. To jednak dotyczy oczywiście wąskiej grupy zawodów.

Ale szybciej bogacą się też rodzice, którzy mogą wesprzeć dzieci w kupnie mieszkania i często to robią.

Ogółem kupujący mieszkanie najczęściej są w wieku 30-40 lat. Od dłuższego czasu stanowią 35 proc. wszystkich kupujących, a 20-30-latkowie – 20 proc. – wynika z analiz Metrohouse i Credipass (dane dotyczą rynku wtórnego). Zmieniają się za to cele kupna. W 2019 roku 35 proc. wszystkich transakcji dotyczyło pierwszego mieszkania, 31 proc. zakupów było inwestycyjnych, a 17 proc. przenosiło się do większego mieszkania.

W pandemii kupujących pierwsze mieszkanie mocno ubyło, do mniej więcej 10 proc., potem duży wzrost zaliczyli na skutek programu „Bezpieczny kredyt 2 proc.”. Na koniec 2023 roku stanowili rekordowe 41 proc., do połowy roku 2024 spadli już do 21. 26 proc. kupowało mieszkania inwestycyjnie.

Z doświadczenia Skrzypek-Komorowicz wynika, że największą grupę kredytobiorców kupujących pierwsze mieszkanie stanowią osoby z pokolenia Z, w wieku 25-30 lat – zarówno pary, jak i single. W dużych miastach szukają kawalerek, a w mniejszych miejscowościach część z nich rozważa domy. Osoby starsze częściej kupują kolejne, większe mieszkanie lub dom, gdy są na etapie zakładania rodziny.

Jacek Kownacki, ekspert ds. nieruchomości z Wrocławia, uważa, że ta największa grupa kupujących pierwsze mieszkanie jest trochę starsza, w wieku 27-34 lat. 25-latkowie zdarzają się rzadziej, bo nie mają na tyle stabilnej sytuacji finansowej, by brać kredyt. Barierą są jednak nie tyle dochody, ile wysokie stopy procentowe. – Jeszcze kilka lat temu, gdy stopy były niskie, kredyty były tak tanie, że niemal każdy mógł go wziąć. Pytanie, w jakiej sytuacji byli ci najmniej zarabiający, gdy raty urosły, a zarobki nie zdążyły znacząco się zmienić – mówi.

Potwierdza, że u większości młodych kredytobiorców rodzina partycypuje we wkładzie własnym przy najmniej częściowo.

W 2019 roku kupujący mieszkania po raz pierwszy wydawali na nie średnio 288 tys. za 55 m kw., w 2024 – 462 tys. (metraż prawie ten sam).

Gdzie mieszkania są najtańsze? Najtańsze mieszkanie w Polsce wielkości 50 m kw. wystawione na Otodom kosztuje 66 tys. i znajduje się w Rokitnie w woj. lubelskim. To 1,3 tys. zł na metr. Czynsz wynosi 58 zł. Drugie jest w Dublinach w woj. warmińsko-ma-

zurskim i kosztuje 100 tys. Oba są w stanie do zamieszkania.

Najdroższe mieszkanie tej wielkości jest w Warszawie za 3,5 mln, czyli 70 tys. za metr.

Najdroższe mieszkanie w ogóle kosztuje 20 mln zł – to Złota 44 w Warszawie, ponad 200-metrowe lokum za prawie 100 tys. za metr.

Średnie ceny wynoszą: 18,2 tys. za m kw. w Warszawie, 17,4 w Krakowie, 14,5 we Wrocławiu, 15,8 w Trójmieście, 8,5 w Łodzi, 11,6 w Poznaniu, 8,7 w aglomeracji katowickiej. Choć ta ostatnia cena jest jedną z najniższych, to rok do roku zaliczyła największy, 12-procentowy wzrost (dane gethome).

Ewa kupuje mieszkanie za milion

Ewa, singielka, ma 40 lat i właśnie kupiła swoje pierwsze mieszkanie – 50 m za blisko 1 mln zł w kamienicy na Saskiej Kępie, za gotówkę. Finanse nie były większym problemem. Ewa jest menedżerką wysokiego stopnia w korporacji, przez lata oszczędzała pieniądze bez określonego celu.

Poszukiwania trwały kilka lat, bo zależała jej na mieszkaniu właśnie na ulubionej Saskiej Kępie, ale oferta jest tam skąpa. Do tego większość miała trudne, zamknięte układy – to projekty często przedwojenne. Raz odstraszyła ją cena – 1,3 mln zł za 46 m (i tak sprzedała się bardzo szybko).

W końcu znalazła takie najbardziej akceptowalne, wołałaby większe, z balkonem i miejscem postojowym, ale zgodziła się na kompromisy.

Formalności były łatwe – te pierwsze zajęły kilka dni. Udało się wynegocjować lepszą cenę, choć bolesna była wypłata prowizji dla pośrednika – wyniosła 2,5 proc. ceny mieszkania. Dwa tygodnie później podpisywała u notariusza akt notarialny.

Z mieszkania się cieszy jak ze zrealizowania dużego pragnienia, zmiany w życiu. Widzi, że dokonuje jej później niż większość znajomych. I że to rzadkość móc kupić mieszkanie za gotówkę. Ale jest też jedną z bardzo nielicznych, którzy kupują mieszkanie samodzielnie.

– Mam tylko jedną koleżankę, która tak jak ja była w stanie kupić za własne pieniądze, kredytując się. Całej reszcie pierwsze mieszkania kupili rodzice – mówi.

Choć i jej jednak pomogli. Wcześniej długo korzystała z wygody mieszkania, które kupili rodzice (dla niej do zamieszkania, ale to oni są właścicielami), tyle że jej się nie podobalo (betonowe, miało problemy z wentylacją) i zapragnęła własnego.

Także w wyborze tego nowego pomagali jej rodzice. Prosiła tatę, by odpowiedział na ogłoszenie, a potem także umówił ekipę remontową. – Wiem, że jego potraktują poważniej, nie będą próbowali sztuczek. Koleżanki też tak robią, bo są przekonane, że ich remonciarze będą zlewali albo naciągali – mówi.

Programy rządowe – 2 proc, 0 proc.

Dla poszukujących pierwszego mieszkania w 2023 roku powstał wspomniany wcześniej program „Bezpieczny kredyt 2 proc.”. Można go było wziąć z oprocentowaniem 2 proc. (resztę dopłaca rząd) plus marża banku, dopłaty obowiązują przez 10 lat. Program został odwołany po pół roku przez nowy rząd, na początku 2024 roku, bo wykorzystany został limit dopłat. Zaakceptowanych zostało około 90 tys. wniosków, program kosztować będzie 16 mld zł do 2032 roku.

Miał go zastąpić program „Kredyt 0 proc.”, ale do tego nie doszło.

Już ten „2 proc.” był szeroko krytykowany. Ceny mieszkań wzrosły nawet o 40 proc., więc mimo że dla beneficjentów mieszkania stały się bardziej dostępne, wiele pozostałych zainteresowanych straciło na nie szansę. Choć teraz wzrost cen wyhamował, a nawet widać spadki, to wynoszą one najwyżej kilka procent – za mało, by jakkolwiek zniwelować skutki poprzednich wzrostów. – Program został wprowadzony w złym momencie, przy silnym popycie i bez wsparcia dla podaży, co dodatkowo rozchwiało rynek. Brak równoważą-

cych mechanizmów sprawił, że zamiast poprawić sytuację, program tylko ją pogorszył – mówi Jan Dziekoński.

Jego zdaniem mądre programy rządowe wspierające dojście do własności – jeśli już muszą być – powinny być wąskie i precyzyjne, nie wycelowane w konkretne grupy, które powinny dostać wsparcie. To ograniczyłoby ryzyko destabilizacji rynku jak w przypadku „Bezpiecznego kredytu 2 proc.”.

Beneficjentami mogłyby być rodziny z dziećmi lub osoby na nie się decydujące, premiujące każdego kolejnego członka rodziny. – Albo osoby, które zdecydowałyby się na zamieszkanie w wyludniających się gminach, gdzie jest dużo pustostanów – mówi Dziekoński.

Alicja korzysta z „Kredytu 2 proc.”

Z „Kredytu 2 proc.” skorzystała 38-letnia Alicja z mężem. Raty ich kredytu na mieszkanie w Warszawie wynoszą niecałe 3 tys. zł, poza programem wyniosłyby 4 tys. zł. Po 10 latach mają zacząć płacić raty już po cenie rynkowej. – Ale jest to obliczone tak, by pozostały na podobnym poziomie jak dotychczas – mówi Waldek, mąż Alicji.

Dzięki programowi mogli kupić nieco większe mieszkanie, niż zakładali, 58 m za 750 tys., i zmieścić w kosztach remont bez robienia go na raty czy w najniższym standardzie (choć i tak wiele prac wykonali sami, na YouTubie uczyli się kłaść wykładziny czy listwy przypodłogowe).

Mam tylko jedną koleżankę, która kupiła za własne pieniądze. Całej reszcie pierwsze mieszkania kupili rodzice

W decyzji o kupnie mieszkania kluczowa była jednak pomoc nie rządowa, ale, znowu, rodziców, bo zaoferowali pieniądze na wkład własny. Gdyby nie to, młodzi zdecydowałiby się na wynajem i placiliby więcej niż raty kredytu nawet poza rządowym programem.

Alicja wcześniej też mieszkała w mieszkaniu, które kupili rodzice, a jej wtedy chłopak – w wynajmowanym. Po ślubie zamieszkali u niej, ale było za ciasno – to było 38 m, a chcieli mieć dziecko. Przyszła zresztą kolej na młodszego brata, by tam zamieszkać. – Rodzice tą gotówką nas trochę popędzili – opowiada Alicja.

Zaczęła szukać z mężem mieszkania najpierw na rynku wtórnym, ale w ich budżecie w ofercie były tylko takie z problemami: czwarte piętro bez windy, maleńka kuchnia bez możliwości powiększenia. Kupili więc mieszkanie od dewelopera.

Alicja wspomina, że najbardziej stresujące były właśnie poszukiwania i podejmowanie ostatecznej decyzji.

Pomogło jej myślenie, że to mieszkanie nie musi być na zawsze, że może być tylko na 10 lat, jeśli na przykład potrzeby się zmienią.

Choć stresujący był też proces zaciągania kredytu, z wieloma formalnościami. Trudny był moment przelewania dużych kwot pieniędzy – to w końcu pierwszy raz w życiu. – Trzęsły mi się ręce, jak robiliśmy ten przelew. Panikowałam, myślałam że nie dam rady kliknąć „zatwierdź” – mówi Alicja.

– Mnie pomagała myśl, że wokół bardzo wiele osób przez to przechodzi, że to standardowe procedury i nie ma aż tak się czego bać – dodaje mąż.

Piotr został w Krośnie

Z kolei Piotr z Krosna kupił w tym mieście z żoną mieszkanie za 350 tys. zł. Mieszkał

wcześniej u teścia, potem zamierzał kupić mieszkanie na bezpieczny kredyt 2 proc., ale miał pecha. Zachorował, pół roku spędził na L4 i stracił zdolność kredytową. Nim ją odzyskał, programu już nie było.

Tyle dobrego, że później można było mieszkania szukać na spokojnie, bo nie było konkurencji. Nie żeby zostały na rynku apartamenty marzeń. Zdecydowali się na 67 m, za to w bloku na czwartym piętrze bez windy. Dzięki temu wyszło tanio, 5 tys. za metr, gdzie średnia to 7.

Piotr chciał być blisko rodziny i znajomych i to ze względu na nich, a nie niższe ceny, nie zdecydował się na wyjazd do większego miasta. Zresztą kredyt nawet na mniejszą kwotę w mieście takim jak Krosno jest równie obciążający jak w innych miastach, bo zarobki są niskie.

Zarabia z żoną łącznie 7 tys. na rękę. Rata wynosi 2 tys. zł, do tego 1 tys. zł czynszu. Na życie zostaje 4 tys. – Ludzie z kredytem wszędzie męczą się tak samo – mówi Piotr.

Jego siostra Anita też została w Krośnie. Wyjechała na studia do Warszawy, ale nie opłacało się jej tam zostać. To był 2011 rok. Planowała ślub i dziecko, chciała kupić mieszkanie. W Krośnie kosztowały około 3 tys. za metr, w Warszawie – 5 tys. – Wtedy to było dla mnie nie do pojęcia. Myślałam, że taki kredyt, w dodatku na życiowy start, to koszmar. Dlatego zdecydowałam o powrocie – mówi.

Nie przekonywała jej perspektywa wyższych, potencjalnie, zarobków w Warszawie z czasem. Co więcej, już wtedy dostała w stolicy ofertę pracy zdalnej za 2,5 tys. na rękę (płaca minimalna brutto wynosiła wtedy 1,4 tys. zł).

Z warszawską pensją i krośnieńskim cenami nieruchomości wybór wydawał się jej oczywisty.

Wzięła z mężem 100 tys. zł kredytu na 50-metrowe mieszkanie, skorzystali z programu „Rodzina na swoim”, placili niecałe 350 zł raty. Kredyt spłacony był w osiem lat, wtedy mieszkanie sprzedali i już bez kredytu kupili większe. Wciąż pracuje zdalnie dla firmy w Warszawie, zarabia około średniej krajowej.

Dziś ceni sobie bardzo, że w Krośnie ma blisko rodziców. – Raz jechałam autobusem do Warszawy i usiadła obok mnie kobieta w wieku mojej mamy. Mówiła, że wnuczka zachorowała i jedzie się nią opiekować, bo rodzice muszą pracować. I tak sobie pomyślałam, że moja mama ma do mnie 15 minut drogi autobusem. Nie wyobrażam sobie, żeby musiała jak ta babka udręczone na do wnuczki jechać siedem godzin – mówi Anita.

Pomógłby rynek najmu

Dziekoński uważa, że jeśli nie mamy dzieci, to czas dla młodych jest niezbyt dogodny na kupowanie nieruchomości. Taki zakup ogranicza naszą mobilność i swobodę zawodową. W razie przeprowadzki za pracą mieszkanie można wynająć, ale to nie rozwiązuje wszystkich problemów.

Kredyt wymaga bezpieczeństwa finansowego, czyli musimy mieć stały gwarantowany dochód i nie zdecydujemy się na eksperymenty. Nie zmieniamy pracy, by sprawdzić, jaka bardziej nam odpowiada, nie zrealizujemy pomysłu na firmę, który być mo-

że chodzi nam po głowie. Słowem – nie podejmujemy ryzyka i nie damy sobie przestrzeni na błędy, na które w młodości jest czas.

– Moim zdaniem lepiej zdecydować się później i nie nakładać na siebie zbyt wcześnie trudnego zobowiązania – mówi.

Wciąż wiele osób w Polsce zмага się jednak z wdrukowanym przez rodzinę i media przekonaniem, że jeśli nie posiadasz, to przegrywasz. – Dobrze byłoby, gdybyśmy dopuszczali do siebie inne możliwości niż dochodzenie do własności. Pomogłoby, gdyby rynek najmu uregulowany był tak, by miał jakieś posiadania. To znaczy: żeby wynajem był stabilny, tani i przewidywalny. Nam do tego daleko, ale w wielu zachodnich państwach dobrze to funkcjonuje – mówi.

Pierwsze mieszkanie często wymaga kompromisów

Monika zawsze mieszkania wynajmowała i myślała, że tak już zostanie. Nie chciała brać kredytu. Ale gdy wynajem 65-metrowego mieszkania, w którym zamieszkała z mężem, kosztował już ponad 5 tys., zmieniła zdanie. Zwłaszcza że w drodze było dziecko, a przez pracę zdalną rodzina potrzebowała już przynajmniej czterech pokoi.

Monika uważa się za szczęściarę – znajomy zaferował jej sprzedaż swojego 120-metrowego domu za Warszawą. Wyprowadzka z miasta była do przyjęcia, bo nowa miejscowość jest przy linii kolejowej – inaczej Monika by się nie zdecydowała. W centrum Warszawy można być w 40 minut.

Cena domu – 1,2 mln zł. Jej koleżanka za tę kwotę kupiła nieco ponad 50 m na Mokotowie. – Rata kredytu wynosi nas 4 tys. zł, mniej, niż płaciłabym za raty za mieszkanie w Warszawie. Mam ogród i nie musiałam się wynosić na daleki Wawer czy Białolękę. Czyli wygrałam życie – mówi.

Ekspertką w kupowaniu pierwszego mieszkania jest Joanna Golecka, instagramowa Pani na Swoim. Radzi obserwującym, jak zabrać się do zakupu i jakich unikać błędów. – Kupowanie pierwszego mieszkania zawsze jest trudne, formalności jest dużo, ale można tego słonia zjeść po kawalku – mówi Golecka.

Oczywistością jest, że pierwsze mieszkanie często wymaga kompromisów. Nie od razu zamieszkamy w wymarzonej lokalizacji, na wygodnym metrażu. Choć pieniądze są kluczowe, nie są jedynym wyzwaniem. Zwykle zaczynamy bowiem bez wiedzy – nie wiemy, jakie są zagrożenia na rynku wtórnym, jakie koszty dodatkowe, ile potrzeba pieniędzy na wykończenie, prowizje dla pośrednika, opłaty notarialne. Kupując pierwsze mieszkanie, często nie wiemy nawet, jakiego dokładnie potrzebujemy, co sprawia, że decyzja jest jeszcze bardziej stresująca.

Golecka wspiera zwłaszcza singielki, bo często błędnie są przekonane, że nie dadzą rady kupić mieszkania w pojedynkę. Ona była kiedyś jedną z nich. Ale gdy mieszkanie kupiła koleżanka, Golecka postanowiła też spróbować i po miesiącach starań została właścicielką. Gdy powiedziała rodzinie, co zamierza, słyszała: „Jak to, dziewczyna w pojedynkę bierze się za kredyt? Za remont?”. Albo: „Kupisz mieszkanie, a mąż przyjdzie na gotowe. Lepiej zaczekać”.

Zrozumiała, że oprócz braku pieniędzy i konieczności kredytowania się dziewczyny nawet w przypadku zakupu mieszkania dodatkowo muszą pokonać bariery związane z tym, czego oczekuje od nich społeczeństwo.

Choć w kwestii mieszkania od otoczenia dostaje się często wszystkim. Gdy mieszkanie wynajmujemy, słyszymy: „Nie szkoda ci pieniędzy? Lepiej kupić”. A gdy już kupisz: „Dlaczego Białolęka?”, „Czemu nie większe?”. – Strasznie mnie to wkurza! Jakiej ludzkie oczekują odpowiedzi? „Faktycznie, mogłam mieć nowy apartament, ale stwierdziłam, że stara dziupla w bloku bez windy też będzie OK”? Przecież zwykle kupujemy metraż taki, na jaki nas stać, i to dużym wysiłkiem – mówi Golecka. ●

Zapytajcie J.K. Rowling

Ludzie są gotowi na postępowość w wielu kwestiach, ale są pewne granice



Marcin Matczak

Wahadło ma to do siebie, że potrafi się rozhuścić. Jak jedni pójdą za mocno w lewo, następni pójdą jeszcze mocniej w prawo. I tak w koło Macieju, aż się wahadło urwie i spadnie suwerenowi na głowę.

Toczy się dyskusja, kto jest winny temu, że Trump i Musk drastycznie wychylają wahadło w prawo. Podobno winna jest lewicowa idea woke – dla jednych symbol społecznej wrażliwości na uciskniętych, dla drugich ideologiczna cenzura i agresywna poprawność polityczna.

„Financial Times” opublikował artykuł: „Gdzie woke poszło nie tak”. Sugeruje, że zwycięstwo Trumpa to reakcja na zniechęcenie przez Amerykanów zawstydzanie ludzi, że ciagle za mało tolerują odmienność i za słabo przepraszają, że są uprzywilejowani. Brytyjski dziennikarz Nick Tyrone pisze: „Jeśli liberalna lewica będzie nadal utożsamiana z »woke’owymi« moralistami, będzie karana przy urnach wyborczych”. Uważa, że polityka lewicy w sprawie transpłciowości zraziła kobiety, a jej ideologia „toksycznej

męskości” zniechęciła facetów. „To stworzyło dla Trumpa ogromną przestrzeń, w którą wjechał i zaparkował swój autobus”.

U nas Piotr Wilkin, „centrowy konserwatysta”, w poście na FB zaprzecza, że „ów nie-dookreślony woke ma być śmiertelnym zagrożeniem”. Nie zgadza się, że „tyrania empatii, podważanie fundamentalnych kategorii społecznych i zatrudnianie niekompetentnych ludzi w imię różnorodności ma zagrażać fundamentom naszej cywilizacji”. Uważa, że „największym problemem cywilizacyjnym jest obecnie kontrrewolucja sfrustrowanych białych facetów”.

Tymczasem woła jest problemem właśnie dlatego, że powoduje kontrewolucję sfrustrowanych białych facetów. Skrajna lewica jest zagrożeniem, bo ułatwia alt-prawy przejście władzy i niszczenie dzieła emancypacji dokonanego w XX wieku. Chce być liberalizmem na sterydach, bo zmiany społeczne są dla niej zawsze zbyt wolne.

Prawdą jest, że Trump z Muskiem atakują symbole porządku lewicowego z zapalem talibów, którzy w Afganistanie wysadzali w powietrze pomniki Buddy. Nie zniszczą jednak dorobku równoprawnienia – na to nie pozwolą takie nudne, libkowe wynalazki jak niezależne sądownictwo i konstytucja. Rozpadnie się stosunkowo świeży program „DEI” („różnorodność, równość i własność”), nie zmieni się 200-letnia idea praw i wolności. Ale kontrrewolucja Trumpa da energię tym, którzy na całym świecie pod pretekstem walki z lewicowym szalenstwem uzyskają mandat, by zwalczać dorobek liberalny – prawa i wolności, podział władz. Bo nie wszędzie instytucje liberalne są tak silne jak w USA.

Nie rozumiemy jednak tego, czytając Wilkina. Bo on widzi symptom, odmawiając badania, co go wywołuje. Lewica tak lubi post Wilkina, bo on ją usprawiedliwia. To post kogoś, kto narzeka, nie zapobiega. To post kogoś, kto gaslightingowo powtarza: „Czy w tym pokoju jest z nami teraz ideologia woke?”. Jest i działa, zwycięstwo Trumpa dowodem. Oraz raporty think tanków, takich jak Pew Research Center, które pokazują realność ideologii woke. W tych raportach nawet Demokraci mówią, że cancel culture to karanie ludzi za poglądy: „Jeśli ktoś się z nimi nie zgadza, uznają go za osobę tkwiącą całkowicie w błędzie i wroga. Nie ma miejsca na zrozumienie, że uzasadnione różnice zdań mogą istnieć. Jedynym bezpiecznym sposobem radzenia sobie z kimś takim jest całkowite powstrzymanie się od odpowiedzi”.

To nie wolność, to terror. Spójrzcie na
kazus J.K. Rowling, która sprzeciwiła się
wspólnym przestrzeniom dla cis- i transko-
biet. Spójrzcie, jak traktuje się ludzi, którzy
uznają, że udział osób urodzonych jako bio-
logiczni mężczyźni w zawodach sportowych
dla kobiet jest niesprawiedliwy.

Skrajna lewica chce przesunąć okno Overtona – by to, co kiedyś radykalne, stało się powszechnie akceptowalne. Zakłada przy tym, że wszystko, co radykalne, jest warte akceptacji. Dlatego korzysta z wpływu na władzę, by kolejne skrajne poglądy umieścić w przestrzeni publicznej, bez troski, jaką reakcję to wywoła. Lecz siłowe przesuwanie okna Overtona kończy się tak, że wypada ono z futryny i rozbija się na kawałki.

Dlatego zadaniem centrysty nie jest usprawiedliwiać ideologię woke, bo kontri-

deologia jest od niej gorsza. Zadaniem centrysty jest łagodzić walkę ideologiczną i dbać o równowagę społeczną. To proste jak budowa cepa: dopóki nie będzie po lewicowej stronie ludzi, którzy męskość przedstawiają jako coś wartościowego, a nie toksycznego, mężczyźni będą podziwiać supersamców. Dopóki dyskusja o transpłciowości nie pozwoli wyrazić obawy, czy decyzja o transycji podjęta wobec dziecka jest na pewno słuszną, ludzie będą nadstawiać uszu na prawicową propagandę.

Woke to nadwrażliwość ukierunkowana na małą grupę, która kończy się agresją wobec grup o wiele większych. To promocja równości, która skutkuje nierównością. To myśl groźna, bo nieszanująca społecznego equilibrium. Dla niej równowaga to zagrożenie, to akceptacja status quo. A jego zaakceptować nie można: sukcesy emancypacyjne społeczeństw liberalnych wydają się lewicy porażką. No to widzimy, co się dzieje, gdy equilibrium się zaburzy – „USA cofają się o 70 lat”, pisze Wilkin. To ma być lepsze niż status quo? U Wilkina odpowiedzi nie znajdujemy. Za to przeczytamy, że wszystkiemu winni są toksyczni mężczyźni.

Tyrone pisze, że w demokracji trzeba przyjmować wyborców takimi, jacy są, a nie życzyć sobie, by byli inni, i liczyć na to, że to zadziała. Że ludzie są gotowi na postępowość w wielu kwestiach, pokazuje to rozwój praw osób homoseksualnych, ale są pewne granice. „Wyborcy nie zaakceptują pomysłu, że biologiczna płeć nie istnieje ani że wszyscy młodzi mężczyźni mają siedzieć cicho i przepraszać za swoje przywileje. Chcacie, żeby Trumpowie tego świata przestali wygrywać? Przestańcie im to ułatwiać”. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34359463

WE WTOREK I W ŚRODĘ Z „WYBORCZĄ”

WALORYZACJA EMERYTUR I RENT

- O ile wzrosną emerytury od marca br.
- Kto może liczyć na nowe świadczenie w ramach renty socjalnej
- Kto może liczyć na rentę wdowią
- Ile wyniosą w tym roku 13. i 14. emerytura
- Kiedy najlepiej przechodzić na emeryturę

DODATKI SPECJALNE

wyborcza

czeszc 1

WOLORYZACJA RENT EMERYTALNY

Wrocław, 15 lipca 2025

Redakcja: wroclaw@wp.pl • Redakcja: 22 625 12 34

Wyższe świadczenia w 2025 roku

Wiadomo, ile wzrosną emerytalne od marca

Niemal 10 mln emery w marcu otrzymało świadczenia. Ale na tym czuj. Kolejna podwyżka wzrósł. Musi być jednak w nadmiarze.

Leżak Rostkowski

CEŚ-właściwie podał, że świadczenia będą podwyższone o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. Ale to nie jest wszystko. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku.

W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku.

Niemal 10 mln emery

W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku.

Wzrost podwyżki

W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku.

Wzrost podwyżki

W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku.

Wzrost podwyżki

W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku.

Wrocław, 15 lipca 2025

wyborcza

czeszc 2

WOLORYZACJA RENT EMERYTALNY

Dodatek dopelniający

Nowe świadczenia dla osób na rencie socjalnej

Osobom pobierającym rentę socjalną od nowego roku przysługują specjalny dodatek. Trezba jednak spełnić dodatkowe warunki.

Leżak Rostkowski

Także emerytalni, którzy pobierają rentę socjalną, mogą otrzymać dodatkowy dodatek. Trezba jednak spełnić dodatkowe warunki.

Renta socjalna i dodatkowy dodatek

Osobom pobierającym rentę socjalną przysługują specjalny dodatek. Trezba jednak spełnić dodatkowe warunki.

W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku.

W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku.

W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku.

W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku. W tym miesiącu emerytalne wzrosną o 1,2 proc. w marcu 2025 roku.

Zgodnie z decyzją Rady przysługującym z warunków planu podwyższenia renty socjalnej do wysokości przysługującej. Zmianę tego rodzaju otrzymują osoby pobierające rentę socjalną w tym roku. Zmianę tego rodzaju otrzymują osoby pobierające rentę socjalną w tym roku.

Zgodnie z decyzją Rady przysługującym z warunków planu podwyższenia renty socjalnej do wysokości przysługującej. Zmianę tego rodzaju otrzymują osoby pobierające rentę socjalną w tym roku. Zmianę tego rodzaju otrzymują osoby pobierające rentę socjalną w tym roku.

POLITYKA

A jeśli
MUSK MAR

Żeby nadążać za przepisami, przedsiębiorca na czytanie aktów prawnych powinien poświęcić 2 godziny i 34 minuty. Codziennie.

Witold Gadomski

Edy w przyszłym roku językoznawcy będą się zastanawiali nad słowem roku 2025, wysoko na liście znajdzie się „deregulacja”. Deregulować gospodarkę unijną zaleca Mario Draghi – były premier Włoch i prezes Europejskiego Banku Centralnego. Jesienią w dokumencie „Przyszłość europejskiej konkurencyjności” napisał, że konieczna jest deregulacja, ale także utrzymanie „europejskiego państwa opiekuńczego”. Najwyraźniej uznaje, że te dwie sprawy się nie kłócą.

Z Draghim zgadza się Ursula von der Leyen, przewodnicząca Komisji Europejskiej, czyli egzekutywy Unii Europejskiej, która od swego powstania stworzyła tysiące regulacji. Teraz nadchodzi czas deregulacji, oczywiście przy utrzymaniu „europejskiego państwa opiekuńczego”.

Deregulacja w Unii ma być odpowiedzią na głęboką deregulację, jaka już się zaczęła w Stanach Zjednoczonych pod rządami Donalda Trumpa i Ełona Muska. Dwaj panowie zapowiedzieli, że zaczną od wyrzucenia do kosza regulacji DEI, których ce-

lem było promowanie w firmach, a zwłaszcza w urzędach publicznych różnorodności (Diversity), równości (Equity) i inkluzywności (Inclusion).

W Argentynie prezydent Javier Milei obiecał wyjąć zbędne regulacje i związane z nimi wydatki państwa piłą łańcuchową. Uczynił to narzędzie swoją maskotką, rządzi od ponad roku i osiąga całkiem niezłe wyniki.

W wywiadzie, jaki Sebastian Ogórek przeprowadził w „Wyborczej”, Rafał Brzóska, założyciel i prezes InPostu wypowiedział 10 razy słowo „deregulacja”. Być może wywiad przeczytał Donald Tusk, który zaproponował Brzosce zajęcie się deregulacją polskiej gospodarki. Na początek wyrzucone mają być zbędne i szkodliwe regulacje wprowadzone niższymi aktami prawnymi niż ustawy.

Skoro cały świat jest za deregulacją, to nasuwa się kilka pytań. Dlaczego przez lata wprowadzano regulacje, niemalym wysiłkiem polityków, urzędników i lobbystów? Dlaczego właśnie teraz się zorientowano, że regulacji jest za dużo, bo pętają gospodarkę? Czy na pewno wszyscy są dziś przeciwni regulacjom?

Sposób tworzenia regulacji można prześledzić na przykładzie upadku Biura Podróży Kopernik w lipcu 2009 r. Obsługiwało typową polską klasę średnią, załatwiając wypoczynki all inclusive w Egipcie i Tunezji. Turyści wpłacali pieniądze, nie wiedząc, że nie docierają one do hoteli, w których mieli zarezerwowany pobyt. Na miejscu dowiedzieli się, że muszą zapłacić jeszcze raz, a ponieważ nie mieli ani ochoty, ani pieniędzy zostali wymeldowani. Konsul załatwił im powrót do Polski.

Lipiec to sezon ogórkowy, więc bankructwo biura podróży stało się na kilka dni tematem nr 1. Opinia publiczna była oburzona – jak państwo mogło do czegoś takiego dopuścić? Po czym poseł PSL Marcin Łuczak złożył interpelację, pytając z mównicy sejmowej: dlaczego biuro nie było poddane nadzorowi, czy ktoś zwrócił poszkodowanym pieniądze i jaką karę poniosą właściciele bankruta. Opinia publiczna domagała się regulacji, nadzoru i przymusowych ubezpieczeń, które muszą wykupić właściciele biur. Mało kto rozumiał, że ten nadzór i przymusowe ubezpieczenia zostaną sfinansowane przez klientów. W 2017 r. przyjęto ustawę o imprezach turystycznych i powiązanych usługach, która „transponuje”, jak mówi się w slangu biuromatycznym, dyrektywę Parlamentu Europejskiego i Rady nr 2015/2302/UE.

Ustawa wymaga, by biura podróży w Polsce miały gwarancje bankowe lub ubezpieczeniowe oraz umowy ubezpieczenia na rzecz klientów, aby zabezpieczyć interesy konsumentów w przypadku niewypłacalności. Ustawę przyjęto przy 7 głosach sprzeciwu i trzech wstrzymujących. Czy zostanie usunięta lub przynajmniej „zderegulowana”?

Problemem przynajmniej części regulacji jest to, że wyborcy nie są świadomi ich kosztów. Politycy mówią: „zależy nam na waszym bezpieczeństwie”, nie dodając, że za to bezpieczeństwo sami musicie zapłacić. A któż by nie chciał być bezpieczny.

Deregulacja mogłaby polegać na dobrowolnym poddaniu się biur podróży regulacjom i ubezpieczeniu usług. Klient miałby tego świadomość i mógł wybrać – tańszy, ale ryzykowny wypoczynek organizowany przez nieregulowane biuro lub droższy i bezpieczniejszy. Skończyłoby się jednak zapew-



ka Brytania miała przepisy wprowadzić w 2026 r., ale w styczniu Bank Anglii nieoczekiwanie przesunął termin o rok. Uzasadnieniem są niejasne jeszcze plany deregulacji sektora finansowego w Stanach. Na Bank Anglii naciskała minister skarbu Rachel Reeves, która uważa, że priorytetem powinno być zapewnienie wzrostu i konkurencyjności.

Widać jak na dłoni, że regulacje podlegają ruchowi wahadłowemu. Po kryzysie wychylają się maksymalnie w jedną stronę. Gdy pojawiają się negatywne skutki, wahadło wędruje w stronę przeciwną. Dziś Ameryka narzuca całemu światu deregulację sektora finansowego. Na kilka dni przed objęciem przez Trumpa prezydentury wiceprzewodniczący Rezerwy Federalnej ds. nadzoru bankowego Michael Barr zapowiedział, że ustąpi ze stanowiska. Był niepopularny w środowisku bankowym jako zwolennik Bazylei III. Jego następca będzie zwolennikiem rozluźnienia restrykcji. W listopadzie 2024, zaraz po wyborach, rezygnację złożył przewodniczący Komisji Papierów Wartościowych i Giełd Gary Gensler, zniechęcony zwłaszcza przez branżę kryptowalutową.

Bitcoin i jego klony to dobry przykład pożądanych regulacji, których raczej nie kwestionuje nikt poza ortodoksyjnymi libertarianami. Branża chce, by inwestycje w kryptowaluty kontrolowała nie Komisja Papierów Wartościowych i Giełd (SEC), która ma duże zasoby materialne, kadrowe i wygrywa większość spraw przeciwko firmom kryptowalutowym twierdzącym, że reguły obrotu papierami wartościowymi ich nie dotyczą, ale słabsza agencja Commodity Futures Trading Commission. Problem w tym, że gwałtowny spadek wartości kryptowalut – za którymi nie stoi państwo, jak za tradycyjnym pieniądzem, ani realne instytucje finansowe, jak za akcjami i instrumentami inwestycyjnymi, za to są wrażliwe na chwilowe nastroje i internetowe imby – może prowadzić do kryzysu na innych rynkach finansowych. Zwłaszcza jeśli spanikowani inwestorzy zaczną wycofywać środki z innych aktywów, aby pokryć straty.

Jeżeli Europa uprze się przy utrzymaniu ściślejszych regulacji banków, będzie w jeszcze szybszym niż dotychczas tempie traciła dystans do USA.

Ktoś może zapytać: co w tym złego, skoro od dawna ekonomiści – nie tylko kojarzeni z lewicą – powtarzają, że wypieranie produkcji przemysłowej przez usługi finansowe, co dzieje się w krajach najbardziej rozwiniętych, podnosi PKB, ale nie realny dobrobyt. Obrazowo: dzięki inżynierii finansowej uprawianej w City bogacą się nieliczni, dzięki inżynierii realnej w fabryce Siemensu czy Fiata zarabiają i konsumują, utrzymując inne branże, miliony ludzi. Którzy po zwinięciu się przemysłu byłiby skazani na gorzej płatne i niepewne posady w usługach.

Ale ktoś na tę produkcję musi wyłożyć pieniądze. Według raportu Draghiego Unia Europejska potrzebuje dodatkowych inwestycji w wysokości 800 mld euro rocznie. Powinien to finansować sektor bankowy, ale to będzie niemożliwe, jeżeli akcja kredytowa będzie hamowana przez nadmierne regulacje.

W październiku przywódca Niemiec, Francji i Włoch zaapelowali o powściągliwość w zaostrzaniu regulacji. W liście do dyrektora generalnego ds. usług finansowych Komisji Europejskiej Johna Berrigana wezwali, by ten organ wykonawczy UE powstrzymał się od uruchamiania nowych regulacji finansowych na dużą skalę. Stwierdzili, że w polityce gospodarczej należy kłaść większy nacisk na konkurencyjność sektora bankowego i wzrost gospodarczy. Chcą, aby Unia złagodziła niektóre przepisy, które już obowiązują, i zmniejszyła obciążenia administracyjne dla branży, stwarzając europejskim bankom równe szanse w konkurencji z bankami z in-

nych jurysdykcji. Zaproponowali też zmianę „zielonego wskaźnika aktywów” używanego do oceny, jak zrównoważone pod względem polityki klimatycznej są portfele banków. „Komisja powinna przyjąć bardziej spójne i realistyczne podejście do ryzyka klimatycznego i transformacyjnego” – napisali.

Ten list, który nie był tak szeroko komentowany, jak raport Draghiego, pokazuje, że europejscy politycy zdają sobie sprawę, że z regulacjami Unia poszła za daleko. Problem w tym, że unijne regulacje wynikają z ambitnego celu, jakim jest „europejskie państwo opiekuńcze, które jest kluczowe dla zapewnienia silnych usług publicznych, ochrony socjalnej, mieszkalnictwa, transportu i opieki nad dziećmi”. To cytat z raportu Draghiego, który jednocześnie wzywa do deregulacji.

Wcześniej czy później dojdzie do kolejnego dużego kryzysu finansowego, który zaowocuje nowymi regulacjami. Wahadło znów przechyli się w drugą stronę.

Unia jest światowym prymusem w walce z globalnym ociepleniem i trosce o ekologię. Wprowadziła szereg regulacji ochrony środowiska, takich jak dyrektywa o emisjach przemysłowych (IED), o handlu emisjami (ETS), o emisjach dwutlenku węgla z samochodów osobowych i lekkich pojazdów dostawczych. Celem jest zmniejszenie zanieczyszczeń i walka ze zmianami klimatycznymi, konsekwencją – znaczne koszty dla przedsiębiorstw. Firmy muszą inwestować w drogie technologie i procesy, aby spełnić wymagania, co może ograniczać ich konkurencyjność na rynku globalnym.

W 2016 r. koszt wyprodukowania 1 MWh przez polskie elektrownie węglowe był dodatkowo obciążony kwotą 20,5 zł wynikającą z zakupu uprawnień do emisji. Ich cena jednak szybko rosła i w roku 2021 było to już 125 zł za 1 MWh. W efekcie polski prąd jest jednym z najdroższych w Unii. Tymczasem dyrektywa 2023/959 z dnia 10 maja 2023 wprowadziła system handlu uprawnieniami do emisji w odniesieniu m.in. do sektora budowlanego i transportu, już od 2027 roku. Jeżeli wejdzie w życie, metr kwadratowy mieszkania stanie się jeszcze droższy.

Donald Tusk, podobnie jak wielu innych europejskich polityków wzywa do zrobienia kilku kroków w tył w sprawie walki o klimat, by ratować europejski dobrobyt, bo przemysł i technika dają stabilniejsze zatrudnienie większym rzeszom ludzi, niż usługi. Zwłaszcza że 27 krajów UE odpowiada za... 6 proc. globalnej emisji CO₂. Ale to nie będzie łatwe. Walka z globalnym ociepleniem jest w wielu krajach Europy Zachodniej popularna, niezależnie od jej skuteczności. To także potężny biznes, umiejący dbać o swoje interesy.

Funkcjonowanie Jednolitego Rynku wymaga, aby wprowadzane produkty i usługi spełniały wymagania tzw. norm zharmonizowanych. Normy te są opracowywane na podstawie wniosków o normalizację Komisji Europejskiej i publikowane w Dzienniku Urzędowym UE.

Przez wiele lat UE miała przepisy dotyczące kształtu i krzywizny ogórków. Ogórki klasy I mogły mieć maksymalną krzywiznę 10 mm na każde 10 cm długości. Przepisy te zniesiono w 2009 r. Normy dotyczące truskawek przewidują, że truskawka klasy I musi mieć średnicę co najmniej 18 mm. UE wprowadziła przepisy dotyczące etykietowania jajek, które muszą zawierać informację o metodzie hodowli kur (np. chów klatkowy, ściółkowy, na wolnym wybiegu). Normy dotyczące hałasu zabawek określają maksymalny poziom generowanego hałasu – zabawka nie może przekraczać 80 decybeli. Dyrektywa Single Use Plastics, która weszła w życie w lipcu, wymaga, aby wszystkie butelki PET oraz kartoniki z napojami miały nakrętki przymocowane do opakowania.

ne na tym, że w przypadku nieregulowanego biura klienci, a za nimi opinia publiczna podnieśliby krzyk, że to skandal, a za ściągnięcie klientów upadłego biura z Hurghady czy Teneryfy zapłaciliby i tak podatnicy.

Wprowadzanie regulacji jako odpowiedzi na kryzys to typowa sytuacja. Po globalnym krachu w roku 2010 w USA ustawa Dodd-Franka wprowadziła szereg regulacji mających zwiększyć stabilność finansową i ochronę konsumentów. Od razu wzbudziła opór w środowisku bankowców. Niektóre przepisy, np. wymóg raportowania przez instytucje finansowe danych dotyczących pożyczek dla małych firm, były kwestionowane. Na początku lutego kongresmen Roger Williams przedstawił projekt ustawy likwidującej ten wymóg.

Kryzys finansowy 2008 roku dotknął wiele obszarów, w tym Unię. W odpowiedzi Bazylejski Komitet Nadzoru Bankowego, który działa przy Banku Rozrachunków Międzynarodowych, opracował regulacje zwane Bazylea III, które miały wzmocnić odporność banków na przyszłe kryzysy. Banki poddane tym regulacjom muszą mieć więcej kapitału, który jest buforem w przypadku nieoczekiwanych negatywnych zdarzeń. Jeżeli nie są w stanie go zwiększyć, muszą zmniejszyć wartość udzielanych kredytów. W efekcie banki będą bardziej stabilne, ale gospodarka będzie się wolniej rozwijać.

Kraje na całym świecie miały wdrożyć zasady Bazylei III jednocześnie, ale różne jurysdykcje wybrały własne ramy czasowe. UE wprowadza większą część pakietu kapitałowego już w tym roku, choć niektóre przepisy zostały przesunięte na styczeń 2026. Wiel-



Niektóre z tych regulacji mają oczywisty sens (w dyrektywie SUP chodzi o ułatwienie recyklingu, w normie „zabawkowej” o rozwijający się zmysł i przyszłe zdrowie ludzi), ale liczne są niezrozumiałe. Po wejściu Polski do UE zniknęły choćby szklane opakowania wielkości 1/4 litra, które wśród polskich pijacków – słynne „ćwiartki” – miały długą tradycję.

Wielka liczba norm sprawia, że Unia jest postrzegana jako obszar przeregulowany. Eurosceptycy chętnie opowiadają dowcipy o krzywiźnie bananów lub o tym, że marchewka nie jest uznawana za warzywo, tylko za owoc.

Unia Europejska to także królestwo praw pracowniczych i socjalnych. Dyrektywa 2003/88/WE ogranicza tygodniowy czas pracy do 48 godzin, łącznie z nadgodzinami. Pracownicy mają prawo do co najmniej 11 nieprzerwanych godzin odpoczynku w ciągu każdej 24-godzinnej doby. Dyrektywy z 1996 i 2018 r. przewidują, że pracownicy delegowani muszą mieć zapewnione minimalne warunki zatrudnienia obowiązujące w państwie przyjmującym, takie jak minimalne wynagrodzenie, maksymalny czas pracy, minimalne okresy odpoczynku, minimalny wymiar urlopu wypoczynkowego oraz warunki BHP. Celem tych dyrektyw jest nie tylko ochrona pracowników, ale także walka z tzw. dumpingiem socjalnym. Nowe kraje członkowskie dawały pracownikom mniej przywilejów i konkurowały, zwłaszcza w usługach, tanią siłą roboczą. Francja zablokowała dyrektywę zakładającą całkowitą likwidację barier w przepływie usług, którą proponował holenderski komisarz Frits Bolkestein i na której bardzo zależało Polsce.

W USA akurat prawo pracy jest znacznie mniej przychylne (chyba że ktoś należy do silnego związku zawodowego) i człowiek w każdej chwili może usłyszeć od szefa: „you are fired”, czyli „wylatujesz” (to skądinąd ulubione powiedzenie Trumpa).

Ale i tam nie brak regulacji dziwacznych, mających skądinąd długą historię. Samochody nie mogą być sprzedawane bezpośrednio przez producentów, ale za pośrednictwem licencjonowanych dealerów. Elon Musk, który wprowadził na rynek elektryczną Teslę (rewolucjonizując przy okazji rynek, bo nikt nie wierzył, że auta na prąd się przyjmą, próby młodych producentów kończyły się klępką, jak w przypadku Fiskera) starał się,

by przepisy o przymusowym pośrednictwie jej nie dotyczyły. Dopiął swego tylko w niektórych stanach. Dealerzy muszą przestrzegać przepisów dotyczących kredytów konsumenckich, takich jak ustawa o prawach konsumenta w zakresie kredytów (Truth in Lending Act) i ustawa o ochronie kredytów konsumenckich (Consumer Credit Protection Act). Import samochodów do USA wiąże się z koniecznością spełnienia określonych wymagań celnych i homologacyjnych. Samochody muszą być zgodne z amerykańskimi normami bezpieczeństwa i spalin. Te drugie są federalne i stanowe, a więc mogą się różnić, np. w Kalifornii obowiązują bardziej rygorystyczne.

Inną uciążliwą i dziwną regulację wprowadziła Marchant Marine Act, zwana też Jones Act. Ustawa z 1920 r. nakazuje, by towary między portami w USA przewoziły wyłącznie statki zarejestrowane w USA, zbudowane w USA, należące do obywateli USA i obsługiwane przez załogi składające się w większości z obywateli USA. Ustawa chroniła amerykańskie stocznie, ale koniec końców im zaszkodziła, bo zabiła ich konkurencyjność amerykańskich stocznii.

Dziś polscy biznesmeni marzą o takiej wolności gospodarczej, jaką wprowadziła ustawa z grudnia 1988 roku. Najważniejsze w 53 artykułach mieszczących się na 5 stronach Dziennika Ustaw (dzisiejsze ustawy, dotyczące nawet błahych spraw, są wielokrotnie dłuższe), które przeszły do historii jako „ustawa Wilczka”, było zdanie: „Podmioty gospodarcze mogą w ramach prowadzonej działalności gospodarczej dokonywać czynności oraz działań, które nie są przez prawo zabronione”. – Wszystko, co nie jest zabronione, jest dozwolone – interpretowali przedsiębiorcy. Było to odwrócenie o 180 stopni żelaznej zasady komunizmu: „Zabronione jest wszystko, chyba że władza na coś zezwoli”. Ustawa wymagała uzyskania koncesji tylko na 11 rodzajów działalności, np. na wydobywanie kopalin, wytwarzanie i handel bronią czy usługi lotnicze.

Ponieważ w szybko zmieniającej się rzeczywistości przełomu lat 80. i 90. trudno się było zorientować, które przepisy obowiązują, urzędnicy zaczęli stosować swoisty strąk, przymykając oczy na chaos, z którego wylaniał się porządek rynkowy. W ostatnich miesiącach PRL państwo przestało gwarantować bezpieczeństwo

i egzekwować prawo w obszarze gospodarki i podatków. Niektórzy płacili za to wysoką cenę, ale w świecie raczkującego biznesu ten okres chaosu przeszedł do legendy jako złoty czas.

Gdy państwo po kilku latach wyszło z szoku, zaczęło ograniczać wolność, wprowadzając regulacje. W ciągu niespełna 16 lat obowiązywania – w 2004 r. weszła nowa ustawa o swobodzie gospodarczej – ustawa Wilczka była nowelizowana kilkadziesiąt razy, średnio co 3 miesiące. Na ogół były to nowelizacje drobne, przyjmowane przy okazji innych ustaw, na przykład o łączności lub ustaw podatkowych. Ale każda była krokiem w kierunku coraz ściślejszego kontrolowania gospodarki przez urzędników. Ani jedna nie powiększała swobody przedsiębiorców. Martwy pozostał zapis z grudnia 1988 r. że Rada Ministrów może w drodze rozporządzenia wyłączyć pewne obszary gospodarki z konieczności uzyskiwania koncesji.

Przykładem dominacji biurokracji nad sferą polityczną są nieudane próby odbiurokratyzowania gospodarki, podejmowane przez kolejne ekipy rządowe. Samo hasło „odbiurokratyzowania” jest politycznie nosne, a w dodatku duża część polityków rozumie, że obniżenie obciążeń urzędowych jest tanim sposobem poprawy konkurencyjności gospodarki. Ale przy konkretnych rozwiązaniach głos decydujący mają urzędnicy, którzy potrafią udowodnić sens każdego bezsensownego przepisu. Z tego powodu nie udają się próby uproszczenia systemu podatkowego i uczynienia ordynacji podatkowej bardziej przyjazną.

Dowodem na wzrost biurokracji jest nie tylko rosnąca liczba urzędników, lecz także rosnąca masa przepisów różnych szczebli. Gdy w roku 1989 – przełomowym dla przemian gospodarczych – rocznik Dzienników Ustaw mieścił się w jednym tomie, dziś zajmuje kilkadziesiąt tomów! Według raportu Grant Thornton, firmy analizującej stabilność otoczenia prawnego w polskiej gospodarce od początku transformacji ustrojowej, produkcja prawa systematycznie rosła. 20 najważniejszych ustaw gospodarczych przez ostatnią dekadę zmieniło się łącznie 1189 razy, a ich objętość mierzona liczbą stron wzrosła o 53 proc. W 2023 roku uchwalono ponad 34 tys. stron nowego prawa – o 8 proc. więcej niż w 2022. To drugi najwyższy wynik w historii III RP. W życie weszły 553 przepisy dotyczące firm, a w 1051 dokonano zmian. Wycofano

Regulacja Marchant Marine Act nakazuje, by towary między portami w USA przewoziły wyłącznie statki zarejestrowane w USA, zbudowane w USA, należące do obywateli USA i obsługiwane przez załogi składające się w większości z obywateli USA

jedynie 41 przepisów. Jednocześnie vacatio legis w ustawach gospodarczych skróciło się do 31 dni.

Głównym źródłem nowego prawa w 2023 roku, podobnie jak w latach poprzednich, były rozporządzenia, czyli akty prawne administracji rządowej. Skala tej produkcji jest tak duża, że stanowi istotne obciążenie dla przedsiębiorców. I nie jest tak, jak mógłby skwitować ktoś nieprzychylnie do nich nastawiony, że „biznes zawsze narzeka, że coś go krępuje i obciąża”. Eksperci Grant Thornton wyliczyli, że jeśli ktoś chciałby na bieżąco śledzić wszystkie zmiany w prawie, w roku 2023 musiałby każdego dnia roboczego na samo czytanie aktów prawnych poświęcić 2 godziny i 34 minuty – przy optymistycznym założeniu, że jedną stronę przeczyta w dwie minuty. Jednak samo przeczytanie nic nie daje, gdyż wiele aktów prawnych nie ma formy spójnego tekstu, lecz jest zbiorem wyrwkowych artykułów dodanych lub otrzymujących nowe brzmienie. Aby zrozumieć ich sens, trzeba sięgać do poprzedniego tekstu.

Jakby ogromu chaotycznie uchwalanego prawa było mało, przedsiębiorca musi się liczyć z tym, że przyjęte przepisy zostaną wkrótce zmienione – bo zaczną ujawniać się ich niedociągnięcia albo tak po prostu.

Przepisy dotyczące przedsiębiorców przy okazji uderzają także w miliony konsumentów. Tak było przy uchwalaniu podatków sektorowych – od instytucji finansowych i od sklepów wielkopowierzchniowych.

Najbardziej widocznym przykładem nadmiernej władzy biurokracji w stosunku do przedsiębiorców i obywateli są przepisy podatkowe, a zwłaszcza praktyka ich stosowania. Regulacje, zwłaszcza dotyczące VAT oraz rozliczania kosztów uzyskania przychodów przy podatku PIT i CIT, urzę-

Dominacja biurokracji nad obywatelami wynika nie tylko ze złych przepisów. Urzędnicy nie mają świadomości, że są utrzymywani z podatków osób, których sprawy „załatwiają” i o których losie rozstrzygają

dy skarbowe interpretują dość dowolnie. Przedsiębiorcy grozi kara – w skrajnej sytuacji do 25 lat więzienia za przestępstwa karne skarbowe – ale jeszcze większą dolegliwością od skazania bywa zwykle samo oskarżenie przez prokuratora, połączone z aresztowaniem i zawieszeniem działalności biznesowej. To oznacza często dla biznesmena ruinę.

Dominacja biurokracji nad obywatelami wynika nie tylko ze złych przepisów i złej struktury zarządzania państwem, lecz również ze stosunku urzędnika do petenta. Urzędnicy nie mają świadomości, że są utrzymywani z podatków osób, których sprawy „załatwiają” i o których losie często rozstrzygają. Są słabo opłacani i coraz częściej awansowani lub nie w zależności od powiązań politycznych.

Mimo że państwo lepiej działa niż przed 30 laty, nadal nie potrafi sprawnie przeprowadzać przetargów, sprawić, by koleje jeździły punktualnie i uchylać ustaw, które nie byłyby wewnętrznie sprzeczne. Gdy politycy przed wyborami przedstawiają wielkie projekty, każdy rozsądny człowiek w Polsce wie, że to tylko propaganda.

Komisja do spraw deregulacji, pozbawiona silnego mandatu, może wskazać największe absurdy przeszkadzające przedsiębiorcom – ale naprawa państwa musi być planowym procesem, który wymaga ponadpartyjnego konsensusu. Celem powinny być:

- * poprawa efektywności działania administracji, szybkości i skuteczności podejmowania przez organy państwa decyzji,
- * podniesienie poziomu usług publicznych opłacanych z podatków,

* ustabilizowanie korpusu służby cywilnej i stworzenie dla urzędników czytelnej ścieżki awansu według kryteriów merytorycznych,

* obniżenie kosztów biurokracji – przy czym nie chodzi tylko o koszty utrzymania urzędów i urzędników, ale także o społeczne i gospodarcze koszty zbędnych przepisów biurokratycznych,

* poprawa skuteczności działania wymiaru sprawiedliwości i odpolitycznienie prokuratury i organów ścigania.

Proces naprawy państwa powinien prowadzić do wycofania się władzy z dziedzin, w których sobie źle radzi, to jest z bezpośredniego zarządzania gospodarką, z części usług publicznych oraz z mediów. Państwo powinno skupić się na funkcjach podstawowych: zapewnieniu bezpieczeństwa obywateli i bezpieczeństwa obrotu gospodarczego, egzekwowaniu prawa i ochronie interesów na arenie międzynarodowej.

Silne państwo i sprawny wymiar sprawiedliwości lepiej chroni obywateli – którzy czasem są przedsiębiorcami, ale zawsze są konsumentami i w tej roli bywają słabsi od firm, z którymi zawierają umowy – niż regulacje tworzone doraźnie po to, by odpowiadać na incydentalny kryzys: upadek biura podróży, oszukańczą wyższą szkołę, groźny wypadek na obozie harcerskim. To metoda, która dawno skompromitowała się w prawie karnym: zamiast skutecznie egzekwować już istniejące przepisy, tworzymy nowe, jeszcze surowsze, zastrzamy kary i na pewno się poprawi.

Trzeba też ludziom uświadamiać, że ryzyko jest nieodłączną częścią życia i w pierwszej kolejności sami muszą sobie z nim radzić. Państwo powinno tworzyć instytucje regulacyjne i standaryzujące w tych obszarach gospodarki i życia społecznego, gdzie są one niezbędne. Im mniejszy obszar pozostanie w rękach państwa, tym łatwiej będzie nim sterować. ●

OŚWIADCZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34359462

DO 22 LUTEGO

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej” — na marzec u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów



CENA
179,90 zł**
OSZCZĘDZASZ
CO NAJMNIEJ
43 zł



Dostęp także do
Wyborcza.pl*

* Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej”. Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej”. Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. Zapraszamy. ** Różnica ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.

WSZYSTKIE PIENIĄDZE



„Dyrektor Rydzyk wysysa państwo w sposób przemysłowy” – mówił w 2018 r. poseł PO Sławomir Neumann. Na stronie, którą współtworzył, Długwdziecznosc.pl, można było wtedy wyczytać, że suma rządowych dotacji dla duchownego sięgnęła 94 mln zł. A to był dopiero początek.

Piotr Głuchowski

Poza „goleniem babć” i Polonii zza oceanów Ojciec Dyrektor latami pozyskiwał środki dzięki różnym układom sponsorskim, w tym umowie ze Spółdzielczymi Kasami Oszczędnościowo-Kredytowymi senatora PiS Grzegorza Biereckiego. Kluczowa spółka w systemie jego kas – zarejestrowany w Luksemburgu SKOK Holding – jest od 2010 r. współwłaścicielem Rydzykowej Geotermii Toruń. Zawarty równolegle kontrakt między SKOK-ami a fundacją Lux Veritatis mówił, że SKOK Stefczyka (największa kasa systemu) ustanawia fundusz, z którego będzie wypłacać pieniądze na rzecz Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej (obecnie Akademia). SKOK-i płaciły też fundacji LV za każdego klienta, który wy-

znał przy okienku kasowym, że usłyszał o nich w Radiu Maryja. W zamian menedżerowie SKOK-u zaczęli się pojawiać w programach rozgłośni, która z racji darmowej koncesji nie może nadawać reklam.

Weźmy audycję „SKOK Stefczyka – nie tylko usługi finansowe” (2009 r.).

Prowadzący ojciec Dariusz Drązek: – Czy SKOK jest bezpieczną instytucją, bo ludzie boją się, że przyjdzie krach i nie wiadomo później, gdzie pieniądze są... Jak to jest ze SKOK-iem?

Agnieszka Czaplicka-Banaszak, kierowniczka regionu wielkopolskiego SKOK Stefczyka: – Oszczędności są gwarantowane.

Ojciec: – Można powiedzieć, że w SKOK-ach oszczędności są pewniejsze niż w banku?

Maciej Krzesiński, pełnomocnik SKOK-u Stefczyka: – Na pewno. Ojciec: – Jaka jest procedura

STRESZCZENIE ODCINKA 1: Pierwsze poważne pieniądze ojciec Tadeusz Rydzyk zarobił na wysyłaniu z Niemiec do Polski używanych aut jako darów od bawarskiego Kościoła katolickiego (w takim wypadku uchylano cło). Równolegle zarabiał na organizowaniu pielgrzymek do Medziugorie, w trakcie których – jak to ujął współbrat Stanisław Kwiatkowski – łatwo „goli się z forsy dewocyjne babcie”. Pierwsze dziesiątki milionów przyniosła zbiórka „na ratowanie Stoczni Gdańskiej”.

przystąpienia do SKOK-u?

Czaplicka-Banaszak: – Wystarczy przyjść do oddziału z dowodem osobistym...

I tak dalej przez trzy godziny. Pytany przed dekadą, jak się mają audycje o SKOK-ach do zakazu nadawania reklam, Ojciec Dyrektor wyjaśnił, że cytowany program to nie żadna reklama, tylko przykład „społecznej edukacji finansowej”.

Pierwsza gruba dotacja od PiS: 27 mln na geotermię

SKOK-i mają sporo pieniędzy, ale dużo więcej można wyciągnąć z Unii Europejskiej. Nie szkodzi, że przed referendum akcesyjnym w 2003 r. „Nasz Dziennik” porównywał UE do III Rzeszy, a potem tak wylizował efekty przystąpienia: „będzie oznaczać utratę zasadniczych elementów tożsamości naro-

O. RYDZYKA • RAPORT CZ. 2.



NAJWIĘKSZA

dowej, dalszy upadek moralności publicznej oraz legalizację aborcji, małżeństw jedнопłciowych, eutanazji, eksperymentów genetycznych. (...) Nastąpi stopniowa utrata ziem zachodnich i północnych, głównie na rzecz żywiołu niemieckiego (...). Kryzys ekonomiczny, straszliwie osłabiający Polskę, pogłębi się i przedłuży na wiele lat. Wzrośnie i tak wysokie bezrobocie”.

W roku 2007, gdy wiadomo było już, że czarne prognozy się nie sprawdziły, a unijne pieniądze zmieniają Polskę na lepsze, Ojciec Dyrektor postanowił sięgnąć także i do brukselskiej kasy. Rządził PiS, więc ministra rozwoju Grażyna Gęsicka bez problemu wpisała toruńską uczelnię redemptorysty na listę „projektów kluczowych” unijnego programu „Innowacyjna gospodarka”. To zagwarantowało szkole kilkunastomilionową dotację poza głównym konkursem.

Spisał się też Kazimierz Kujda, bliski kolega premiera Jarosława Kaczyńskiego i zarazem prezes Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, który przyznał fundacji LV następne 12 mln na budowę toruńskiej geotermii.

I tutaj zwrot. Wskutek słynnej afery gruntowej (prowokacji podległych PiS-owi służb specjalnych, która miała zatopić nieposłusznego wicepremiera Andrzeja Leppera) 11 sierpnia 2007 r. premier Jarosław Kaczyński zerwał koalicję z Ligą Polskich Rodzin i Samoobroną, a jego brat, prezydent Lech Kaczyński, zarządził przyspieszone wybory. Pięć dni wcześniej – mając przed oczami koniec rządów PiS – kierownictwo Lux Veritatis złożyło w NFOŚiGW

• **W czasie rządów PiS obecność na uroczystościach w Toruniu była wpisana w ministerialne kalendarze. Na zdj. o. Tadeusz Rydzik, premier Mateusz Morawiecki i szef MON Mariusz Błaszczak na mszy z okazji 27. urodzin Radia Maryja w toruńskiej Hali Arena. (1.12.2018)**

FOT. PAP/TYTUS
ŻMIJEWSKI

• **ZA TYDZIEŃ**
► **trzecia część raportu**

aneks do wniosku geotermalnego. Ojcowie Król i Rydzik poprosili, by zwiększyć dotację o kolejne 15 mln.

Tymczasem wybory wygrała Platforma Obywatelska. Ostatnie posiedzenie rady nadzorczej NFŚiGW w starym, jeszcze PiS-owskim składzie zaplanowano na 6 listopada. I tego dnia rzutem na taśmę Narodowy Fundusz przyznał Toruniowi największą z dotacji, jakie dotychczas udało się pozyskać ojcu Tadeuszowi – 27 mln zł. Gwarancją prawidłowego wykorzystania pieniędzy miała być hipoteka na budynkach WSKSiM, czyli powstałej sześć lat wcześniej uczelni. Po tak owocnym posiedzeniu rady prezes Kujda zjadł z księdzem Królem obiad. Za poczęstunek zapłacił NFOŚiGW.

Kilka tygodni później Kujda już nie był prezesem, a jego wyznaczony przez Platformę następca Jan Rączka zatrzymał wypłatę, gdyż fundacja Lux Veritatis „nie przedstawiła hipoteki na budynkach uczelni, a do tego nie realizuje przedsięwzięcia geotermalnego zgodnie z harmonogramem rzeczowo-finansowym. Nie udostępniła również umówionych wcześniej dokumentów i nie udzieliła wyjaśnień”.

Rączka mógł nie wiedzieć, że Ojciec Dyrektor nie gada z liberalnymi rządami, chyba że przez prawników. Tak będzie i tym razem. Wkrótce LV wytoczy Narodowemu Funduszowi sprawę cywilną, domagając się, by sąd nakazał wypłatę przyznanej w 2007 r. dotacji plus odsetki za zwłokę. Prócz tego ksiądz Tadeusz ogłosi wielką zbiórkę: „Gdyby dwa miliony siedemset tysięcy słuchaczy Radia Maryja ofiaro-

wały po 10 złotych, starczyłoby na pierwszy odwiert geotermalny. A gdyby nasza inwestycja zaskoczyła, jeśli wyszlibyśmy na prostą, po pierwsze postawimy na młodych...” („Nasz Dziennik” 2008 r.).

Zgodnie z wyłożoną dalej obietnicą zyski z ciepłej wody miałyby spowodować obniżenie czesnego dla żaków WSKSiM lub nawet studia bezpłatne.

Obecnie, czyli w 2025 r., ciepła woda spod ziemi płynie, a czesne na Akademii Kultury Społecznej i Medialnej wciąż obowiązuje. Jest nawet wyższe niż wcześniej – sięga kilkunastu tysięcy złotych za semestr.

Ojciec Tadeusz – nasz toruński najdroższy Prometeusz

Gdy w pierwszym roku rządów PO-PSL zbiórka na geotermię ruszyła – bez wymaganych zezwoleń – monitorujący działalność ojca Rydzyka aktywista Rafał Maszkowski złożył zawiadomienie o przestępstwie. W lutym 2011 r. toruński sąd rejonowy uznał winę i skazał dyrektora RM na symboliczne 3,5 tys. zł grzywny za zbieranie pieniędzy bez zgody resortu spraw wewnętrznych. Ksiądz nie chciał zapłacić nawet takich groszy, sędzia zlecił więc egzekucję biurom komorniczemu.

Ojciec Dyrektor nie odbierał wezwań, a gdy komornik przyszedł do siedziby stacji, zastał tam Jana Króla, który wyjaśnił, że konfrater Rydzik nie ma żadnego majątku. Nie figuruje jako właściciel żadnego auta i żadnej nieruchomości. Dostaje co prawda wynagrodzenie za wykłady w szkole medialnej, lecz

jest to zaledwie 1,5 tys. brutto – tak niska kwota nie podlega zajęciu komorniczemu.

W lutym 2012 r. symboliczną karę za ks. Tadeusza zapłaciła toruńska posłanka PiS i lektorka RM Anna Sobecka. A nielegalna zbiórka spokojnie dobiegła końca, choć zebranej sumy Ojciec Dyrektor – jak zwykle – nie ujawnił. Wiadomo tyle, że kwota wystarczyła, by ruszyć z odwiertami, dzięki czemu przygrywająca na radiomaryjnych uroczystościach Kapela znad Baryczy mogła nagrać swój największy hit zaczynający się słowami „Ojciec Tadeusz jak Prometeusz wybiera z ziemi ciepło dla ludzi...”.

Trzy lata później zwycięska „dobra zmiana” odblokowała 27 mln z NFŚiGW i dorzuciła drugie tyle, co pozwoliło dokończyć inwestycję. Obecnie Rydzikowa geotermia ogrzewa Dzielu Nowego Tysiąclecia (uczelnie, świątynię, muzeum-hotel i kawiarnię), do tego ksiądz sprzedaje część ciepła miastu Toruń. Dostaje za to pięć razy więcej niż konkurencyjny (wcześniej monopolistyczny) dostawca – Polska Grupa Energetyczna.

Z opublikowanego w 2022 r. raportu prezesa Geotermii Grudziądz pt. „Ciepło o. Rydzika jest kilkakrotnie droższe niż w każdej ciepłowni w Polsce” wynika, że ośrodek toruński zarabia na geotermii ok. 10 mln rocznie. Faktycznym płatnikiem są w tym wypadku torunianie, którzy muszą znosić zawyżone rachunki za ciepło.

Wraz z rokiem 2015 i rządami Zjednoczonej Prawicy sponsorami ośrodka toruńskiego zostali wszyscy polscy podatnicy. Otworzył się bowiem worek z coraz wyższymi dotacjami od wszelkich możliwych resortów i rządowych agend.

Jeżeli rząd daje Toruniowi – to my też!

W styczniu 2016 r. uczelnia medialna zorganizowała konferencję „Oblicza manipulacji – źródła i skutki”. Przyjechał Jarosław Kaczyński. Po zakończeniu obrad prezes PiS i dyrektor RM siedli do obiadu, w trakcie którego ks. Tadeusz pożałił się, że toruński Uniwersytet im. M. Kopernika dostaje dziesiątki milionów z budżetu, a jego szkoła medialna bieduje z powodu niestety niewielkich naborów. Co prawda jeszcze za rządów PO-PSL udało się pozyskać prawie milion złotych na sfinansowanie udogodnień dla studentów z niepełnosprawnościami, ale czym jest jeden milion wobec potrzeb ośrodka toruńskiego?

Cztery dni po tym spotkaniu sejmowa komisja finansów publicznych kierowana przez posła tej partii Andrzeja Jaworskiego przyznała WSKSiM 20 mln zł. Dziesięć na „wydatki majątkowe” i drugie tyle na „wydatki bieżące”.

Ostatecznie tego prezentu – z powodów formalnych – nie zaaprobował Sejm („nie jest możliwe przekazanie dotacji na wydatki bieżące dla uczelni niepublicznych poza funkcjonującymi algorytmami finansowymi w obszarze szkolnictwa wyższego”), ale w kolejnych miesiącach i latach dotacje popłynęły już wartko.

- Premier Mateusz Morawiecki osobiście przeznaczył 5 mln zł z państwowej rezerwy budżetowej na dofinansowanie parku Pamięci Narodowej.

- Spółka Bonum ojca Jana Króla dostała od Ministerstwa Rozwoju 495 tys. zł na stworzenie cyklu programów TV Trwam „O funduszach Unii Europejskiej, czyli jak być skutecznym?”.

- Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa wpłaciła tej samej spółce ponad 800 tys. zł w zamian za produkcję i emisję w TV Trwam odcinków programu „Wiesz to też Polska”, podczas których filmowani ludzie ciepło wspominali ARiMR.

- Szkoła medialna otrzymała od MSZ 700 tys. zł na „promowanie polskiej polityki zagranicznej” i kolejne 450 tys. zł na prowadzenie „regionalnego ośrodka debaty międzynarodowej”.

- Narodowe Centrum Badań i Rozwoju przyznało tej szkole 4,5 mln zł na projekty „Informatyka medialna twoją szansą”, „Cyfrowy świat młodego odkrywcy”, „WSKSiM dla młodzieży”, „Seniorzy na



• **Wydawało się, że kryzys na rynku prasy papierowej omija „Nasz Dziennik”. Może dlatego, że na stacjach Lotosu i Orlenu za prezesury Daniela Obajtka „ND” leżał – obok „Gazety Polskiej” – na wierzchu stojaka z prasą** FOT. GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

WSKSiM, „Zintegrowany program WSKSiM”. Do tego 250 tys. zł na Akademickie Biuro Karier.

- Uczelnia wygrała konkurs na przeszkolenie co najmniej 800 pracowników sądów i prokuratur w dziedzinie kontaktów z mediami. Resort Zbigniewa Ziobry przyznało jej na to 3 mln zł.

- Kolejne 623 tys. zł (w dwóch transzach) szkoła wzięła od ministra nauki Jarosława Gowina na „bezwrotną pomoc materialną dla studentów i doktorantów”.
- Fundacja Lux Veritatis pobrała od Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej 200 tys. z funduszy norweskich na emisję spotów w ramach kampanii społecznej „Przeciwdziałającej przemocy ze względu na płeć”.

- Wojewoda kujawsko-pomorski Mikołaj Bogdanowicz (wcześniej radny powiatu inowrocławskiego z PiS) przekazał ośrodkowi toruńskiemu dwa kawalki ziemi wartości 2,5 mln zł pod budowę Muzeum „Pamięć i Tożsamość” oraz parku Pamięci Narodowej.

W przypadku pierwszego gruntu urząd przyznał bonifikatę wysokości 60 proc., w przypadku drugiego – 85 proc. Co znaczy, że redemptoryści zapłacili 15 proc. rzeczywistej ceny.

Skoro rządzący dają Toruniowi aż tyle, to znaczy, że dotowanie „dział wyrosłych wokół Radia Maryja” zapewnia przychylność władzy. Z tą myślą do listy sponsorów ośrodka toruńskiego przyłączyły się też niezliczone drobniejsze podmioty: Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa, kancelaria Senatu, regionalne zarządy gospodarki wodnej w Szczecinie, Warszawie i Wrocławiu, Biuro Programu Wieloletniego „Niepodległa”, Urząd Komisji Nadzoru Finansowego, Bank Gospodarstwa Krajowego, suwalska, warmińsko-mazurska i pomorska Specjalna Strefa Ekonomiczna, Agencja Rezerw Materialowych, Państwowe Gospodarstwo Wodne „Wody Polskie”, Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości, Urząd Komunikacji itd. Kasę dała nawet spółka PKP Energetyka.

Majątek zakonnika należy oszacować na blisko 340 mln

Biorąc powyższe pod uwagę – nic dziwnego, że na początku 2017 r. tygodnik „Wprost” umieścił Ojca Dyrektora na 83. miejscu listy najbogatszych Polaków – za założycielem Optimusa Romanem Kluską, a przed współtwórcą CD Projectu Michałem Kicińskim. Jak oszacował dziennikarz pisma Szymon Krawiec (autor towarzyszącego rankingowi artykułu „Ojciec milioner”), w latach 2015-16 ksiądz Rydzik „zainkasował około 56 mln zł”, a jego przedsięwzięcia wygenerowały 11 mln zł czystego zysku.

Krawiec: „Gdyby zysk netto wypracowany przez biznesy ojca Tadeusza zestawić z wynikami spółek z podobnej branży, majątek zakonnika należy oszacować na około 340 milionów złotych”.

Na początku 2017 r. tygodnik „Wprost” umieścił Ojca Dyrektora na 83. miejscu listy najbogatszych Polaków – za założycielem Optimusa Romanem Kluską, a przed współtwórcą CD Projectu Michałem Kicińskim

Taki był stan badań na koniec 2016 r. Następny rok okazał się jeszcze lepszy.

Fundacja LV wypracowała prawie 30 mln zysków netto. Spółka Bonum zaliczyła przeszło 9 mln przychodów. Nawet Polskie Sieci Cyfrowe, czyli operator nieco kulejącej telefonii komórkowej wRodzinie odnotował ponad milion wpływów. Fundacja Nasza Przyszłość – beneficjentka 1 proc. – zgromadziła przez rok 9 mln. Co ciekawe – profity przyniósł także „Nasz Dziennik”. Choć sprzedaż prasy papierowej leciała już na lew, spółka Spes odnotowała półmilionowy zysk. Może dzięki temu, że na stacjach Lotosu i Orlenu za prezesury Daniela Obajtka „ND” zwykle leżał – obok „Gazety Polskiej” – na wierzchu stojaka z prasą.

Wyniki finansowe ośrodka toruńskiego stały się tak dobre, że Ojciec Dyrektor przystał na zakup domu wczasowego dla swoich pracowników: powołana w tym celu spółka Scala nabyła ośrodek wypoczynkowy o tej samej nazwie w nadbałtyckich Rowach. Jednak nawet w okresie prosperity ksiądz Tadeusz pamiętał, by nie przepuścić najmniejszej okazji do zarobku.

- Ośrodek toruński poprosił i dostał od Ministerstwa Nauki 59 tys. zł na letnią szkołę językową w WSKSiM.

- Sięgnął także po 29,5 tys. zł od Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości na publikację w „ND” cyklu artykułów partnerskich informujących o rządowej „konstytucji biznesu”.

- Wziął 19 tys. od Instytutu Ochrony Środowiska na obsługę medialną „programu adaptacji małych i średnich miast do zmiany klimatu”.

- Przyjął również 18,5 tys. (od tego samego instytutu) na obsługę prasową szkoleń w ramach kampanii „Stop smog”.

- Znalazłem nawet i mniejsze dotacje, których nie będę wymieniać (jedna z umów opiewała na 800 zł). Ważne jest co innego: liczy się każdy grosz!

Czy fundacje ojców Rydzika i Króla mają wciąż nieujawnione tajemnice?

Wodospad pieniędzy, jaki spłynął na ośrodek toruński w pierwszym roku rządów Zjednoczonej Prawicy, zwrócił uwagę walczącej z korupcją organizacji społecznej

Sieć Obywatelska Watchdog Polska, która wcześniej przeświewiała m.in. publiczne transfery na konta Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. W listopadzie 2016 r. Szymon Osowski, prezes SOWP, wysłał do Lux Veritatis i Naszej Przyszłości wnioski o wskazanie przedsięwzięć, w których korzystano ze środków publicznych; podanie listy podmiotów przekazujących owe środki wraz z datami umów; wreszcie o ujawnienie sposobu wydania pozyskanych od rządu pieniędzy.

Ojcowie Rydzik i Król oraz księgowa radia Lidia Kochanowicz-Mańk odmówili. Sieć wniosła więc sprawę do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie, który nakazał udostępnić dane. Toruń tego nie zrobił, co może sugerować, że znane dziennikarzom i opisane powyżej wpływy gotówkowe od ministerstw i agend „dobrej zmiany” to jeszcze nie jest wszystko.

Wobec zlekceważenia sądowego nakazu sieć Watchdog zawiadomiła prokuraturę. Ta początkowo odmówiła wszczęcia postępowania, a następnie dwukrotnie je umorzyła. SOWP złożyła więc subsydiarny (prywatny) akt oskarżenia, w którym zarzuciła członkom zarządu LV popełnienie przestępstwa z art. 23 ustawy o dostępie do informacji publicznej. W marcu 2022 r. Sąd Rejonowy w Warszawie-Woli skazał Lidię Kochanowicz-Mańk na trzy miesiące więzienia w zawieszeniu oraz 3 tys. grzywny za „nieudostępnienie informacji publicznej”. Dodatkowo sąd zobowiązał skazaną do przekazania danych, o które walczy Sieć Obywatelska.

Księgowa księdza Tadeusza złożyła odwołanie, które zostało uwzględnione przez stołeczny sąd okręgowy. Prawnicza batalia trwa.

Jak Toruń wysysał państwo w sposób przemysłowy

W trakcie kolejnych rządów PiS pula dotacji dla Torunia wzrosła do blisko 0,5 mld.

- Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, którym od 2016 r. kierował – z polecenia prezydenta Andrzeja Dudy – profesor nauk technicznych Maciej Chorowski, dało szkole medialnej ponad 8 mln.

- Ministerstwo Spraw Zagranicznych przyznało kilka dotacji na łączną kwotę 1 mln 688 tys. zł.

- Państwowy Ośrodek Badań Naukowych – dwa przelewy: milion i 950 tys. zł
- Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa – kilka transz, łącznie 943 tys. zł.

Ministerstwo Rozwoju i Finansów – dwie subwencje, w sumie 432 tys. zł.

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Socjalnej – 281 tys. zł

Ministerstwo Zdrowia – 224 tys.

Narodowe Centrum Kultury – 108 tys. zł. I tak dalej.

– To wysysanie państwa w sposób przemysłowy – mówił w 2018 r. poseł Koalicji Obywatelskiej Sławomir Neumann, twórca nieaktywny już strony Długwdzieczności.pl, na której można było poczytać o rządowych dotacjach dla Ojca Dyrektora. Suma oszacowanych przez Neumanna datków dobiła w 2018 r. do 94 mln. zł

Nie było to jednak wszystko.

– Nikt obecnie nie wie, ile wpłacają Rydzikowi spółki skarbu państwa, bo te zasłaniają się nawet przed interpelacjami poselskimi tajemnicą handlową – dodał polityk Platformy.

W odpowiedzi minister resortu spraw wewnętrznych Joachim Brudziński z PiS (częsty gość „Rozmów niedokończonych” w RM) stwierdził, że ilekolwiek by się Toruniowi dało, Polska na tym jedynie zyskuje: – Wszystkie środki czy dzieła, jakie były podejmowane przez Ojca Dyrektora, skutkują wyłącznie dobrem.

Tymczasem dyrektor stacji dopinał już szczegóły królowej wszystkich dotacji – od ministra kultury prof. Piotra Glińskiego. Umowa między Ministerstwem Kultury a Lux Veritatis przyniesie ośrodkowi z Torunia prawie ćwierć miliarda. ●

Miłosny trójkąt: Nawrocki, żona, Polska

Miłość ojczyzny według Nawrockiego polega więc na tym, że w czasie wojny dla Polski się umiera, a w czasie pokoju – jedzie się dla niej na urlop z żoną. Sądzę, że to ważny głos w dyskusjach o współczesnym patriotyzmie.



Michał Rusinek

Kiedy Karol Nawrocki miał osiem lat i nie był jeszcze ani doktorem, ani kandydatem obywatelskim popieranym przez PiS, kanadyjski artysta Bryan Adams nagrał utwór „Everything I Do, I Do It For You”, który znalazł się na ścieżce dźwiękowej do filmu „Robin Hood: Ksiądz złodziei”. Tekst tego niewątpliwego hitu (16 tygodni na pierwszym miejscu brytyjskiej listy przebojów i siedem na pierwszym miejscu amerykańskiej) jest swego rodzaju miłosnym wyznaniem i zapewnieniem, że wszystko, co robi podmiot liryczny, robi dla swojej ukochanej. Widać to po jego oczach, ale i głębsza analiza serca i duszy powinny ukochaną jedynie utwierdzić w przekonaniu, że mówi prawdę. Podmiot stwierdza, że jej

miłość nie równa się żadnej innej, że będzie o nią walczył i że oddałby za nią życie. Takie przejmujące piosenki pamięta się przez całe życie.

Minęły raptem 33 lata i dorosły już Karol Nawrocki, doktor i kandydat, ogłosił publicznie w krakowskiej Hali Sokoła, że Polska to jego wielka miłość, „jedyna miłość, o którą żona się nie pogniewa”, dlatego jest gotów zostać prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej. Co zaskakujące, odwołał się tym samym nie tyle do literackiej „świętej miłości kochanej ojczyzny”, ile do motywu Polski jako kochanki, znanego choćby z piosenki Grzegorza Ciechowskiego „Nie pytaj o Polskę”. Ciechowski wzdraga się przed nazwaniem Polski kochanką, ale przyznaje, że z nią sypia. Nawrocki mówi natomiast, że w jego przypadku jest to wprawdzie uczucie pozamałżeńskie, ale tolerowane przez żonę.

Wiem, to są prywatne sprawy państwa Nawrockich, ale nie możemy spuścić na nie kurtyny milczenia, bo jednak interesuje nas status Polski tkwiącej w tym trójkącie. Przyjrzyjmy się więc zdjęciu, które kandydat obywatelski umieścił niedawno w mediach społecznościowych. Jest to selfie, a więc autoportret, acz w towarzystwie małżonki. On uśmiecha się szeroko, ona – jakby powściągliwiej. Zdjęcie to Karol Nawrocki opatrzył komentarzem: „Wspólny urlop, dla Polski” (tu serduszko i polska

flaga). Gdyby był to po prostu wspólny urlop (obiecujący przecież odpuszczenie na jakiś czas dość męczącej dla nich, a przede wszystkim dla nas kampanii wyborczej), nie byłoby w tym komentarzu nic niepokojącego. Zastanawiający jest jednak obiekt „największej miłości”, dla którego – a nie, jak mogliśmy się spodziewać: od którego – państwo Nawrockcy udali się na urlop.

Urlop bierze się bowiem raczej od czegoś (pracy, stażu, obowiązków), a jeśli bierze się go dla czegoś lub kogoś, to oznacza, że pracę wykonywało się przed urlopem (i będzie wykonywało po urlopie) – dla czegoś lub kogoś innego. Pojawia się pytanie, dla kogo pracował Karol Nawrocki zanim wziął urlop (i dla kogo będzie pracował po powrocie)? Są to tylko presupozycje, ale przecież logicznie uzasadnione i mogące wywołać niepokój na przykład wśród funkcjonariuszy kontrwywiadu.

Niepokój ten jest jednak z pewnością bezzasadny. Przypomnijmy, że dobrozmianna propaganda przez lata posługiwała się wyjętym z kontekstu fragmentem wypowiedzi Donalda Tuska „für Deutschland”, czyli „dla Niemiec”. W opozycji do ówczesnego przewodniczącego Rady Europejskiej, kandydat obywatelski popierany przez PiS wszystko robi „dla Polski”. Nawet wyjeżdża dla niej na urlop.

Oto prawdziwy patriotyzm, w dodatku podszyty poświęceniem („I would give it all, I would

sacrifice” – charczy w tle Bryan Adams), bo żonie się to nie uśmiecha i pewnie będzie miała pretensje, no ale urlop, nie urlop – Polska jest najważniejsza.

Nie ma się co dziwić, że patriotyczny wpis Nawrockiego pobudził patriotycznie polityków i polityczki Prawa i Sprawiedliwości. Egzaltowany komentarz napisała zaraz europosłanka Anna Zalewska: „Powodzenia! Jesteśmy z Wami”. Widać, że jest ona świadoma poświęcenia państwa Nawrockich, skoro życzyła im powodzenia i wyraziła wsparcie, ale pewien internauta natychmiast ostudził jej poliamoryczną inicjatywę: „Aniu, oni chcą być sami na urlopie”.

„I’d die for you” – śpiewał Bryan Adams. Natomiast doktor Nawrocki w zeszłym roku opublikował na stronie Instytutu Pamięci Narodowej artykuł (aż w siedmiu językach: polskim, angielskim, hiszpańskim, francuskim, włoskim, ukraińskim i rosyjskim) pod znamienym tytułem „Walczyli dla innych, umierali dla Polski”, poświęcony polskim żołnierzom w czasie II wojny światowej. Miłość ojczyzny według Nawrockiego polega więc na tym, że w czasie wojny dla Polski się umiera, a w czasie pokoju – jedzie się dla niej na urlop z żoną. Sądzę, że to ważny głos w dyskusjach o współczesnym patriotyzmie. I dobrze, że wybrzmiał aż w siedmiu językach.

Ponieważ jednak komentarz do wspomnianego zdjęcia nie

został chyba jeszcze przetłumaczony, wyręczmy więc pana doktora i niech choć tutaj wybrzmiały frazy: „holiday for Poland”, „vacaciones para la Polonia”, „vacances pour la Pologne”, „vacanze per la Polonia”, „відпочинок для Польши” i „отпуск для Польши”. Aż się prosi jeszcze „Urlaub für Polen”, ale tu konotacje byłyby niepożądane.

Wróćmy więc do pożądanego, bo ten wątek wydaje się jednak kluczowy. Być może komentarz doktora Nawrockiego był nieświadomym logicznych i politycznych konsekwencji wyznaniem człowieka zaślepionego miłością, ciągiem dalszym wyznania pierwszego, które wypowiedział z Hali Sokoła. Trzeba je wówczas rozumieć jako zapewnienie, że wszystko, co kandydat robi, robi dla Polski, z urlopem włącznie, nawet jeśli zgodnie z zasadami przeciwdziałania pracoholizmowi i według wytycznych psychologów człowiek na urlopie powinien zawiesić wykonywanie jakichkolwiek obowiązków. Jego miłość jest prawdziwa, bo nie jest to miłość z obowiązku. Takiej miłości nie można zawiesić na czas wakacji.

A Bryan Adams? Cóż, należy już do przeszłości. Dzisiaj słuchamy miłosnej pieśni Bryana Wrockiego (to drugie, liryczne oblicze brutalnego Now Rock’ego), zatytułowanej: „Everything (Even Urlop) I Do, I Do It For Polska!”. Poddajemy to pod rozwagę producentom wyborczych gadżetów. ●

Za pięć trzynasta

Grand mal czyli śródmiejska padaczka

„Mieliśmy szczęście”, powiedział mój sąsiad ze szpitalnej Sali...

Jarosław Mikołajewski

Miesiąc temu poprosiłem Wyborczą o cotygodniowy felieton, który doprowadzi mnie do emerytury (20 marca). Taki w obronie spraw, rzeczy i ludzi zagrożonych w świecie, w którym mnie i takich, jak ja już nie będzie.

Zacząłem w pierwszym z nich od małego protestu wobec opinii premiera wedle, której w polityce słabość jest żałosna. Tydzień później skierowałem się ku Wenecji, historii i znaczeniom, o jakich pisał w esaju na swoje 90-lecie profesor Krzysztof Pomiana. Aż, kiedy miałem już pisać felieton trzeci padłem. Dosłownie. A było tak...

Tydzień temu zapragnąłem zobaczyć podłogę w holu Żydowskiego Instytutu Historycznego, pozostałość ognia z 16 maja 1943 roku, kiedy Jurgen Stroop rozkazał spalić Wielką Synagogę na Tłomackiem, z Główną Biblioteką Judaistyczną.

To jedno z kilku miejsc w Warszawie, gdzie można zobaczyć cień dawnego ognia. Innym, mniej znanym, jest Biblioteka Narodowa, Pałac Krasiniskich, ze skrzepem spalonego przez hitlerowców księgozbioru.

Poruszają mnie jakimś niedzisiejszym zmysłem takie pamiętki, odwiedzanie ich w tym czasie, który uważam za czas wielkiego zagrożenia, jest dla mnie czymś jak opowiadanie się po stronie zagrożonych.

Pojechałem więc z moich Kabat na stację Ratusz Arsenal, czułem się dobrze, wszedłem do ŻIH, wziąłem zdjęcie portretowe Jonasza Sterna, które leżało na ławie, wszedłem do księgarenki (gdzie znalazłem również moje rzeczy wydane przez krakowską Austerię), i zaraz po krótkiej wizycie stało się coś, przez co otrząsnąłem się w karetce, następnie w szpitalu, bez żadnej pamięci o zdarzeniu.

Nigdy nie ukrywałem, że moim językiem jest poezja, opowiem więc wszystko wierszem. Dwoma, napisanymi w tych dniach:

CO SIĘ NIE ZDARZYŁO
gdyby przedwczorajszy dzień miał być
kończący
nawet bym nie wiedział
że coś się zdarzyło
nic bym nie pamiętał
za nic nie przeprosił
całym moim życiem byłaby rozmowa
nad wegańską zupą i portretem sterna
moja padaczka w cieniu synagogi
byłaby od podstaw ofiarą niegodną

GRAND MAL
tuż przed atakiem jak mówią
padaczki
długo patrzyłem na mapy zabitych
i robiłem zdjęcia spalonej podłodzi
później w twarde ręce porwała mnie zimna
przeniesiona niemilość
co nigdy nic nie wie
a zaraz potem w cztery czule palce
miłość ciepła i miękka
której nie widziałem
taka co przychodzi od zgarbionych
pleców
z pokłonem przyjąłem talerz wschodniej
zupy
zaśpiewałem dziękczynnie
i upadłem jak człowiek
i nic nie pamiętam
i dopiero potem
od strony trudnego zmartwychwstania
plemion
[...]
pomiędzy tym wszystkim przemieszczał się
anioł
swoim prędkim lotem czulej pielęgniarki

Jest w tym epizodzie i (mniemam) w tych wierszach nieco tajemnicy. Tej jednej, ogromnej, w której brniemy bezwiednie, jest też sporo tajemnic fragmentarycznych (kto mi pomógł? jak budował siebie i swoją wiedzę, żeby przygotować się na nasze spotka-

nie i mnie uratować?...). I jest pośrodku człowiek (ja i każdy inny uczestnik zdarzeń), który w związku lub bez związku z drogą, jaką tego dnia wybrałem dla siebie, znalazł się nagle w samym środku tego wszystkiego, i teraz patrzy bezzadnie na to co się stało, i jeśli zdołał otrząsnąć się ze zdrowotnych skutków, to nie ze znaczeń. Nie wie dlaczego od czuwa wzruszenie od chwili gdy zrozumiał, że to, co mu się zdarzyło, nazywa się grand mal, epilepsją, że bratem jest mu Myszkin, a jego skroni jest skronią Dostojewskiego. Nie rozumie zdarzeń, które teraz, z perspektywy upadku, mógłby czytać jak znaki, gdyby nie obawiał się własnej śmieszności.

Znaki znakami, lecz najważniejsi są ludzie, których spotkał. Bliscy, którzy go szukali po mieście i odchodzili od zmyśłów. Nadzwyczajność ratowników, pielęgniarek, lekarek (lekarzy nie spotkałem). Ich filigranowe, japońskie skupienie, dobrane słowa, uważność.

Tak, to byli ludzie z mojej legendy, z mojej poetyki. Dzięki nim przetrwałem.

„Mieliśmy szczęście”, powiedział mój sąsiad ze szpitalnej Sali, mając na uwadze tych, którzy mieli mniej szczęścia i leżą w innym sektorze, i nie mają szansy na spacer korytarzem.

Byłem w środku wszystkiego i zaświadczam, że w tym środku jest wszystko. ●

ARGENTYŃSKA MASAKRA PIŁĄ MECHANICZNĄ

Javier Milei: hybryda Trumpa, Berlusconi, Kukiza i Korwina-Mikke.
Ale zna się na pieniądzu.

Mateusz Mazzini

Ma Argentynę pierwszy raz spoglądałem zza kurtyny ulewnego deszczu. Buenos Aires w lipcu 2012 r. już przy lądowaniu przywitało mnie dosłowną ścianą wody. Kierowca, który wiozł mnie z lotniska do wynajętego przez polską ambasadę pokoju w Palermo, popularnej wśród studentów i artystów dzielnicy klasy średniej, zapewniał, że za szybami auta znajduje się „najpiękniejsze miasto półkuli zachodniej”. Ja widziałem tylko miotane wiatrem strugi wody. I wskazówki zegarka przemierzające cyferblat w ślimaczym tempie – bo jezdnie zamieniły się w jeziora, prawie zerowa widoczność znacząco spowolniły podróż do miasta. A i bez tego byłaby bardzo długa, bo Buenos, jak przystało na latynoamerykańską metropolię, jest rozlanym gigantem.

Ten deszcz lejący kilkanaście dni pojawia się nie przypadkiem. Nie jest tylko anegdotą uczłowieczającą analityczny tekst. Będzie towarzyszył nam jako bohater opowieści o Argentynczykach i Argentynie.

Przyjechałem na staż w polskiej placówce dyplomatycznej połączony ze zbieraniem materiałów do pracy magisterskiej o argentyńskiej transformacji ustrojowej. Zaraz jednak znacznie ważniejsze od „po co” okazało się „skąd”.

Leciałem do Argentyny prosto z Hiszpanii. A na Półwyspie Iberyjskim wciąż bardzo mocno odczuwano wtedy skutki wielkiego kryzysu z 2008 r., który przyszedł z USA, w unijnej odsłonie ciągnął się do brych parę lat i wyjątkowo boleśnie odcisnął się właśnie na europejskim południu.

Bańka nieruchomościowa pękła z hukiem, pociągając za sobą sektor finansowy. Popularne w krajach iberyjskich regionalne kasy pożyczkowe nie miały, w przeciwieństwie do wielkich banków, osłony przed niespłacanymi kredytami, więc padały jak muchy.

Z kolei to, że duże instytucje finansowe ratował rząd, wywołało gigantyczną falę niezadowolenia. Na madryckim placu Puerta del Sol zaczęła się okupacja prowadzona przez lewicowe młodzieżówki i grupy aktywistyczne – to z nich później narodziło się Podemos, najbardziej znany produkt europejskiego lewicowego populizmu.

Trzaski w strukturze społecznej słychać było wszędzie. Bezrobocie skoczyło do 26 proc., a najmocniej kryzys odczuli młodzi – w niektórych regionach Hiszpanii bez pracy był co drugi mieszkaniec przed trzydziestką. Eksmisje z niespłacanych mieszkań, również całych rodzin, były na porządku dziennym. Tymczasem rządowe szalupy ratunkowe dla banków napędzały spiralę długu publicznego, co z kolei rozszerzyło Brukselę, a zwłaszcza Berlin.

W cztery lata hiszpańska gospodarka skurczyła się o 3,6 proc., bo pod presją chlubiącą się niemiecką gospodarnością Merkel i jej kolegów kolejni premierzy – socjalista José Luis Zapatero i jego następca, pra-

wicowy postfrankista Mariano Rajoy – wprowadzali cięcia w wydatkach publicznych. Zamrażali waloryzację świadczeń i powtarzali mantrę o zmianie pracy oraz wzięciu kredytu. Z tygodnia na tydzień na ulicach przybywało bezdomnych. Widziałem nieraz ludzi w garniturach, którzy nocami koczowali ze śpiworami w aneksach bankomatowych.

Nawet na uczelni niektórym puszczały nerwy. Z mojego seminarium o polityce europejskiej wykładowca wyrzucił Niemca z Erasmusa, bo ten ostro komentował przyczyny kryzysu leżące ponoć w „południowym charakterze”. W hiszpańskim powietrzu naprawdę pachniało rewolucją.

Z takiego krajobrazu przeskoczyłem 10 tys. km i wylądowałem w kraju, który był na gospodarczej huśtawce, za każdym wahaniami wychylając się dalej i dalej.

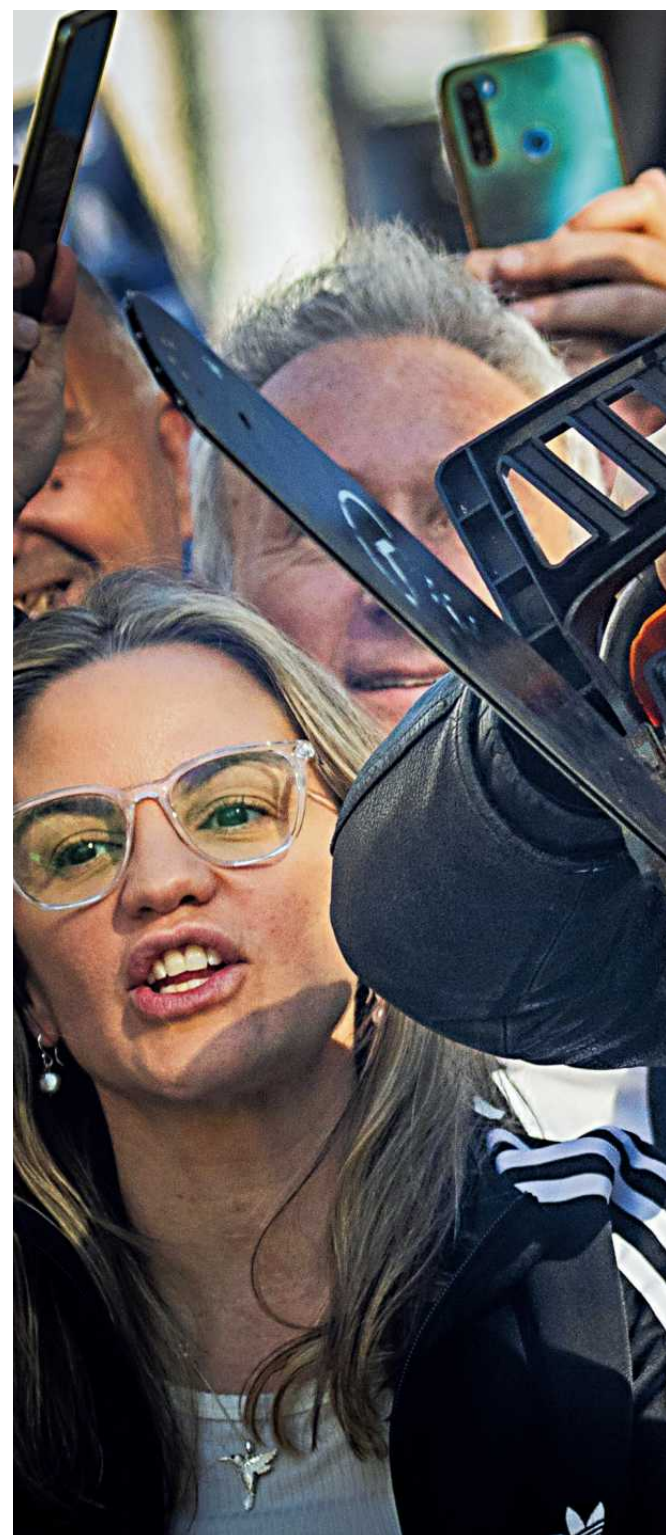
Od upadku wojskowej dyktatury generała Jorgego Videli w 1983 r. przez Casa Rosada, siedzibę argentyńskiej głowy państwa, przewinęło się już wówczas dziewięć lokatorów – sporo jak na zaledwie 27 lat demokracji. Rekordzista Ramón Puerta był prezydentem zaledwie przez dwa dni w czasie słynnego „kryzysu obrotowych drzwi” z 2001 r.

Wówczas gospodarka była w tak oplakany stan, że pytania o przyszłość Argentyny jako suwerennego państwa wydawały się niespecjalnie przesadzone: 144 mld dol. długu publicznego, 55 proc. PKB i bezrobocie pomiędzy 20 a 40 proc. – ile dokładnie, nie wiedział nikt, bo kto mógł, uciekał do szarej strefy.

Oficjalny kurs miejscowej waluty, peso, był zrównany z amerykańskim dolarem, ale w ten sztuczny układ narzucony przez bank centralny nikt nie wierzył – ani na ulicy, ani na światowych rynkach. Czterech na dziesięciu Argentynczyków żyło poniżej granicy ubóstwa. Nikt się nie zdziwił, gdy Puerta wywiesił białą flagę już po kilkudziesięciu godzinach.

Gdy lądowałem w podtopionym Buenos Aires dekadę później, było trochę lepiej. Trochę. Politycznie dominowała ciągłość, bo po czterech latach rządów Néstora Kirchnera w Casa Rosada mieszkała wdowa po nim Cristina. Lecz w gospodarce było mniej ciekawie. Inflacja, oficjalnie 10-procentowa, prawdopodobnie wynosiła trzy razy więcej. Prawdopodobnie, bo Kirchnerowie kochali manipulować danymi – jednego roku gospodarka potrafiła urosnąć o 10 proc., następnego tempo wzrostu spadło do 0,9 proc. – dlatego nikt już w oficjalne projekcje INDEC, urzędu statystycznego, po prostu nie wierzył.

Jak przystało na peronistów, kontynuatorów lewicowego populizmu połączonych z klientyzmem, Kirchnerowie wydawali pieniądze na potęgę. Z tą różnicą, że Juan i Evita Peronowie wydawali pieniądze, które – do czasu – mieli, dając szkołę, w miarę pewny byt i awans społeczny setkom tysięcy biedaków, a Néstor i Cristina wydawali pieniądze, których nie mieli. Nie chcieli obcinać socjału, utrzymywali ulgi na prąd i gigantyczne zniżki na transport publiczny, które byłyby w porządku jako wyrównywanie szans, ale przysługiwały prawie każdej grupie społecznej.



Do tego mocno ograniczyli import, swoim protekcjonizmem wywołując gniew Światowej Organizacji Handlu (WTO).

W krótszej perspektywie czasowej przyniosło to jakieś korzyści gospodarcze, ale na dłuższą metę okazało się uwerturą do katastrofy. Chronieni lokalni producenci przestali być konkurencyjni na rynkach światowych, więc mało kto importował ich produkty. A argentyńska gospodarka, jak wszystkie w regionie, mocno zależała od eksportu. Polityka pompowania publicznej kasy w krajową produkcję okazywała się coraz droższa, a przychody malały. Kirchnerowie zaczęli więc robić to, co w takich sytuacjach czyniła większość populistów – drukowali pieniądze na potęgę.

A prywatni inwestorzy, w tym zagraniczni, patrzyli na Argentynę z coraz większą niechęcią. Stała się krajem niestabilnym, bez innowacji, ręcznie sterowanym. I tak na przykład rolnicy mieli produkować na rynek krajowy, a ich pozycja konkurencyjna była sztucznie wzmacniana regulacjami rodem z czasów PRL. Wiele z nich przetrwało zresztą czasy Kirchnerismo – jeszcze do końca 2023 r. w argentyńskich sklepach większość zagranicznych produktów spożywczych mogła być sprzedawana wyłącznie pod warunkiem, że obok na półce stanie krajowy odpowiednik. Niechętnie patrzyli na to sami konsumenci, którzy borykali się z bardzo ograniczonym wyborem w sklepach. Po droższe produkty, zwłaszcza po elektronikę, latali do Chile, Urugwaju, nawet do USA.

Z tego wszystkiego w kraju spadała produktywność, przemysł się związał, a słynna argentyńska żywność przestała kogokolwiek interesować na rynkach zagranicznych. Także dlatego, że drastycznie spadła jej jakość.

Już po kilkunastu godzinach w Buenos zorientowałem się, że coś w argentyńskiej gospodarce bardzo źle funkcjonuje, a pomógł mi w tym właśnie deszcz.



Galopująca inflacja zżerała płace realne, więc coraz więcej grup zawodowych strajkowało. To słowo w Polsce straciło już moc, mało który strajk – poza strajkami rolników, które unieruchamiają pół miasta – robi na kimś wrażenie, więc trudno oddać słowami, co strajk oznacza w Argentynie. Dość powiedzieć, że pod wrażeniem byłiby nawet Francuzi z ich sławną tradycją strajkowania masowego, agresywnego i skutecznego.

Związki zawodowe mają w Argentynie siłę polityczną, jakiej nie miały w Europie nigdy, nawet przed nastaniem neoliberalnych porządków lat 80. i 90. Według danych Institute for Policy Studies, waszyngtońskiego centrum analitycznego badającego rynek pracy w krajach półkuli zachodniej, aż 30 proc. wszystkich osób zatrudnionych w argentyńskiej gospodarce należy do jakiegoś zrzeszenia broniącego praw pracowniczych. Największe z nich, Confederación General del Trabajo, w skrócie CGT, zrzesza ponad 7 mln członków.

Dla porównania, nawet optymistyczne szacunki dotyczące łącznego rozmiaru NSZZ „Solidarność” i OPZZ, dwóch największych związków zawodowych w Polsce, nie przekraczają miliona członków. Przepaść, nawet biorąc pod uwagę fakt, że w Ar-

gentynie mieszka raptem 8 mln osób więcej niż nad Wisłą.

Wtedy, w 2012 r., na strajk zdecydowali się akurat pracownicy transportu publicznego i kierowcy ciężarówek. Buenos Aires było całkowicie sparaliżowane, bo nie działało metro – jedyny skuteczny środek komunikacji miejskiej w tak ogromnej metropolii. W sklepach spożywczych półki zaczęły świecić pustkami, bo żywność przestała docierać z prowincji. Z kolei ulewy sprawiły, że wyludniły się ulice – a więc przychód straciły tysiące osób zarabiających z dnia na dzień na chodnikach w ramach gospodarki nieformalnej.

Argentyńczycy próbowali ratować swoje kurczące się majątki, wyprowadzając je z kraju. Pomocny w tym był – i nadal jest – sąsiedni Urugwaj uznawany za Szwajcarię Ameryki Południowej z powodu stabilności tamtejszego sektora bankowego.

Porteños, jak nazywa się mieszkańców Buenos, ładowali się więc masowo na promy przez rzekę La Plata, wcześniej wymieniając wszystko, co mieli, na dolary. Cristina de Kirchner szybko się w tym jednak połapała i nałożyła ograniczenia w handlu walutą. W efekcie w Argentynie istniały dwa różne kursy dolara, a każdy w Buenos miał „swojego faceta z ulicy”, który

• **Javier Milei, jeszcze jako kandydat partii La Libertad Avanza (Wolność idzie naprzód) na prezydenta Argentyny, na wiecu wyborczym w Buenos Aires ze swoim ulubionym populistycznym gadżetem – piłą, symbolem cięć – wszystkiego i wszędzie. (25.09.2023)**

FOT. TOMAS CUESTA/
GETTY IMAGES

wymieniał dla niego peso. Mocno spolaryzowani politycznie i światopoglądowo Argentyńczycy zgadzali się w jednej kwestii – żeby za żadne skarby nie wymieniać pieniędzy w banku czy w kantorze. Słyszałem tę radę nawet od pracowników administracji rządowej.

• Skalę i wymiary tego chaosu próbowałem pojąć z pomocą lokalsów. Było mi o tyle łatwo, że ich reprezentantów miałem pod ręką przez większą część dnia, w tym przy śniadaniach i kolacjach, gdyż ambasada umieściła mnie w wielkim mieszkaniu, w którym pozostałe pokoje wynajmowali młodzi ludzie.

Jedna z moich współlokatorek była bardzo zainteresowana sytuacją w Europie i od razu zaczęła wypytywać o życie w Hiszpanii. Uderzyłem więc w tony wtedy mi najbliższe – a więc apokaliptyczne.

Opowiedziałem o studenckich protestach i o bezdomnych w garniturach. Dorzuciłem te dane, które akurat miałem w głowie, zwłaszcza o bezrobociu wśród młodych. Nie mogę zapomnieć jej reakcji.

– To jest ten hiszpański kryzys?

– Tak, i trwa zresztą trzeci rok!

– I naprawdę jest taka panika z tego powodu? – dopypywała, jakby chciała rozłożyć każde moje słowo na czynniki pierwsze.

– Tak – odpowiedziałem coraz bardziej zdeorientowany.

– Śmieszni jesteście w tej Europie – powiedziała po dłuższej chwili i parsknęła śmiechem. – Histeryzujecie z powodu takich drobiazgów! A to nie są nawet prawdziwe kłopoty. To, co wy nazywacie kryzysem, w Argentynie jest życiem codziennym.

• Ta opowieść o podróży za ocean 13 lat temu może się wydać dykteryjką, ale jest niezbędna, by polski czytelnik zrozumiał kontekst, w jakim istnieje argentyńska polityka.

Argentyńczycy to naród dumny, w którym wciąż w zbiorowej pamięci żyje dostatek pierwszych lat powojnia. Ręka w górę, kto wie, że w drugiej połowie lat 40. XX wieku PKB Argentyny było w pierwszej dekadzie na świecie.

Gdy Europa podnosiła się z gruzów, argentyńska klasa średnia regularnie jadła czerwone mięso i piła wino. Do kraju w dużych ilościach sprowadzano włoskie perfumy i najnowsze modele amerykańskich samochodów, dla Europejczyków wówczas szczyt niedostępnego luksusu. Niektóre z dzielnic Buenos Aires, jak Recoleta, są do dziś świadectwem tamtych czasów – wielkie domy, przypominające francuskie czy włoskie wille, były rozbudowywane i dekorowane właśnie zaraz po wojnie.

W dodatku Argentyńczycy lubią mówić o sobie – zwłaszcza mieszkańcy Buenos Aires – że są „Europejczykami na wygnaniu”. Przywiązanie do europejskich form spędzania czasu, zwłaszcza tych popularnych wśród klasy średniej – teatr, dyskusje o literaturze, chodzenie do opery i filharmonii – to dla Argentyńczyków jednocześnie dowód i sposób na zademonstrowanie, że różnią się od reszty latynoskich narodów.

Podobnie jak prawie całkowity brak niebiałej populacji. Większość z nich ma zresztą korzenie na Starym Kontynencie, a nawet unijne paszporty – z Europy wywodzi się 97 proc. mieszkańców tego kraju. Fakt, że znaleźli się w Ameryce Łacińskiej, w otoczeniu chaosu, pospólstwa i biedy, uznają za błąd w boskiej kalkulacji.

Innymi słowy, nawet jeśli Argentyńczykom żyje się nie najgorzej w porównaniu z Kolumbijczykami, Wenezuelczykami czy sporą częścią Brazylijczyków, to oni sami mają inny punkt odniesienia – porównują się nie z sąsiadami Latynosami, ale z Francuzami, Niemcami i resztą Starego Świata.

• Jednocześnie żaden chyba kraj w najnowszej historii nie zaprzepaścił tak bardzo szansy na dobrobyt jak właśnie Argentyna.

Dziewięć lat rządów generała Peróna, prowadzonych pod hasłem nacjonalizacji, protekcjonizmu i ogromnych wydatków społecznych za cenę galopującego zadłużenia zagranicznego błyskawicznie wypchnęło Argentyńczyków na światowy margines.

Dwa przewroty wojskowe zdestabilizowały kraj politycznie i społecznie, a od transformacji ustrojowej w 1983 r. było albo źle, albo jeszcze gorzej.

Argentyna wyszła z dyktatury ze zdewastowaną gospodarką, przyduszoną bezsensowną wojną o Falklandy z Wielką Brytanią. Obywatele nie mieli zaufania do rodzącego się demokratycznego państwa. Klasa średnia wyemigrowała do Europy i USA, brakowało kapitału, innowacji, a do tego ludzie byli

Milei zbil potężny kapitał na nienawiści do instytucji i rządzących nimi elit, jednocześnie rozumiejąc, że nikt już nie woła o ich zmianę, tylko o ich eliminację

zwyczajnie strauumatyzowani latami terroru i prześladowań.

Już pierwszy demokratyczny prezydent, Raúl Alfonsín, odszedł z urzędu w cieniu kryzysu gospodarczego. Jego następca, Carlos Menem, do polityki trafił z ekranu, na którym był gwiazdą oper mydlanych. Argentynicy wybierali idoli, którzy jednak nie byli w stanie dać im stabilizacji.

Szczyt dramatu przypadł na 2023 r., kiedy wskaźniki gospodarcze osiągnęły wartości trudne do zracjonalizowania przez ekonomistów. W październiku, tuż przed ostatnimi wyborami prezydenckimi, roczna inflacja rocznym wynosiła 143 proc., a zdaniem wielu i tak była niedoszaczowana.

W 10 miesięcy peso straciło połowę wartości względem dolara. Produkcja rolna spadła o ponad jedną czwartą w porównaniu z analogicznym okresem rok wcześniej. Oficjalnie bezrobocie wahało się między 8 a 10 proc., ale realnie było pewnie sporo wyższe. 38 proc. mieszkańców żyło na granicy ubóstwa.

A za granicą Argentyna już nie mogła się ratować, bo była zadłużona na 290 mld dol., z czego 44 mld pochodziły od Międzynarodowego Funduszu Walutowego – co stanowiło największą pożyczkę w historii tej organizacji.

Rząd w Buenos Aires miał praktycznie zerową wiarygodność na światowych rynkach. Ówczesny prezydent, peronista Alberto Fernández, chwytął się już każdej brzytwy – zaproponował inwestorom kupno argentyńskich obligacji z terminem wykupu 99 lat. Argentynicy nie siedzieli już wtedy na mocno wychylonej huśtawce, tylko z niej wypadli, lecąc w przepaść.

A potem pojawił się Javier Milei.

● Obecny prezydent Argentyny z punktu widzenia jego osobowości, nie tylko politycznej, napisano już wszystko.

Anarchokapitalista, który zaczynał karierę w show-biznesie jako sobowtór Mica Jaggera, ekscentryczny wykładawca, doktrynersko libertariański ekonomista lubujący się w werbalnych zaczepkach, na wiecach wyborczych pojawiający się z piłą mechaniczną. To prosta, typowa dla nowoczesnego prawicowego populizmu metafora cięć.

Do tego klasyczny zestaw antyestablishmentowych poglądów, nienawiść do elit, na miękko podawane teorie spiskowe o globalnej konspiracji neomarksistowskiej lewicy. Fantazje o całkowitym zakazie aborcji – co Argentynicy komentują: „co mu zależy, skoro sam nie ma dzieci i pozostaje singlem” – plus parę pomysłów rodem z odjechanej ekstremalnie wolnościowej prawicy, w rodzaju legalizacji dobrowolnego handlu organami.

Poza tym komunikacja z duchem ukochanego mastifa z pomocą medium, skłanianie go w pięciu – o ile można tak powiedzieć o zwierzęciu – egzemplarzach i obsadzanie dwóch w roli doradców, pielęgnowana od lat miłość do dickensowskich bokobrodów i skórzanych kurtek.

Oraz – tu akurat trudno mówić o ekscentrycznym wyjątku, raczej o nowym standardzie wśród wyrazistych politycznych liderów – uzależnienie od mediów społecznościowych, zwłaszcza od X/Twittera, ale też od własnego wizerunku publicznego.

Jon Lee Anderson, legendarny amerykański reporter piszący dla „New Yorke-



● **Stolica Argentyny, niespełna rok po wyborach, to miejsce ciągłych demonstracji przeciwko polityce nowego prezydenta. Na zdj. protest po zażetowaniu przez niego reformy emerytalnej. W czasie kampanii wyborczej nie ukrywał, że dokona cięć w polityce socjalnej, a mimo to m.in. emeryci na niego głosowali. A teraz nie mogą uwierzyć, że robi to co obiecał. Buenos Aires, 4.09.2024**

ra”, wspominał pod koniec ubiegłego roku, że kiedy pojechał do Buenos Aires spotkać się z Mileiem, gdy tylko wszedł do gabinetu, usłyszał pytanie, czy ma ochotę na selfie z gospodarzem. I mimo że nie był zainteresowany, prezydent uparcie nalegał.

Na pierwszy rzut oka Milei wydawał się idealnym kandydatem na kapitana, który ostatecznie zatopi argentyński statek narodowy, bo na widok góry lodowej da sygnał „cała naprzód”. Tymczasem nieco ponad rok po objęciu przezeń władzy inflacja w ujęciu rocznym spadła do blisko 118 proc. Zagraniczni inwestorzy dali ekscentrykowi kredyt zaufania, a Argentyna osiągnęła nadwyżkę fiskalną.

Dodatkowo Milei stał się idolem całej globalnej alt-prawicy. Wywiad na żywo zrobił z nim Tucker Carlson, były gwiazdor Fox News, ewangelista ruchu MAGA. Trump zaprosił go na swoją inaugurację, co jest wyraźnym komunikatem, bo zaproszone głowy państw można było policzyć na palcach jednej ręki.

Wielbą go europejscy politycy nowej prawicy – Santiago Abascal z hiszpańskiego Vox regularnie zaprasza Argentyńczyka do Madrytu na zjazdy prawicowo-ludowych radykałów, te same, na których był Mateusz Morawiecki. Wywołująca się z Braci Włoskich Giorgia Meloni dba o dobre relacje z nim tak bardzo, że spotkali się już dwukrotnie. Milei chyba ją polubił, bo za drugim razem podarował premierce figurkę samego siebie z piłą mechaniczną.

● Taki sukces musi mieć mroczny rewers – i oczywiście ma. Na co zwracają uwagę zwłaszcza media lewicowe. „The Guardian” w połowie stycznia opublikował stanowisko redakcji odnoszące się do pierwszych 12 miesięcy terapii szokowej Mileia.

Nie pasuje do niego klasyczna definicja populisty, nie pasuje etykieta MAGA ani faszysty. Milei stawia się raczej w pozycji racjonalisty, filozofa praktyka, który obnaża bezsens i hipokryzję państwa. Nie państwa demokratycznego i liberalnego, tylko państwa jako koncepcji

Nazwał ją „cyniczną, krótkowzroczną kampanią, która ignoruje potrzebę przeprowadzenia znaczących reform w Argentynie”. Autorzy zakwestionowali osiągnięcia nowego prezydenta w gospodarce, stwierdzając, że w istocie statystyki ma niewiele lepsze od lewicowych poprzedników.

Do listy zarzutów dopisali też koszty społeczne. W Argentynie jeszcze wzrosła polityczna polaryzacja, do głównego nurtu wróciła tęsknota za autorytaryzmem, u niektórych nawet do dyktatury.

Wskutek reform najmocniej ucierpiały kobiety i mniejszości, w tym osoby LGBT+, które dopiero co zaczęły cieszyć się prawami. Pogłębia się rozwarstwienie pomiędzy metropoliami i prowincją. Młodzi ludzie wycofują się z zaangażowania publicznego.

To wszystko zjawiska z definicji niepolityczne – ale widoczne w codziennym życiu i autentycznie bolesne. Lecz z punktu widzenia finansów publicznych trzeba tę analizę jednak zniuansować.

W ekonomii wiele rzeczy jest kwestią interpretacji, niektórzy wręcz odmawiają jej statusu nauki ścisłej, ale brytyjski dziennik podszedł do sprawy wycinkowo, koncentrując się na pierwszym półroczu rządów Mileia. Wtedy rzeczywiście było gorzej niż za Fernándezem, bo taka też jest natura neoliberalnych terapii szokowych. Jednak później faktycznie gospodarka zaczęła odbijać, a pozytywny trend utrzymuje się do teraz.

Nie można też Mileiowi zarzucić, że niczym Trump słabo nawiguje w otoczeniu międzynarodowym – zaufanie inwestorów do Argentyny jest nieporównywalnie więk-

sze niż przed jego wyborem na prezydenta, a zbliżająca się kolejna runda rozmów z MFW na temat spłaty pożyczki powinna pójść gładko, bo Fundusz zawsze dogadywał się z rządami, które wprowadzały cięcia na potęgę.

Tak samo wątlm argumentem przeciwko Mileiowi jest poważna zależność argentyńskiej gospodarki od Chin. Owszem, dzisiaj Pekin jest największym partnerem handlowym Buenos Aires, do Państwa Środka trafia 15 proc. tamtejszego eksportu. Chińczycy też w Argentynie masowo inwestują: w infrastrukturę, telekomunikację, sektor wydobywczy.

Ale, po pierwsze, tę sytuację prezydent odziedziczył po peronistach. A po drugie, chce chińską pepowinę stopniowo odciąć. Na początek zawiesił proces akcesji Argentyny do BRICS – nieformalnego bloku wschodzących i odradzających się mocarstw, skupiającego pierwotnie Brazylię, Rosję, Chiny, Indie i RPA, który się sformalizował i poszerza się o kolejne kraje dawnego Trzeciego Świata, stając się przeciwwagą dla zachodnich sojuszy i paktów.

Wielkim zwolennikiem BRICS był Alberto Fernández. A Milei akurat pod tym względem nie tyle naśladuje Trumpa, ile łapie w żagle wiatr zmian w świecie liberalnych demokracji przestraszonych chińską ekspansją.

● Trudno odmówić liberalnym i lewicowym obserwatorom racji, gdy alarmują, że reformy mają olbrzymi koszt społeczny. Tylko w rządzie federalnym Milei zmniejszył liczbę ministerstw z 18 do 9, i przez rok zwolnił 34 tys. urzędników oraz pracowników administracji. Zatrudnienie w sektorze publicznym zmniejszył łącznie o 7 proc.

Terapia szokowa podniosła ceny podstawowych produktów, a wstrzymanie dotowania biletów na transport publiczny czy zlikwidowanie ulg w energetyce pogorszyło jakość życia setek tysięcy Argentyńczyków. Protestowali kolejarze, kierowcy ciężarówek, nauczyciele, ale Milei się nie ugiął. Parl przed siebie i ciął wszystko jak drwał. Piła mechaniczna nie była przypadkową metaforą.

Po raz kolejny ku zdziwieniu środowisk progresywnych prawdziwa okazała się ta sama zasada co w przypadku drugiej administracji Trumpa. Prawicowy neopopulista obiecywał w kampanii, że po przejściu władzy dokona rezi wśród urzędników, przeorganizuje gospodarkę, odbierze przywile-

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY:
Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;

MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Zabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski; **FOTOEDYCJA:** Marta Błażejowska, Dominik Gajda
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas

Biurow reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.





NIE WSTYD PŁAĆ NA POLITYKĘ

Polscy przedsiębiorcy mają problem: jak tu wspierać demokrację, gdy już wygrała, a rząd nie jest rządem z obietnic?

Igor Czernecki

Polscy przedsiębiorcy coraz częściej uważają filantropię za istotny element życiorysu. Jest wśród nich mała, lecz rosnąca grupa z ambicjami, by przyczynić się do poprawy naszego życia publicznego. Finansując kampanie profrekwencyjne przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi, przykładając się do wygranej ówczesnej opozycji, ludzie ci zasmakowali sprawstwa.

Ale jak tu wspierać demokrację, gdy już wygrała? W dodatku nowa władza trochę zawodzi, o tempie realizacji 100 obietnic szkoda gadać, a premier uderza w populistyczne tony. Organizacje społeczne są rozczarowane, filantropi zakłopotani. Brak jasności co do kierunku wspólnych działań.

A tymczasem w wielkim świecie dużo o polityce i pieniądzach.

Każdego dnia czytamy coś o Elonie Musku, który wydał 250 mln dol. na wsparcie Donalda Trumpa. Licytował ostro i wygrał.

Ciekawsze są przykłady dyskretne, rozłożone w czasie. Rodzina Kochów od dwóch pokoleń wspiera ruchy prawicowe. Między 2004 a 2019 r. stworzone przez braci biznes-

menów konsorcjum konserwatywnych filantropów przekazało setki milionów na sieć: think tanków, fundacji, ruchów społecznych, katedr uniwersyteckich, stowarzyszeń prawniczych i konserwatywnych polityków. Wszystko łączy cel: radykalne ograniczenie państwa federalnego i obniżenie podatków. Członkowie wpłacają co roku składki (min. 100 tys. dol.) do scentralizowanej organizacji, ze strategią rozpiętą na dekadę.

Kilka lat temu Barre Seid, biznesmen z Chicago, przekazał 1,6 mld dol. Stowarzyszeniu Federalistów. Organizacja prowadzona przez enigmatycznego Leonarda Leo jest kuźnią kadr konserwatywnych sędziów – kandydatów do sądów stanowych, federalnych i Sądu Najwyższego.

Takie rzeczy dzieją się nie tylko za Atlantykiem. W lipcu „Le Monde” opisał przykład francuskiego miliardera Pierre’a-Edouarda Stérina, który w ramach planu rozpiętego na 10 lat przeznaczył 150 mln euro na „ideologiczne, wyborcze i polityczne zwycięstwo” francuskiej prawicy. Plan „Perykles” zakłada m.in. zidentyfikowanie 300 miasteczek we Francji, w których wybory samorządowe w 2026 r. wygrać mogą członkowie Zgromadzenia Narodowego, partii Marine Le Pen. Już działa Instytut Formacji Politycznej, w którym szkołą się przyszli kandydaci. Przewidziano pieniądze na finansowanie tych 300 kampanii. Powstał też think tank, który ma wpływać na debatę publiczną i wspierać konserwatywnych sędziów.

Niepokojące, ale też imponujące, prawda? Dlaczego nasza strona tak nie robi? – nasuwa się pytanie.

Pytanie tym bardziej zasadne, że równocześnie wysychają sprawdzone źródła finansowania społeczeństwa obywatelskiego w regionie. W 2023 r. OSF - fundacja założona przez George’a Sorosa - zredukowała

w Europie budżet i kadry, a w zeszłym tygodniu Trump rozkazał zamrozić amerykańskie pieniądze na pomoc zagraniczną, z których korzystały polskie NGO-sy.

Inercja wynika z błędnej definicji tego, o co nam chodzi. O demokrację – powiadamy. Ale czy mamy prawo wykluczać wyborców PiS czy Konfederacji z tej definicji?

Zabieg „Jesteś demokratą, jeśli głosujesz tak jak my, inaczej jesteś faszystą, pożytecznym idiotą, agentem Putina, człowiekiem o duszy autorytarnej” brzmi jak passus z przewodnika politycznego populistów.

Poza tym wygrana „demokratów” demobilizuje, czego jesteśmy świadkami. Pozostaje czekać, aż sondaże znowu zaczną dołować, by w ostatniej chwili zasypać pieniądze organizacje społeczne w wątpliwej nadziei, że zmobilizuje się „naszych”, a zniechęci „tamtych”.

Dopóki żyjemy w kraju, w którym władza pokojowo przechodzi z rąk do rąk zgodnie z wolą wyborców, definiowanie się mianem „demokratów” jest zabiegiem populistycznym. I jak każdy taki zabieg niczego nie rozjaśnia, za to skutecznie dzieli społeczeństwo.

Demokracja to władza większości. Żaden liczący się polityk w Polsce nie odrzuca tej definicji. PiS grało brzydko, uwłaszczając członków na publicznych zasobach, korumpując telewizję publiczną i wydając miliardy z naszych pieniędzy na paskudną propagandę i kampanie wyborcze.

Ale zmanipulowani przez media wyborcy i tyrania większości, której się obawialiśmy, to fenomen demokratyczny, czego uczy Alexis de Tocqueville.

Mówienie o sobie per „demokraci” to także objaw intelektualnego lenistwa. Bracia Koch czy Pierre Stérin nie mają problemu, by się ideologicznie określić – to samozwańczy konserwatyści.

Pierwsi konserwatywny światopogląd rozumieją w duchu libertarianizmu; drugiemu chodzi o chrześcijańską Europę i wolnorynkową gospodarkę. Jasność celu pozwala im obstawiać odpowiednie konie – sędziów czy polityków, którzy taką wizję przekształcają w rzeczywistość.

A o co nam chodzi, gdy mówimy, że bronimy w Polsce demokracji?

Niektórym z nas chodzi o sprawne i niezależne sądy, o niezawisłych sędziów. O media publiczne, które dostarczają informacji, a nie uprawiają propagandę. Chodzi o wolność od arbitralnej przemocy ze strony władzy – fizycznej, psychicznej, ekonomicznej. Do tego potrzebne są: trójpodział władzy, niezależny bank centralny oraz silne, pluralistyczne i wolne media.

Nie są to jednak cechy charakterystyczne po prostu dla demokracji. To cechy liberalizmu. Benjamin Franklin mawiał, że demokracja to taki ustrój, w którym dwa wilki i owca głosują nad tym, co zjeść na kolację. O prawa mniejszości dbają instytucje liberalnego państwa.

Liberalizm wymaga szacunku dla odmiennych poglądów i ustanowienia granic politycznego sporu tam, gdzie w dyskusji gubi się nadrzędna wartość, jaką jest pokojowe współżycie w społeczeństwie. Liberalizm domaga się czynnego przeciwdziałania nierównościom społecznym, nie w imię idei równości, ale w imię równych szans. Z tego powodu liberał sprzeciwia się np. pełzającej prywatyzacji edukacji czy służby zdrowia.

Jednak niechętnie określamy się mianem liberałów. Powód jest prozaiczny. W Europie „liberalizm” kojarzy się z polityką neoliberalną – z niskimi podatkami, niewidocznym państwem, ze znoszeniem barier handlowych, bezkrytyczną globalizacją.



▲ **Charles Koch (rocznik 1935) prawico-
wy miliarder i filantrop. Jeden z czterech
braci, którzy kręcili amerykańską poli-
tyką przez ostatnie dekady. Dwóch już
zmarło – David w 2019 r. i Frederick w
2020 r. Charlesa wspiera jeszcze William
(rocznik 1940)** FOT. GAVIN PETERS/CC BY-SA 3.0

◄ **Petr Pavel – obecny prezydent Czech
– w czasie swojej kampanii wyborczej.
Mało znany, prozachodni generał, który
wygrał wybory w 2023 r., dzięki popar-
ciu i przemyślanej strategii czeskiego
filantropa politycznego Jana Barta**

FOT. MILAN JAROS/BLOOMBERG/GETTY IMAGES



▲ **Leonard Leo (rocznik 1965) prawnik
i biznesmen, postać enigmatyczna. Jego
Stowarzyszenie Federalistów to kuznia
kadr konserwatywnych sędziów – kandy-
datów do sądów stanowych, federalnych
i Sądu Najwyższego USA** FOT. JAHİ CHIKWENDIU/
THE WASHINGTON POST/GETTY IMAGES

■
*Jan Barta i jego koledzy
wspierają partie, które
mają w programach wzrost
podatków dla najbogatszych.
Marzeniem miliardera
jest odrodzenie czeskich
socjaldemokratów*

Zbliżone do neoliberalizmu poglądy ma Arkadiusz Muś, przedsiębiorca finansujący przez długi czas Forum Obywatelskiego Rozwoju profesora Leszka Balcerowicza czy (przed wyborami) PO.

Mam szacunek dla pana Musia za odwagę, którą wykazał, otwarcie wspierając opozycję, gdy PiS dokręcało śrubę. Ale neoliberalizm nie jest odpowiedzią na wyzwania, z którymi się mierzymy, a już na pewno nie jest platformą do wygrywania wyborów. Nie dziwi, że większość ludzi centrum nie chce się z tym nurtem utożsamiać.

■
Alternatywę oferują nasi sąsiedzi z Czech.

Jan Barta to czeski wunderkind, rocznik 1985 – inwestor, miliarder i filantrop myślący systemowo. Jego dewiza jest prosta: jeśli chcemy żyć w liberalnej demokracji, musimy zadbać o to, żeby liberalna demokracja nie zawodziła wyborców. Aby wylapywać deficyt dobra publicznego, Barta używa tych samych analitycznych narzędzi, za których pomocą inwestuje.

Kilka lat temu w Czechach zaczęto poważnie traktować ideę czechxitu. Sondaże od lat wskazywały, że referendum mogłoby wygrać zwolennicy wyjścia z Unii Europejskiej.

Antyunijne nastroje najsilniejsze były na wsi, choć korzystała z ogromnych dotacji z Brukseli. Problem tkwił m. in. w złej jakości gleby, wyjałowionej za czasów pegeerów. Czescy rolnicy przegrywali w wolnorynkowej konkurencji chociażby z Polską. Barta nagłośnił problem i jego znaczenie polityczne oraz zaczął finansować program rewitalizacji. Temat podchwyciła prasa, a rząd w końcu się tym zajął.

O politycznej filantropii Barty zrobiło się głośno w czasie demonstracji przeciwko rządowi Andreja Babiša w 2018 r. Ich organizator, stowarzyszenie Milion Chvilék Pro Demokracii (Milion Chwil dla Demokracji), zdefiniował rozdrobnienie partii opozycyjnych jako główny problem i wezwał do zjednoczenia przed wyborami.

Barta z kilkoma innymi filantropami zaoferowali 5 mln koron wypłacanych w dwóch ratach każdej partii, która apelu posłucha. W Czechach bowiem obywatel może przeznaczyć do 3 mln koron (równowartość 500 tys. zł) na partię w danym roku; w Polsce dozwolona kwota to 64,5 tys. zł.

Wkrótce po tym doświadczeniu ci sami przedsiębiorcy powołali Spolek Pro Podporu Liberální Demokracie ČR (Stowarzyszenie na rzecz Liberalnej Demokracji w Republice Czeskiej). Trzy lata przed wyborami prezydenckimi w 2023 r. stowarzyszenie zleciło badanie, by wyłonić kandydata z najmniejszym elektoratem negatywnym, który miałby szanse w starciu z coraz mniej liberalnym Babišem.

Wypadło na mało znanego, prozachodniego generała NATO Petra Pavla. Założono fundację i zatrudniono sztab profesjonalistów, żeby zwiększyć rozpoznawalność Pavla. Stratedzy wykorzystali pandemię COVID-u, by stworzyć postać męża stanu dbającego o zdrowie rodaków. Po zniesieniu obostrzeń general Pavel był już powszechnie znany i wygrał z urzędującym premierem.

■
Dziś Stowarzyszenie na rzecz Liberalnej Demokracji w Republice Czeskiej przekazuje miliony koron na wsparcie partii, które wyznają liberalne wartości. Preferencje finansujących są nieistotne. Pieniądze dostają wszystkie siły liberalne, które mogą powstrzymać powrót populistów lub zwycięstwo innych skrajnych ugrupowań.

Barta i jego współpracownicy zwrócili uwagę na to, że partiom trudno rekrutować młodych, utalentowanych i patriotycznie motywowanych członków. Stowarzyszenie zaczęło więc finansować partiom zajęcia prowadzone przez ekspertów od public relations i marketingu politycznego.

W Czechach podobnie jak w Polsce prawa strona sprawniej posługuje się internetem. W odpowiedzi stowarzyszenie oferuje liberalnym partiom pieniądze na zatrudnienie doradców od komunikacji z wyborcami.

By je dostać, partie muszą pokazać szczegółowy plan, jak zamierzają profesjonalizować strategię komunikacyjną. W podobnym celu Barta sprowadził niedawno do Pragi zespół odpowiedzialny za kampanię internetową zwycięskiej w Wielkiej Brytanii Partii Pracy.

Ktoś powie, że to plutokracja. Jednak plutokracja to – ściśle biorąc – rządy bogatych w interesie bogatych. Barta i jego koledzy wspierają natomiast partie, które mają w programach wzrost podatków dla najbogatszych. Marzeniem Barty jest odrodzenie czeskich socjaldemokratów.

Owszem, państwo prawa umocowane w unijnych strukturach leży w jego finansowym interesie, ale to akurat jest w interesie większości z nas, i w Czechach, i w Polsce. Poza tym jego stowarzyszenie nie faworyzuje konkretnych czeskich polityków, nie tworzą się kliki – wspierany jest każdy, kto wyznaje liberalne wartości.

Zgoda, nie musiało tak być – Czechy wydają się bardziej od Polski podatne na oligarchizację. Dlatego jestem zwolennikiem obowiązujących u nas limitów finansowania partii politycznych. A jeśli ktoś w ogóle czułby się niekomfortowo, wspierając partie, to Barta i jego koledzy założyli też politycznie neutralny Aliance Pro Moderni Stat (Sojusz na rzecz Nowoczesnego Państwa).

Martin Vohánka, czeski filantrop i przed-

■
*Przed październikowymi
wyborami 2023 sztaby
ówczesnej opozycji
odmawiały przyjęcia prawnie
dozwolonych wpłat od
niektórych przedsiębiorców,
na przykład z branży
deweloperskiej*

siębiorca z interesami w Polsce, tłumaczy, że jego członkowie to grono szersze od Stowarzyszenia na rzecz Liberalnej Demokracji, a pieniądze tam zebrane przekazywane są organizacjom zmierzającym do modernizacji państwa, budowania jego odporności i dobrego zarządzania.

Innym przykładem czeskiej filantropii, która nie dotyczy partii politycznych, ale ma ogromne znaczenie dla jakości demokracji, jest założony w 2016 r. i sfinansowany przez wielu przedsiębiorców z tej samej grupy Nadační Fond Nezávislé Žurnalistiky (Fundusz na rzecz Wolnego Dziennikarstwa). Fundusz wspiera niezależne media nad Węltawą i finansuje dziennikarskie start-upy. Reguły postępowania są jasne, za pewnia Vaclav Muchna, przedsiębiorca i jeden z założycieli funduszu – wykluczają ingerencje w linię redakcyjną tytułów.

■
Czy bardziej sprawiedliwa byłaby demokracja, w której pieniądze nie miałyby wpływu na politykę? Oczywiście. Niestety Rosja i sprzymierzeni z nią miliarderzy nie podpiszą się pod tym postulatem. Nie podpisują się pod nim też populiści – w ich rękach publiczne pieniądze służą sprawie partyjnej.

Zresztą prywatne media zawsze powiązane były z dużym kapitałem, a ustawowe ograniczenia w tej dziedzinie (patrz „lex TVN”) nieuchronnie uderzają w pluralizm, co widać na Węgrzech. Dlatego Czesi mi imponują. Łapią byka za rogi.

W Polsce filantropi niechętnie opowiadają się po którejś ze stron. Bezpieczniej zajmować się edukacją, sztuką czy zdrowiem. Było to widoczne za rządów PiS. Mądrzy ludzie zauważają, że u Czechów narażenie się władzy jest mniej groźne biznesowo.

Czeski rynek jest za mały, by zostać miliarderm, więc przedsiębiorca o takich ambicjach musi wypływać na wody międzyna-

rodowe. Dzięki temu jego biznes jest mniej podatny na ingerencje władzy, gdy jest niezadowolona. Polscy miliarderzy fortuny budują w kraju i są bardziej zależni od licencji, koncesji i innych lewarów w rękach rządzących.

Ale w Polsce takich relacji boją się też politycy. W końcu to ośmiorniczki obalily pierwszy rząd PO (gdyby ktoś nie pamiętał: skrycie nagrane rozmowy w restauracji w 2014 r.). Stara gwardia, polityczna i biznesowa, pamięta czasy, gdy przy okazji świątecznego śledzika czy imienin pierwszej damy panowie politycy siadali z panami biznesmenami przy cygarze i koniaku.

Te czasy mamy za sobą. Ale w partiach pozostał lęk przed zarzutem o wpływ kapitału. Przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi sztaby ówczesnej opozycji odmawiały przyjęcia prawnie dozwolonych wpłat od niektórych przedsiębiorców, np. z branży deweloperskiej, z obawy, co z tą informacją zrobią kontrolowane przez PiS media.

Nie zrozumcie mnie źle – wolę tę wstrzeźmliwość od zwyczajów z nieodległej przeszłości. Ale Czesi pokazują, że te relacje mogą wyglądać inaczej, nawet w ramach obowiązujących w Polsce ograniczeń finansowania partii.

■
Roosevelt podzielił się w 1938 r. spostrzeżeniem, że zbyt wielu z tych, którzy powtarzają frazesy o ratowaniu demokracji, tak naprawdę chce ratować to, co było, ale demokracja musi dbać także o to, jak być powinno. Ta uwaga dobrze oddaje ideową pustkę współczesnych polskich „demokratów”.

Czas porzucić mylącą, demobilizującą i dzielącą retorykę o wspieraniu demokracji, i jasno się opowiedzieć. Czy jesteś za wartościami liberalnymi: za niezawisłymi sądami, za pluralizmem w mediach, za tolerancją dla odmiennych poglądów, za sprawiedliwym systemem gospodarczym i usługami publicznymi, bez których nie ma mowy o równym starcie? Zgoda co do podstawowych wartości jest warunkiem koniecznym, bez którego nie zaplanujemy spójnych działań w celu wsparcia liberalnej demokracji w Polsce. Wystarczy na początek kilkoro śmiałych filantropów i filantropi.

Możliwości jest dużo: od prywatnego funduszu na rzecz wolnych mediów, przez stowarzyszenie finansujące think tanki czy oddolne inicjatywy polityczne, które dzielają wartości liberalne.

Może na wzór Czecha Ludeka Sekyry trzeba sfinansować katedrę studiów humanistycznych, która będzie kuznią przyszłych liberalnych elit politycznych? Czesi powinni nas inspirować, ale nie muszą być wzorem do naśladowania. Sami wypracujemy, jak pomóc polskiej liberalnej demokracji wywiązać się z obietnic i nie ulegać wrogom.

Biorąc pod uwagę to, co dzieje się teraz w Rumunii czy Gruzji, we Francji czy w USA, a szczególnie w Ukrainie, dojdziemy do wniosku, że kończy się niewinna młodość polskiej filantropii.

Apolityczne, krzepiące serca i wyręczające państwo inicjatywy społeczne już nie wystarczą. Czas wziąć odpowiedzialność za liberalną przyszłość naszego kraju. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Igor Czernecki

• prezes Fundacji EFC, historyk idei, doktor nauk społecznych. Prowadzi zajęcia w Instytucie Artes Liberales UW. Autor książki „Znaczenie religii dla demokracji u Alexa de Tocqueville’a”. Współzałożyciel inicjatywy Philanthropy for Impact.

Paola Nagovitch

EL PAÍS

Korespondencja z Nowego Jorku

3 lutego odbył się strajk pracujących imigrantów – był to protest przeciwko nowej administracji Donalda Trumpa, który w ciągu pierwszych tygodni urzędowania skupił się na atakowaniu, kryminalizowaniu i osaczaniu społeczności imigrantów, ale przede wszystkim podpisując szereg brzemiennech w skutki dekretów, faktycznie zakwestionował ich przyszłość w USA. Kolejny protest, w zamierzeniu jeszcze szerszy, został zwołany na 3 marca i prawdopodobnie będzie się powtarzał co miesiąc. Organizatorzy chcą doprowadzić do tego, aby wszyscy imigranci pracujący w kraju po prostu pozostali w domu na 24 godziny – i w ten sposób pokazali, jak wyglądałaby codzienność w Ameryce bez nich.

Gdyby bowiem republikańskiemu prezydentowi udało się osiągnąć swój cel, wszyscy, którzy wjechali do USA nielegalnie, zostaliby deportowani, a ochrona prawna tych, którym już udało się uregulować swój status, zostałaby cofnięta.

Ale tu populizm zderza się z rzeczywistością – bo gdyby pewnego dnia wszyscy imigranci faktycznie zniknęli, konsekwencje gospodarcze byłyby druzgocące.

Stany Zjednoczone to naród stworzony przez imigrantów – i nadal na nich oparty. W 2023 r. prawie jedna piąta siły roboczej urodziła się poza granicami kraju: według federalnego Census Bureau spośród 160,2 mln ogółu zatrudnionych 29,7 mln stanowili imigranci. Liczba ta obejmuje: już naturalizowanych obywateli, stałych rezydentów, uchodźców i azylantów oraz osoby nieposiadające dokumentów pozwalających na pobyt w USA. Według Pew Research Center, ta ostatnia kategoria w 2022 r. obejmowała 8,3 mln ludzi, czyli prawie 5 proc. pracującej populacji w tym czasie. Z pozwoleniami i bez pracują we wszystkich branżach i wspierają kluczowe sektory, takie jak usługi, w tym komunalne, czy produkcja przemysłowa, gdzie stanowią ponad 20 proc. wszystkich zatrudnionych. Ich wkład w gospodarkę kraju wynosi biliony dolarów rocznie, a gdyby pewnego dnia ich zabrakło, jak marzy Trump, kraj zostałby de facto sparaliżowany.

Oto, jak mógłby wyglądać taki scenariusz.

Kto zajmie się dziećmi

Carolina zastrzega, że nie chce „być Kasandrá”, ale uważa, że bez imigrantek nie byłoby komu zająć najmłodszymi Amerykanami. 33-letnia Kolumbijka jest specjalistką od opieki nad noworodkami i oferuje swoje usługi rodzicom w całym kraju. Podpisuje umowy na od trzech do sześciu miesięcy, mieszka z rodzinami, które ją zatrudniają i opiekuje się ich dziećmi od 12 do 24 godzin na dobę. „Przewijam, kąpię, karmię” – mówi przez telefon z Vermont, gdzie jest obecnie zatrudniona.

Przybyła do Stanów w 2017 r., wyszła za Amerykanina i ma już amerykański paszport. Gdyby jednak administracja Trumpa odebrała jej obywatelstwo – co obecnie trzeba już brać pod uwagę, bo prezydent próbował już m.in. znieść nawet gwarantowane przez konstytucję prawo do obywatelstwa poprzez urodzenie na terytorium USA – rodziny, z którymi pracuje, byłyby pod ścianą. „Brak ludzi takich jak ja miałby ogromny negatywny wpływ na setki tysięcy rodzin, emocjonalnie, psychicznie, finansowo” – mówi.

Według danych Census Bureau w 2023 r. w sektorze edukacji, zdrowia i usług opieki społecznej pracowało 5,5 miliona imigrantów. To branża która wnosi 2,3 mld dolarów rocznie do krajowego PKB, a zarazem zatrudnia najwyższy odsetek pracowników urodzonych za grani-

Marzenie Trumpa

DZIEŃ BEZ IMIGRANTÓW
W AMERYCE

FOT. JOHN MOORE/GETTY IMAGES

Prawie 30 milionów obcokrajowców pracuje w USA, legalnie albo nie – to co piąty zatrudniony. Stanowią wsparcie kluczowych sektorów gospodarki. Co będzie, gdyby nagle faktycznie ich zabrakło?

cy: ponad 18 proc. wszystkich imigrantów w kraju pracowało w tym sektorze. Wśród nich nauczyciele tacy, jak Andy i Julia.

Puste sale lekcyjne

Andy uczy matematyki w szkole średniej w Queens w Nowym Jorku. Ale ten 33-letni Ekwadorek, który wyemigrował do Stanów wraz z rodzicami, gdy miał siedem lat, jest kimś więcej niż tylko nauczycielem: „Jestem jednym z pierwszych ludzi, jakich uczniowie spotykają, gdy przychodzą do szkoły, a obserwując ich mogę łatwo ocenić, czy wszystko u nich w porządku. A jeśli nie jest, to także jestem pierwszą osobą, która pyta ich, czy chcą o tym porozmawiać lub czy potrzebują jakiegokolwiek pomocy” – mówi.

Z tym że w szkole, w której 90 proc. uczniów to Latynosi, gdyby pewnego dnia kraj deportował wszystkich imigrantów, nie tylko zabrakłoby Andy'ego, ale i jego szkoła byłaby opustoszała.

On otrzymał już obywatelstwo, ale Julia, również nauczycielka, jest dopiero na początku swojej odysei. 26-letnia Kubanka, która woli nie podawać prawdziwego imienia, przybyła do Stanów zaledwie 10 miesięcy temu. Udało jej się to dzięki programowi humanitarnego zezwolenia warunkowego, szerzej znanego jako *parole*. Beneficjenci tego statusu wjeżdżają do kraju legalnie na dwuletni pobyt oraz otrzymują pozwolenie na pracę. W przypadku Ku-bańczyków takich jak Julia, po 12 miesiącach mogą oni również ubiegać się o stały pobyt i ostatecznie obywatelstwo. Jednak w przypadku Julii ta opcja wisi na włosku: rząd Trumpa ostrzegł, że szuka sposobu na pozbawienie gwarancji ochrony prawnej osób, które osiadły w kraju na mocy *parole*.

Na razie Julia wstaje każdego dnia i idzie do pracy jako asystentka nauczyciela w szkole podstawowej w małym miasteczku we wschodnim Teksasie, niedaleko granicy z Luizjaną. Jest to jedyna dwujęzyczna szkoła w okolicy, którą Julia opisuje jako „bardzo republikańską, to znaczy bardzo konserwatywną”. „W szkole poza mną jest

troje nauczycieli pochodzenia latynoskiego. Jesteśmy w zasadzie pomostem między uczniami i ich rodzinami, które nie mówią jeszcze po angielsku, a resztą ciała pedagogicznego” – mówi. „To ważne dla dzieci, które są w ten sposób szybciej integrowane z nowym dla siebie społeczeństwem, nie czują się wyobcowane i mogą się asymlować. Spośród moich 14 uczniów tylko jedna trzecia to Amerykanie. Reszta to Latynosi, a czterech z nich przebywa w Stanach od mniej niż sześciu miesięcy”, dodaje Kubanka. W hipotetycznym „dniu bez imigrantów” w szkole Julii, podobnie jak w szkole Andy'ego, zabrakłoby nie tylko nauczycieli, ale także uczniów.

Potop śmieci, fala awarii

Drugim sektorem z największą liczbą pracowników urodzonych za granicą – 4,7 miliona w 2023 r. – są usługi specjalistyczne oraz związane z gospodarką odpadami i sanitarne. Branża ta ma największy wkład w gospodarkę USA, większy niż jakakolwiek inna: 13 proc. PKB kraju. W „dniu bez imigrantów” sektor ten byłby pozbawiony 23 proc. swoich pracowników. Oznacza to, że nie byłoby komu zabierać śmieci z ulic, firmy zostałyby sparaliżowane przez brak swoich zespołów administracyjnych, nawet system energetyczny byłby narażony poprzez brak elektryków usuwających bieżące awarie.

Paraliż w budowlance

Głosy Ulani i Janet unoszą się ponad zgłębieniem budowy. „Fajrant!”, krzyczy Ulani, 22-letnia Portorykanka kierująca ruchem ciężarówek wjeżdżającymi i wyjeżdżającymi z gigantycznego placu budowy na Brooklynie, gdzie powstaje nowe więzienie. Obie kobiety są flaggerami, czyli osobami odpowiedzialnymi za kontrolowanie ruchu, zarządzanie dostawami materiałów i zapewnianie bezpieczeństwa pracownikom, pieszym i kierowcom.

„Bez nas, zawiadujących bieżącą logistyką, wszystko stanęłoby tu w miejscu” – mówi Ulani w lutowy poranek, gdy temperatura spada poniżej zera. „Gdy niedawno

miałam gripę, cały team modlił się, żeby mi szybko przeszło. Wszyscy odgrywamy jakąś rolę, wszyscy pracujemy razem, ale gdy tylko zabraknie jednej osoby, cały łańcuch się rozpada” – dodaje. Ulani i Janet, 35-letnia Meksykanka, pracują po 13 godzin dziennie, zaczynając od siódmej rano, okresowo nawet siedem dni w tygodniu. Uważają to za naturalne: ich zespół „zależy” od nich, podkreśla Janet.

W 2023 r. 29 proc. wszystkich zatrudnionych w budownictwie stanowili imigranci, w sumie prawie 3,3 mln obcokrajowców.

Według jednego z brygadzystów Ulani i Janet, również imigranta, w załodze operującej na brooklyńskiej budowie stanowią oni od 50 do 60 proc. „Gdybyśmy zniknęli z dnia na dzień, firmy, które nas zatrudniają, upadłyby od razu”.

Ale nie tylko praca pozostałaby niedokończona, ucierpeliły także ich współpracownicy, Amerykanie, których rodziny zostałyby bez środków do życia. Janet: „Mam troje dzieci w wieku 3, 11 i 14 lat, mam tutaj matkę i rodzeństwo, płacę z mężem podatki, jestem konsumentem, który przyczynia się do koniunktury”. Przyjechała z Meksyku w 2016 r., aby ubiegać się o azyl, a obecnie ma wizę, która pozwala jej legalnie pracować.

W „dniu bez imigrantów” zabrakłoby także 6,2 miliona pracowników produkcji przemysłowej, handlu hurtowego i detalicznego. Fabryki straciłyby ponad 20 proc. siły roboczej, sklepy sieciowe – 15,5 proc., a setki tysięcy rodzin – możliwość związania końca z końcem.

Dzień bez kawy i lunchu

Jest prawie 11 rano i poranny szczyt powinien się skończyć, ale Jessica się nie zatrzymuje. Nie może: ta Wenezuelka jest jedyną kelnerką pracującą w tym małym lokalu, któremu dobra lokalizacja zapewnia ciągły przepływ klientów. W kawiarni w centrum Brooklynu, zaledwie kilka przystanków od Manhattanu, pracują tylko trzy osoby: dwóch mężczyzn w kuchni i Jessica na sali i przy kasie. „Gdyby nas tu nie było, nie dostalibyście tej kawy i rogalików. Nie tylko dlatego, że cały personel to latynosczy imigranci, ale dlatego, że sam właściciel jest Latynosem” – mówi Jessica.

Ma 41 lat, wyemigrowała do Stanów z Caracas 15 lat temu, a dopiero od dziesięciu ma zalegalizowany pobyt. Jej dokumenty są teraz w porządku – „dzięki Bogu”, wtrąca – i pracuje w tej kawiarni od ośmiu lat. Gdyby pewnego dnia nie mogła już tego robić, czułaby się „potwornie skrzywdzona”. „Tak samo jak nasze rodziny. Przyjeżdżamy tutaj z całym naszym potencjałem i żyjemy z dnia na dzień. To trudne, zwłaszcza gdy prawie nikt nie ma oszczędności, a to, co mieliśmy w dawnym kraju, przepadło” – mówi.

Octavio, kolega kucharz, również Wenezuelczyk, lat 49, dodaje, że migranci przyjeżdżają do Stanów, żeby pracować. „To dlatego ten kraj odnosi sukcesy” – mówi. On sam jest tu od 22 lat, z tego połowę spędził bez dokumentów.

Podobnie jak Jessica i Octavio, w 2023 r. w sektorze gastro i w hotelarstwie pracowało 3 miliony migrantów, czyli co dziesiąty. Stanowili ponad 21 proc. wszystkich zatrudnionych w branży. Bez nich restauracje w kraju pozostałyby bez kelnerów, bez kucharzy, bez dostaw towarów, bez pomywaczy.

Masowe naloty na pola

Istnieje powszechne przekonanie, że większość imigrantów w Stanach pracuje w rolnictwie, sadząc i zbierając plony. W rzeczywistości jednak, przynajmniej oficjalnie, mniej niż pół miliona z nich jest zatrudnionych w rolnictwie czy leśnictwie – chociaż różne organizacje pozarządowe szacują, że liczba ta jest w rzeczywistości sezonowo znacznie wyższa.

W swoim tegorocznym raporcie organizacja National Farmworker Survey stwierdziła, że 44 proc. pracowników rolnych pracowało w 2024 r. na czarno, co ich zdaniem również musi być zaniżoną liczbą. Dlatego też, gdy administracja federalna rozważa masowe naloty sprawdzające, poła nagle pustoszeją, a ludzie z branży drżą o przyszłość. ●

Pierwsza rocznica śmierci Nawalnego

WIEDZIAŁ, ŻE NIGDY NIE WYJDZIE NA WOLNOŚĆ

W Rosji czekało na niego wyłącznie więzienie. A w końcu śmierć. I tak wzbіл się w niebiosa politycznej nieśmiertelności.

Wiktor Jerofiejew*

W pierwszą rocznicę śmierci Aleksieja Nawalnego (zmarł 16 lutego 2024 roku) i wobec tego, że dla wielu jego zwolenników miniony rok był rokiem Nawalnego, jego wydaną niedawno autobiograficzną książkę odczytuje się przede wszystkim jako zmartwychwstanie autora, który pokonał śmierć poprzez śmierć, będzie teraz żył zgodnie z prawami nie tylko politycznej, ale i religijnej nieśmiertelności.

Być może w historycznym maratonie wyprzedzi w swoim ludzkim znaczeniu swego głównego przeciwnika Putina, który za życia Nawalnego ani razu nie nazwał go po imieniu, choć wspominał o nim więcej niż raz. Jednak natychmiast przypomniał sobie jego imię, gdy tylko Nawalny odszedł. To prawdziwy dramat religijny.

Dramat ten rozegra się w przyszłości; teraz, wraz z publikacją książki (w 26 językach i w 36 krajach), jesteśmy świadkami potężnego wyzwania dla samej książki: zarówno dla jej autora, jak i dla Rosji.

Problem w tym, że licząca ponad 500 stron książka jest szczegółową autobiografią autora, skierowaną praktycznie do całego czytającego świata. Ale czy w pełni zainteresuje czytelnika niezwiązanego życiowo i emocjonalnie z Rosją?

Jak interesujący jest dla świata Alek-siej? Na ile uprawnione jest porównywanie go z prawdziwymi tuzami światowego sukcesu, jak Nelson Mandela czy Che Guevara? W końcu ci giganci stworzyli własne koncepcje ludzkiego szczęścia, związane zarówno z walką o równość rasową, jak i z komunistycznymi ideałami.

Koncepcje te, każda na swój sposób, są skierowane ku przyszłości samego ludzkiego projektu, podczas gdy projekt Nawalnego - ku przyszłej rosyjskiej imitacji już osiągniętego modelu wolnego świata zachodniego, który, tak między nami, pęka teraz w szwach.

Oczywiście jasne jest, że w Europie żyje się przyjemniej i spokojniej niż w systemie autorytarnym, jaki panuje w dzisiejszej Rosji. Jednak Zachód nie obiecuje wspólnej przyszłości. Odwraca się, jak od gryzących much i meszek, od problemów, które go dotykają, ale nie jest to forma odtwarzania jutra. Zachód wciąż ma indywidualną przyszłość dla każdego mieszkańca, tylko realizacja często zawodzi.

Po co więc narzucać Rosji przyszłość bez przyszłości? Oczywiście jest, że Rosja Putina również nie ma prawdziwej przyszłości, ma głównie obietnice, które szyb-

ko się zmieniają w zależności od sytuacji, a przede wszystkim od woli jej szefa, który widzi przyszłość Rosji we własnej nieśmiertelności. Żąda jej od lekarzy w sensie fizycznym, a włączenie bohaterów wojny z Ukrainą do rosyjskiej elity ma mu zapewnić polityczną wieczność.

W czasach ZSRR młody Nawalny wielbił amerykańskie džinsy, gumę do żucia i coca-cola - pisze o tym ze wzruszającą przyjemnością. Czy nie jest tak, że jako niezależny dorosły polityk pozostał zakładnikiem zachodnich osiągnięć, od samochodów po gwiazdy rocka? Fascynuje go zachodnia popkultura, którą sam Zachód czasem się męczy i ją lekceważy.

Nawalny jest dobrym pisarzem. Jego styl znamionuje elastyczność i wyobraźnia. Ale polemizuje z wielką literaturą w dziecienny sposób. Irytuje go np. „Pani Bovary”, która jest niczym w porównaniu z „Anną Kareniną”, interesuje się za to Maupassantem i jego powieściami. Myślę, że to wszystko nie jest przypadkowe.

„Pani Bovary” to programowa powieść Flauberta, która opisuje ludzką naturę w absolutnie bezlitosny sposób. Politykowi taki opis podcina skrzydła. Jeśli człowiek jest tak słaby, to po co nam zmiany, rewolucje? Niech sobie grzęźnie we własnym gównie.

Nawalny, sądząc z książki, żyje w rosyjskiej tradycji intelektualnego szacunku dla rosyjskiego narodu. Ma pewne wątpliwości co do tego, czy Rosjanin powinien być dumny ze swojej ojczyzny, ale w gruncie rzeczy całkowicie opowiada się za krajem zwanym Rosją i całkowicie przeciwko podmiotowi państwowemu, takiemu jak Związek Radziecki czy obecna Federacja Rosyjska.

Nawiasem mówiąc, sam tytuł książki sprawia kłopot. „Patriota”. Dla ludzi Zachodu jest to całkiem pozytywna definicja. Oczywiście jest, że tytuł ten pasuje bardziej amerykańskiemu wydawcom niż rosyjskim kontynuatorom sprawy Nawalnego.

W języku rosyjskim patriotą to słowo znacznie bardziej ambiwalentne. W rosyjskim umyśle istnieje kraj - Rosja - który jest bogaty w przyrodę i kulturę, który przyciąga i który zasługuje na to, by być wolnym. Ale jednocześnie istnieje państwo Rosja - więzienie narodów, wedle definicji rosyjskich rewolucjonistów. I wreszcie jest Ojczyzna, ten koktajl kraju i państwa, który jest wykorzystywany przez propagandystów do mieszania ludziom w głowach. Patriotą to zapewne ktoś, kto kocha swoją ojczyznę. Czy Nawalny kochał swoją ojczyznę? Raczej nie.

Zostanie zapamiętany na dziesięciolecie za swój młodzieńczy nacjonalizm, kiedy chciał pomóc Rosjanom, którzy znaleźli się za granicą po upadku ZSRR, albo za swoje naprawdę niefortunne słowa o Krymie jako kanapce, która nie przechodzi tak łatwo z rąk do rąk. Nawet gdy ulice i place w różnych miejscach w Rosji i na świecie zostaną nazwane na jego cześć, wątpliwości co do jego „imperializmu” pozostaną. Jednak jego pragnienie, by być sprawiedliwym, było silniejsze niż jego błędy i wpadki.

Do polityki wszedł jako moralista, ukąszo-



16.02.2024, Warszawa. Protest pod ambasadą Rosji w dniu śmierci Nawalnego

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nawalny opowiadał się całkowicie za krajem zwanym Rosją. I całkowicie przeciwko podmiotowi państwowemu, takiemu jak ZSRR czy obecna Federacja Rosyjska

ko dziecko - świadek katastrofy w Czarnobylu (od strony ojca ma korzenie ukraińskie). Ten moralizm czasami zmieniał go w romantyka; wierzył w piękną Rosję przyszłości i proponował, by dojść do niej poprzez uczciwe wybory.

Byłoby jednak dobrze, gdybyśmy mieli na początek po prostu normalną Rosję, do czego jednak dojść można raczej poprzez zmianę reżimu z przyczyn biologicznych niż poprzez wolne wybory. W tym sensie Nawalny był marzycielem, podobnie jak młody Lenin, który wyobrażał sobie, że Rosja wykona skok od feudalizmu do pięknej Rosji socjalizmu.

Oczywiście jako polityk Nawalny rozumiał, że wyborca, jego polityczny fan, musi dać się uwieść politycznej fantazji - bańniowe myślenie jest charakterystyczne dla Rosjan. Ale czy pójdzie tym tropem zagraniczny czytelnik książki „Patriota”?

Wreszcie, na ile czytelnik będzie zainteresowany samą Rosją opisaną przez Nawalnego? Oto kolejne wyzwanie, jakie stoi przed tą książką. Czy ty, czytelniku, chciałbyś przeczytać 500 stron, a na nich o opisanych szczegółowo nieszczęściach Rosji, o jej skłonności do korupcji, która może się rozplenić również wśród opozycji, jak pokazują ostatnie skandale finansowe, które wybuchły na Zachodzie? Czy interesujące jest czytanie o tym, jak Jelcyń nie stał się nowym Piotrem Wielkim, za to utorował Putinowi drogę do władzy?

Nawalny ma mnóstwo pretensji do wielu polityków, od Miedwiediewa po Jawlinskiego, lidera umiarkowanej liberalnej partii. Momentami książka przypomina podręcznik najnowszej historii Rosji autorstwa ironicznego, optymistycznego człowieka, nawet w więzieniu obdarzonego osobistą charyzmą i poczuciem humoru.

W książce są dwa ważne momenty, w których przechodzimy od politycznej natury autora do religijnego pochodzenia Rosji. Wiele osób w Rosji dyskutowało i nadal dyskutuje o tym, dlaczego Nawalny, który został otruty przez najwyższą władzę nowiczkiem i przebywał w berlińskim szpitalu, wrócił do Rosji. Nawiasem mówiąc, jedna z najlepszych części książki poświęcona jest halucynacjom zatrutego autora. Widzi on przed sobą japońskiego lekarza, który leczy go, opowiada mu o tragedii jego życia i daje mu swoje wiersze. Autor nie może powstrzymać łez - ale to tylko halucynacje.

Jednak powrót Nawalnego do Rosji to już nie była halucynacja. Został natychmiast aresztowany i już nigdy nie wyszedł na wolność. Dlaczego wrócił?

Myślałem wtedy, i nadal tak myślę, że ta decyzja miała dwa różne źródła. Z punktu widzenia zdrowego rozsądku Nawalnego nie czekało w Rosji nic innego niż więzienie. Nie mógł liczyć na pobłażliwość władz ani na siłę myślących tak jak on, którzy przyszli się z nim spotkać. Jednak po jego powrocie wybrzmiał mocno temat męczennika, rosyjskiego świętego, który idzie na egzekucję w imię wielkiej idei.

Wątek religijny w książce jest zebrany w jednym miejscu, w części, którą tworzy dziennik Nawalnego pisany w więzieniu, który sprawia wrażenie „postautobiografii”. Nawalny twierdzi, że jest politykiem chrześcijańskim, chociaż nie wierzy we wszystkie cuda opisane w Biblii; jednak w pełni przyjmuje temat poświęcenia się Chrystusa dla zbawienia ludzkości.

To naśladowanie Chrystusa - odwieczny temat chrześcijańskiej filozofii i kultury - daje Nawalnemu siłę do przezwyciężenia wszystkich więziennych trudności, które go spotkały, najwyraźniej na konsekwentne życzenie jego głównego przeciwnika.

Wiedział, że już nigdy nie wyjdzie z więzienia. Dzielił się tą myślą ze swoją żoną Julią - życie nagrodziło go tą wspaniałą kobietą - a ona zawsze go rozumiała. Aleksiej obliczył, że powinien wyjść na wolność w 2051 r., ponieważ wniesiono przeciwko niemu wiele spraw karnych.

Jednak wyszedł wcześniej. A raczej wzbіл się w niebiosa politycznej nieśmiertelności. Ta książka to dopiero początek „dobrych wieści” o jego przydatności dla Rosji. Myślę, że światowy czytelnik wsłucha się w temat wniebowstąpienia naszego bohatera. ●

przeł. arp



FOT. A.SAVIN/DOMENA PUBLICZNA

*Wiktor Jerofiejew

ur. w 1947 r., znany pisarz rosyjski. W Polsce ukazała się m.in. jego mroczna baśń dla dorosłych „Różowa mysz” (do kupienia na Kultu-ralnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl). Tytuł tekstu - „Wyborcza”.

Czuję, że zesztam już ze sceny

– Żyję, ale nie znam dnia ani godziny. Byłabym za tym, żeby mnie trzasnęło nagle, jak mojego ojca. **Ale taka śmierć może się zdarzyć tylko dobrym ludziom.**

Z **ANDĄ ROTTENBERG**, KURATORKĄ I KRYTYCZKĄ SZTUKI, AUTORKĄ KSIĄŻKI „SCHYLEK. DZIENNIK 2019-2022” ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Robi pani podsumowania?

– Już podsumowałam rok. W radiu.

Ale tak dla siebie?

– Nie. Traktuję to jak zadanie. Tak mam ze wszystkim. Nie wiem, kiedy to się zaczęło. Może w harcerstwie? Być może już w przedszkolu okazało się, że jestem zadaniowa. Lubię wyzwania.

Pan jednak pewnie o życie pyta. Ciągłe próbuję je podsumować i nie jestem w stanie. Wydaję dzienniki. Niby mają coś podsumować, a nic z tego nie wychodzi.

Może trzeba napisać autobiografię?

– Nie potrafiłabym. Już raz się do niej zabrałam. Szukałam przodków. I tak wpakowałam się w dwie inne historie, z których powstała książka. Autobiograficzny wątek doprowadziłam do matury. Dalej nie byłam w stanie, a i tak już 500 stron napisałam. Pilch w wywiadzie kiedyś powiedział, że zaczął pisać autobiografię, ale jest na 120. stronie i jeszcze nie wyszedł z porodówki. Mam podobnie.

W życiu robiłam tyle różnych rzeczy, że tego nie sposób opisać. Czasem, gdy proszą mnie o CV...

Panią?

– Jak są jakieś wydarzenia, to mam sobie sama biogram napisać. Na pół strony. Zadanie niemożliwe. Tytuły wystaw, które zrobiłam, zajmują więcej. Książki pisałam, funkcje pełniłam. A to przecież pomija wszystko to, co naprawdę robiłam. Jestem niezdolna do autobiografii.

Może by tak tomami?

– Jeden trzeba by poświęcić życiu w akademiku na Kickiego. Inny studiom na historii sztuki i ludziom, których tam poznałam. Kolejny tom – „Moje życie z mężczyznami”. Ale to o każdym trzeba by osobną książkę napisać. Wie pan, mówię o tych, z którymi byłam długo, a nie tak przelotnie. Więc...

Najnowszy tom dziennika zamknięty jest w datach 2019-22 i zatytułowany „Schylek”. Rozmawiamy dwa lata później. Może jednak to nie był schylek?

– Widzi pan... No, nie umarłam. Dlatego wyszła książka. Żyję, ale nie znam dnia ani godziny. Byłabym za tym, żeby mnie trzasnęło nagle, jak mojego ojca. Ale taka śmierć może się zdarzyć tylko dobrym ludziom. Mój ojciec był dobrym człowiekiem i może dlatego mu się udało?

Dostał wylewu. Był w wczasach w Kołobrzegu. Wiedział, że tamtejszy klimat mu nie służy. Ale należał do takich ludzi, którzy nie odmówią – przyznali mu te wczasy, to pojechał. Następnego dnia po przyjeździe miał drobny wylew, trafił do szpitala, położył się spać i już się nie obudził. To dobra śmierć.

W dzienniku rzadko o takich śmierciach można przeczytać.

– W moim wieku traci się ludzi. Wokół robi się pusto. W „Schylku” zanotowałam tylko te odejścia, które dotknęły moich znajomych. I to raczej bliższych. Sporo tego jest. Poza Jankiem Lityńskim, który umarł bohatersko, odpłynął Jurek Limon, na COVID. Głupio wyszło. Zaszczepił się, będąc już zakażonym. I to chy-

ba jednak mu zaszkodziło. Zmarł Adam Zagajewski. Może dlatego, że był Adamem.

To znaczy?

– Bo gdyby poszedł do powiatowego szpitala, to nikt by nie zadawał pytań, rozkroiliby, wypłukali. A tam w Krakowie pochylało się nad nim całe konsylium i nikt nie umiał podjąć decyzji do samego końca. Zmarł Henryk Wujec, umarła Ludka, choć ona później, w minionym roku. W dzienniku się z nimi żegniam. Każde życie kończy się śmiercią. Mnie też kiedyś pożegnają.

O śmierci Zagajewskiego nikt dotąd publicznie nie opowiadał. Jest pani pierwsza. Szczery jest ten dziennik, choć opublikowany za życia.

– Myśli pan, że jestem odważna? Ja tak nie sądzę.

Dzienniki piszę napadowo, od kiedy skończyłam 15 lat. Nie wszystkie przetrwały, ten młodzieńczy zgubiłam gdzieś w przeprowadzkach. Żałuję, bo chciałabym go teraz przeczytać i sprawdzić, co myślałam, jak miałam 16 lat. Na pewno byłam zakochana w koleżce z klasy. Zwykle piszę, kiedy mieszkam sama. Na czas związków, gdy z kimś jestem, przestaję. I gdy pracuję nad inną książką, to też nie piszę dziennika.

Zawsze musi mieć pani coś do roboty?

– A co miałabym robić? Patrzyć przez okno?

Nie wiem, ludzie różnie przeżywają.

– Czasem się zastanawiam, co robią na emeryturze moje koleżanki, które nic nie robią. Piszę o tym w dzienniku. Naprawdę próbuję sobie odtworzyć dzień takiej osoby w moim wieku. Wstaje rano, myje zęby, może nawet bierze prysznic, ubiera się, wybiera, co założyć, patrzy w okno, jaka będzie pogoda, je śniadanie. I która to jest godzina? Jedenasta? Jak się śniadrze lub późno wstaje. A raczej wstaje wcześniej.

Potem może wyjdzie na zakupy. Tam weźmie do ręki każdy produkt. Znam taką. Przyjrzy się cenie, sprawdzi skład, odłoży. Weźmie następny. Miną dwie godziny. Kupi bułkę, masło, twarożek, coś na obiad. Podrepcze do domu i zaczyna gotować...

Wie pan... obiad się gotuje na dwa dni. Jak gotuję tylko dla siebie, zajmuje mi to najwyżej pół godziny. Zakupy – kwadrans, jeśli pojadę na rowerze. Na piechotę – 30 minut. I co mam robić? Poczytam, wymienię maile, pogawędzę przez telefon... Chodzę do redakcji, piszę dla „Vogue’a”, mam cotygodniową audycję, podcasty, jakieś publiczne wykłady i spotkania. Umawiam się z ludźmi, ciągle się próbuję czegoś dowiedzieć. Prowadzę życie towarzyskie, miewam gości. I to wszystko w dalszym ciągu nie wypełnia mi całego czasu.

Oprócz refleksji o życiu starszych pań ciągle wspomina pani o niezależności finansowej, zarabianiu. Nadal pani się obawia jej braku?

– A z czego mam żyć? Z emerytury?

Wydaje mi się, że ma pani na tyle, że może wrzucić na luz.

– I wrzucam! Przecież ja się nie ubiegam o pracę, sama do mnie przychodzi.

Zawsze starałam się być niezależna finansowo. Nigdy nie byłam na niczym utrzymaniu. Może przez chwilę w drugim związku. To trwało pół roku.

Zgodziła się pani na to?

– Były wątpliwości, ale ponieważ miałam wtedy konflikt z pracodawcą, pomyślałam, że może dobrym wyjściem będzie, jak wezmę sobie urlop bezpłatny. Ale i tak robiłam jakieś fuchy, pisałam teksty. Różnica polegała na tym, że nie miałam regularnego dochodu.

To się już nigdy nie powtórzyło?

– Nigdy.

W tamtym czasie jednak niewiele kobiet mogło sobie pozwolić na taką niezależność.

– W moim środowisku było inaczej. Ewa Braun, przyszła laureatka Oscara, Malina Bardini, Maryla Poprzeczka, Agnieszka Morawińska. Walczyłyśmy o niezależność. Niektóre z nas nie założyły nigdy rodziny, by się w tej niezależności utrzymać. Bywały różne modele. Nie byłam wyjątkiem.

Większość z nas jest córkami silnych kobiet, które też dbały o swoją niezależność. Coś w tym jest, że córki powtarzają model matki. Obserwuję to również w pokoleniach młodszych ode mnie.

Pieniądze to jedno...

– Oczywiście! Liczyła się też niezależność intelektualna. Autonomiczna postawa.

Zaplanowała sobie pani karierę?

– Nigdy nie planowałam tego, kim będę. Gdy studio wałam historię sztuki, nie miałam pojęcia, co zrobię ze sobą po studiach. Poszłam na nie, bo pomyślałam, że będzie fajnie. Na pierwszych zajęciach Andrzej Jakimowicz powiedział, że historyków sztuki na głowę ludności w Polsce jest za dużo. „My wam naszych posad nie oddamy. Jak ktoś nie musi studiować historii sztuki, niech zmieni kierunek”, usłyszeliśmy. Odszedł jeden kolega. Reszta została. Po dyplomie polowa zmieniła zawód.

A co do kariery, nie myślałam o niej jako o piastowaniu wysokich urzędów. Albo raczej kariera nigdy nie była moim celem.

A co było?

– Rozwiązanie zadania. Było zadanie, to myślałam, co zrobić, żeby je rozwiązać. Każda wystawa była zadaniem. Nie chciałam czegoś pokazać, tylko zoba-

Pilch w wywiadzie kiedyś powiedział, że zaczął pisać autobiografię, ale jest na 120. stronie i jeszcze nie wyszedł z porodówki. **Mam podobnie**



czyć. Pisywałam teksty dla artystów i o sztuce, co nie jest tym samym. Byłam aktywna na bardzo wielu polach, sporo pracowałam społecznie. Wszystko razem ułożyło się w to, co ludzie nazywają karierą. Nie ma we mnie fałszywej skromności, ale naprawdę do niej nie dążyłam.

Kiedy zorientowała się pani, że jest Andą Rottenberg?

– W jakiś sposób zawsze to wiedziałam. Nie przystawałam do grupy rówieśniczej. Czulałam, że się nie mieszczę. Owszem, chciałam w niej być i poniekąd o nią zahaczałam. Na podwórku, w klasie. Jak poszłam do harcerstwa, to zostałam zastępową. Nie dlatego, że aspirowałam. Było zebranie, jakieś wybory. I mnie wybrano. Okazywało się, że byłam przewodnikiem stada, instynktownie. W podstawówce mi nie dokuczano. Aż – to była chyba piąta klasa – przyjechał repatriant, który mnie szturchnął. To oddałam. Krew mu poszła z nosa. Wszyscy patrzyli na niego jak na idiotę. Zrozumiałam, że mam taką pozycję, że mnie się nie zaczepia. Ale nie postanawiałam sobie tego, samo się działo.

Trudno w to uwierzyć.

– W pewnym momencie, dość późno, zrozumiałam, że nie mogę i nie chcę mieć kierowników. Skoro tak, to sama muszę być kierowniczką. Założyłam pierwszą fundację, wynalazłam prezesa ze względów strategicznych. Była połowa lat 80., gdybym to ja poszła do ministerstwa, żeby ją zarejestrować, nic by z tego nie było, wszyscy znali moje poglądy, bo publikowałam w drugim obiegu pod nazwiskiem. Więc pomyślałam, że wybiorę kolegę, którego uczynię prezesem, a sama zostanę dyrektorką artystyczną. Wybrałam takiego, co miał być neutralny i nie wtrącać się w moją pracę. A jednak zaczął. To wyszłam z tej fundacji.

W tym samym czasie Iza Cywińska poprosiła mnie, żebym została dyrektorką departamentu w resorcie kultury. Zmieniał się system, to była misja. Długo nie wytrzymałam, poszłam prowadzić galerię. Jak mi zaczęli przeszkadzać, to z niej wyszłam, bo w międzyczasie założyłam warszawski Ośrodek Sztuki Współczesnej fundacji Sorosa. Był 1992 rok, w Polsce było dużo do zrobienia. Nie wiedziałam, w co ręce wsadzić. I tak było latami – ciągle coś.

Do 2001 roku. Dopiero gdy wyszłam z Zachęty, przyjąłem postawę defensywną, musiano mnie najpierw zaprosić. I nie zgadzałam się na bycie numerem jeden. Miałam ciekawe propozycje, ale odmawiałam.

Dlaczego?

– Dostałam za swoje w Zachęcie. Przecież pan wie o tej antysemickiej kampanii, którą wytoczyli „prawdziwi Polacy”. A wcześniej byłam „nazistką”, bo pokazałam w Zachęcie wystawę Piotra Uklańskiego z „Nazistami”. Pomyślałam: jeżeli wam przeszkadzam, to weźcie sobie tę Zachętę. Proszę bardzo. Ja już nie chcę nikomu przeszkadzać w moim kraju.

Kiedy pojawia się myśl „muszę mieć swój azyl poza krajem”?

– Dużo później. W głowie, po aneksji Krymu przez Rosję. W 2014 roku. Chwilę później już w realu. Wróciłam akurat z rezydencji w Berlinie i stwierdziłam, że nie mam tu co robić, był rok 2016. Nowa władza wyrzucała ludzi z pracy. Złe rzeczy się działy. Pomyślałam, że muszę znaleźć sobie taki kraj, do którego dojadę samochodem – jak najdalej na zachód od Polski. Portugalia była oczywistym wyborem. Kupiłam mieszkanie w Tawirze.

Ucieczka?

– Oczywiście, że ucieczka. Zawsze jakoś uciekałam. Też fizycznie. Robiłam to przez lata. Ale w pewnym momencie życia zorientowałam się, że od siebie nie ucieknę.

Jak się ucieka od siebie?

– Zmienia się mieszkania, na przykład. Teraz już to przepracowałam. To nie jest takie trudne, wystarczy trochę pomyśleć i można dojść do logicznych wniosków. Mam takie momenty, że zadaję sobie różne pytania. Dlaczego coś robię? Dlaczego czegoś nie robię?

One się pojawiły już „po Zachęcie”?

– Nie, wracają przez całe życie. Są momenty, w których człowiek bardziej się zastanawia nad tym, co robi i dlaczego. Same pytania też się zmieniają, zależnie od czasu.

Teraz jakie to pytania?

– Teraz to już tak okazjonalnie się zastanawiam. Nie wszystko jeszcze o swoim życiu wiem, ale tracę zapal

FOT.DAVID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

do tych rozważań. Zajmowanie się swoim życiem jest nudne. Ja się życiem nie zajmuję, bo żyję. Czytam, piszę, rozmawiam o filmach, spotykam ludzi.

„Schylek” to naprawdę ciekawy zapis tych rozważań.

– Staram się nie wychodzić poza swoje zawodowe kompetencje. Raz w życiu napisałam tekst o muzyce, bo mnie o to poprosiła Joanna Wnuk-Nazarowa, która robiła koncert na swoje pożegnanie w Katowicach. O teatrze nie pisałam do momentu, gdy zamówiłam u kogoś tekst o nowej premierze Warlikowskiego. A on powiedział: „Wywiadu udzielę tylko Andzie”. No to musiałam. Przygotowałam się, porozmawialiśmy.

Ale nie wchodzę na cudzy teren. Staram się ograniczać do pisania o sztuce czy też o sztuce wybranych artystów. Przyjaźnię z nimi też staram się wybierać tak, żebym nie musiała odmawiać, gdy mnie poproszą o tekst.

Kilka razy wspomina pani w dzienniku, że ludzie często udają bezinteresowność. A potem piszą lub dzwonią z prośbą.

– Umiem to wyczuć. Przeciwczyłam to tyle razy... Zapraszają do pracowni albo na wystawę, a za tym jest oczekiwanie, że coś napiszę i w ogóle „wylansuję”. Jak nie – obraża, czasem złośliwie komentuje. Wolę się nie fatygować, nie oglądać. Jak sama się wpraszam, to wiem po co.

Dzisiaj jestem traktowana jak celebrytka, ale naprawdę bardzo tego nie chcę. Chodzę pod Halę Mirowską, kupuję pietruszkę. Staram się żyć jak zwykły człowiek.

Czyli jak?

– Na przykład oglądam wieczorami seriale kryminalne. Robię na drutach. Na Gwiazdkę zrobiłam sweter dla wnuczki. Przy telewizorze. Wtedy nie mam poczucia, że tracę czas na pojedyncze czynności. Dwie rzeczy naraz, to jest w porządku.

Czytając „Schylek”, trudno jednak zgodzić się z tym „zwykłym” życiem. Funkcjonuje pani w świecie, który nie jest wcale zwykły.

– Nie zabiegałam o znajomości. Mam w sobie niezgodę na autopromocję. Nie ogłaszam i nie zapowiadam w serwisach społecznościowych swoich spotkań autorskich, publicznych wykładów, nowych książek. Nie chwale się sobą.

Jak pani się gdzieś pojawia, wszyscy to widzą. „Wszyscy” znają Andę.

– Nie wiem, jak to się stało. Dlatego lubię być za granicą, bo tam nikt mnie na ulicy nie poznaje. Choć to też się zmienia nawet w Tawrze, w której teraz jest więcej Polaków. Siedzę zimą na słońcu i piję kawę w ulubionym miejscu, czuję się zrelaksowana i nagle kątem oka widzę, jak ktoś mnie pokazuje palcem... Na szczęście nie podchodzą.

Czy ta defensywność, która pojawiła się po Zachęcie, ewoluuje?

– Może się nawet wzmocniła? Jak PiS przejął media publiczne, bojkotowałam je. Nie przyjmowałam zaproszeń do publicznej telewizji, radia, nie udzielałam wywiadów. Kiedy podchodziła reporterka czy reporter z mikrofonem, odmawiałam. W dzienniku jest scena, jak lokalna dziennikarka popłakała się po takiej bardzo kulturalnej odmowie. Naprawdę było mi przykro. Próbowалаm jej wytłumaczyć, że to nic osobistego, pani jest bardzo miłą osobą, ale mam zasady i nie chcę ich łamać. To była próba wierności sobie.

„Nadal mam nadzieję, że nie przegapię momentu, gdy się okaże, że więcej mam zepsutych części niż dobrych, czy sprawnych, wliczając w to głowę”. Nasłuchuje się pani?

– Muszę kontrolować, czy wszystkie śrubki jeszcze są na swoim miejscu. Skarżyłam się niedawno mojej wnuczce, że zapominam nazwisk, nazw miejscowości. To się robi żenujące. Odpowiedziała, że jak zapytam, jak



• Anda Rottenberg podczas protestu pracowników i artystów przeciwko odwołaniu przez pisowskiego ministra kultury Piotra Glińskiego ówczesnej dyrektorki Zachęty Hanny Wróblewskiej (16.12.2021). FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Dostałam za swoje w Zachęcie. Najpierw antysemitka kampania, którą wytoczyli „prawdziwi Polacy”. Byłam też „nazistką”, bo pokazałam wystawę Piotra Uklańskiego. – Jeżeli wam tak przeszkadza, to weźcie sobie tę Zachętę! – pomyślałam

jej idzie biznes, który porzuciła rok temu, to się znacznie martwić.

Mam jednak poczucie, że już zeszałam ze sceny. Pracuję w prywatnym piśmie i prywatnym radiu. W piśmie mam etat, ale to nie ja tam przyszałam, pismo przyszło do mnie. Gdy mi zaproponowano pracę w „Vogue’u”, trochę się speszyłam, bo tylko raz pracowałam w redakcji. Ale to był rocznik „Polish Art Studies”. Trochę inne tempo. Nagle okazało się, że mam 74 lata i zaczynam kierować działem kultury „Vogue’a”. Poszło gładko. Może dlatego, że nikomu nie zagrażam, nie konkuruję z młodszymi koleżankami? Wszyscy są niezwykle dla mnie mili. Dużo się od nich uczę, nasiąkam tą młodą energią.

Jednak jestem wrogiem zajmowania publicznych stanowisk przez 30 lat, tego przypawania się do dyrektorskiego fotela. To jest niemoralne. Chyba że się wystartuje w konkursie i obroni swoją wizję i miejsce. Tak zrobił Paweł Jaskanis, który po 22 latach kierowania muzeum pałacu w Wilanowie wygrał kolejny konkurs. To samo zrobił dyrektor Wawelu. Przystąpił do konkursu i go wygrał. Podobnie dyrektor Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Bardzo ich za to szanuję. I nie rozumiem tych, którzy dawno przekroczyli wiek emerytalny, a gdy po wielu dekadach są zwalniani, publicznie ronią łzy i opowiadają o poczuciu krzywdy. Jak to się ma do godności? Co z kwestią smaku? Zna pan Jacka Głomba?

Tak, dyrektor teatru w Legnicy.

– Właśnie się okazało, że odchodzi. Przyjaźnimy się. Spytałam, o co chodzi, bo różne tam przejścia miał. Może miał widok na inny teatr? Odpisał mi właśnie. Nie ma widoków, odchodzi, bo był tam 30 lat i wystarczy. Podobna mi się ta odpowiedź.

Na pierwszą sugestię, czy nie zechciałabym odejść z redakcji, natychmiast się spakuję.

Dokąd wtedy?

– Do domu.

Nie każdy chce.

– Zawsze sobie znajdę jakieś zajęcie. Na urlopie macierzyńskim robiłam suknie na szydełku i sprzedawałam. Umiem też robić na drutach, o czym już mówiłam. Moja mama twierdziła, że inteligentny człowiek wszystkiego się nauczy. Odeszłam z Zachęty na ulicę, bez ubezpieczenia. Młodym trzeba zwolnić miejsce, na pewno wniosą coś nowego.

Pani to widzi, ja to widzę, ale jednak wiele osób próbuje nie zauważyć tego, że świat tak się szybko zmienia, że czasem trzeba odejść, żeby pozwolić mu pójść do przodu.

– Dobrze powiedziane. Wie pan... Moja przyjaciółka, najbliższa, która się nie lubi lansować, więc nie zdradzałam jej nazwiska w dzienniku, mówi: – Trzeba umierać. Młodzi też chcą mieć pracę. Chcą żyć, rozwijać się i sprawdzać swój potencjał.

Oczywiście nie chodzi o to, żeby strzelić sobie w łeb, ale wiedzieć, że jak się już niewiele wnosi, to może czas przestać się wygłupiać?

Mój pierwszy naczelny w „Vogue’u” – Filip Niedenthal – był synem moich przyjaciół, młodszych ode mnie. Ale przecież z wiekiem nie przybywa mądrości. Nie każdy starzec jest mędrce. Widziałam tylu bęcwałów z siwą brodą i tyle głupich, farbowanych staruszek... Jeżeli człowiek założy, że może się czegoś dowiedzieć od trzeciego pokolenia do przodu, czyli od swoich wnuków, to dużo się dowie.

Moje koleżanki w pracy są bliższe wiekowi mojej wnuczki niż mojemu. I ja ich słucham. Oczywiście nie jest tak, że robię wszystko, co mi mówią, ale słucham, gdy mówią o sprawach, na których się nie znam. Raz tylko, gdy koleżanka chciała, byśmy napisali o pewnym artyście, powiedziałam: – Po moim trupie. Bo jednak w moim dziale to ja decyduję, o kim się pisze, ale też nikt tego nie kwestionuje. Przynajmniej na razie.

O kim się nie pisze?

– Nie powiem. Nie pisze się o złej sztuce. A ja sama piszę o takiej, która do mnie przemawia. Jak prąd nie płynie – nie piszę. To nie dotyczy „Vogue’a”, tam są różne teksty, znajduję innych autorów, byle nie było złej sztuki.

To od kogo poczuła pani elektryczność?

– Nigdy nie odpowiadałam na takie pytania. Nie chcę, żeby pozostali poczuli się dotknięci. Nie mogę wymienić tylko jednego nazwiska, chyba że dopiero je odkryłam, a w tym roku chyba nie było takiej sytuacji. Mogę za to powiedzieć, że we Wrocławiu była bardzo dobra wystawa Marii Pinińskiej-Bereś, którą zrobił Jarosław Suchan.

Znałam jej twórczość wyrywkowo, ale na wrocławskiej wystawie odkryłam jej wcześnie rzeźby. Ciężkie, zwarte, zapowiadające coś niezwykłego. O Pinińskiej-Bereś mogę mówić, bo nie żyje.

Mamy 2025, startują podsumowania 25-lecia. Czy...

– Podsumuję? Proszę bardzo.

Otóż zadziwia mnie jedna rzecz. Myślałam, że wszyscy podzielają przekonanie, że nie ma większej wartości nad wolność. Tak żyłam. Okazało się – gdy zaczęliśmy ją tracić – że niemal nikt się za wolnością nie oglądał. Młodzi, którzy urodzili się w „wolnym świecie”, albo byli małymi dziećmi, kiedy ona nastąpiła, nie wiedzą, co znaczy jej brak. Przez to nie czują, kiedy władza zaczyna wolność odbierać. Często małymi krokami. Ja to widzę dziesięć ruchów naprzód.

W Polsce przez osiem lat trwało powolne gotowanie żaby, co nie zostało dostrzeżone przez młodych. Moje pokolenie było bardziej świadome tego, co się dzieje.

Nie wszyscy.

– Są oczywiście przedstawiciele mojego pokolenia, którzy uważają, że to był fantastyczny czas. Miałam takich znajomych, ale ponieważ już się z nimi nie widuję, to nie zadaję im pytania, czy się dobrane czuli w tej lub w tamtej sytuacji? Wiem, że mi nie odpowiedzą albo będą kręcić.

Martwi mnie obecna eskalacja brunatnej fali. Nie wiedzą, że ten, którego tak wielbią, chciał wytrzebić nie tylko Żydów i Romów, ale też Polaków?

Oni myślą, że są innymi Polakami niż tamci Polacy.

– To jest największy kłopot. Przecież to ich dziadkowie byli mordowani przez nazistów. Młodzi mogą teraz niemal wszystko. Mogą polecić, gdzie chcą, podróżować po całym świecie niemal bez pieniędzy i na przykład – jak moja wnuczka – pracować w budyjskim klasztorze za wikt i opierunek. I to jest wspaniałe. Ale przy okazji zapominają, że tutaj także są zadania do wykonania. Bez zaangażowania młodych nic się nie zmieni. A to właśnie wzięli na siebie narodowcy. Oni mają poczucie, że spełniają zadanie wobec ojczyzny. Swoimi metodami. Tymczasem wszyscy mamy te zadania i musimy je wykonywać zgodnie z naszą najlepszą wiedzą i troską. Bo wolność łatwo stracić, a trudno odzyskać. ●

Anda Rottenberg

• Rocznik 1944. Historyczka i krytyczka sztuki, publicystka. W latach 1993-2001 dyrektorka Państwowej Galerii Sztuki Zachęta w Warszawie. Autorka m.in. autobiograficznej książki „Proszę bardzo” (nominacja do nagrody „Nike”) i wielu książek o sztuce. Od 2018 roku publikuje swoje dzienniki.



• Anda Rottenberg, „Schylek. Dziennik 2019-2022”, wyd. OsnoVa, Warszawa 2024



Z **HALSZKĄ WITKOWSKĄ**,
SUICYDOLOG, EKSPERTKĄ BIURA
DS. ZAPOBIEGANIA ZACHOWANIOM
SAMOBÓJCZYM
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Nie jesteśmy w stanie wejść do głowy osoby, która zamierza odebrać sobie życie.

AGNIESZKA JUCEWICZ: Po raz pierwszy od ponad dekady liczba samobójstw spadła poniżej 5 tysięcy. W zeszłym roku było ich 4845, ale to wciąż 4845 gwałtownie przerwanych żyć. Tych, którzy zostali dotknięci tą tragedią, jest jeszcze więcej. **HALSZKA WITKOWSKA*:** – Przez lata w suicydologii mówiło się, że każde samobójstwo ma wpływ na 20 osób z najbliższego otoczenia, jednak najnowsze badania – Julie Cerel i współpracowników – pokazują, że ta fala rażenia jest znacznie większa. I że możemy raczej mówić o 135 takich osobach.

Na przykład samobójcza śmierć nastolatka ma wpływ nie tylko na: mamę, tatę, rodzeństwo, dziadków, wujków, ciotce, ale też na: kolegów i koleżanki ze szkoły, nauczycieli i nauczycielki, dyrektora, pedagoga szkolnego, panie woźne, znajomych z klubu sportowego, z kółka literackiego, sąsiadów.

Ostatnio pewien polityk już mocno po siedemdziesiątce powiedział mi, że do dziś pamięta szkolną koleżankę, która odebrała sobie życie. I mimo że nie byli ze sobą blisko, co roku chodzi na jej grób zapalić świeczkę, tak nim to wstrząsnęło. Jedna z bohaterek naszej książki, nauczycielka,

która wiele lat tam temu straciła w ten sposób dwóch uczniów, do dziś nie może się z tym pogodzić.

Oczywiście najbliżsi cierpią najbardziej, jednak często nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak wielu osobom taka tragedia może nie tylko zmienić codzienność, ale w ogóle przewartościować życie. Nie mówiąc o tym, że są osoby, na które śmierć samobójcza oddziałuje szczególnie mocno – te, które mają za sobą próbę samobójczą albo doświadczyły takiej straty w rodzinie.

Dodam, że po próbie też można być w żałobie.

Po czym to może być żałoba?

– Na przykład po swoich wyobrażeniach. Nieraz słyszałam od rodziców dziecka, które podjęło taką próbę: „Myślałam, że ją/je-go znam, że nasze życie będzie wyglądało tak a tak, tymczasem wszystko się w jednym momencie zawalilo”. Rodzice często się obawiają, że dziecko z takim doświadczeniem już nigdy nie będzie funkcjonowało, „nie zrobi kariery”, „nie zwiąże się z nikim”.

Rocznie w Polsce około miliona osób jest w jakiś sposób – mniejszy, większy – dotkniętych czy to próbą samobójczą, czy samobójstwem.

Niemal codziennie ma pani kontakt z osobami, które są najbliższe. O czym chcą rozmawiać?

– O poczuciu winy. Większość bliskich ma ogromną potrzebę, żeby zrozumieć, co się

dokładnie stało, i szuka powodów, żeby tę swoją winę potwierdzić, najprzeróżniejszych. „To dlatego, że się pokłóciliśmy”, „bo nie pożyczyłem mu pieniędzy”, „nie zgodziłam się na wyjazd na wakacje”, „bo powiedzieliśmy przy nim, że się rozstaniemy”. Szukają tego jednego powodu, który tłumaczyłby tę decyzję. Czasem w tym celu przeprowadzają drobiazgowy śledztwo.

Na przykład?

– Proszę mnie o konsultację listu pożegnального, żebym sprawdziła, czy pomiędzy wierszami nie kryje się przypadkiem jakaś zaszyfrowana wiadomość.

W swojej pracy naukowej przeanalizowałam 800 takich listów. Każdy jest inny, ale zwykle nie ma tam ukrytych znaczeń. To nie jest poezja Leśmiana czy Grochowicka. Owszem, zdarzają się i takie listy, zazwyczaj jednak jest tam tylko to, co zostało napisane, czyli najczęściej: „Przepraszam”, „Wybaczcie mi”, „Kocham was”. Ostatnio czytałam list osoby, która tłumaczyła w nim swoje nieprzystosowanie do świata. I ten wątek też się często pojawia: „jestem beznadziejny/beznadziejna”, „zawsze się źle czułam/czułam”, „i tak nie można mi pomóc”. Bardzo często pojawiają się zwroty zapewniające bliskich, że właśnie nie są niczemu winni.

Rozumiem, że to i tak niespecjalnie pomaga?

– Nie, dlatego kiedy z nimi rozmawiam, w pierwszej kolejności pomagam im stwo-

rzyć mapę, która pokaże, jak mogło do tego dojść. A przede wszystkim, że nie przesądziła o tym ta jedna rzecz tuż przed, czyli ta jedna awantura czy to jedno nieporozumienie.

Najczęściej okazuje się, że momentów kryzysowych w życiu tej osoby było już ileś. Ktoś na przykład we wczesnej młodości miał problemy z zaburzeniami odżywiania. Te problemy przełożyły się potem na wymarzoną karierą sportową. To z kolei spowodowało kłopoty w nauce. W pewnym momencie nasilający się stres zaczął utrudniać kontakty rówieśnicze. A kiedy ta osoba weszła w swój pierwszy poważny związek, stres urósł tak bardzo, że zaczął powodować silne ataki paniki i lęku, z którymi przestała sobie radzić.

Dlatego staram się unikać słowa „samobójca”. Wolę mówić „osoba, która odebrała sobie życie” albo „osoba, która zginęła śmiercią samobójczą”, ponieważ mocno wierzę, iż samobójstwo nie powinno określać życia człowieka.

To raczej całe jego życie składa się na samobójstwo.

Co, kiedy już odtworzycie taką mapę potencjalnych punktów zapalanych?

– Większość bliskich czuje ulgę. Mówią: „Teraz widzę, ile tego było”. Ale zdarza mi się też słyszeć: „Tylko dlaczego mnie przy nim wtedy nie było? Mogłam go lepiej wesprzeć, lepiej usłyszeć”. Wtedy rozmawiamy o tym, że nie zawsze jesteśmy w stanie wszystko

zauważyć. Nie wszystkiemu jesteśmy w stanie zapobiec.

„Połączyliśmy kropki dopiero po fakcie” – mówią bohaterowie waszej książki. I nie mogą sobie wybaczyć.

– Ale połączenie tych kropek wcześniej jest szalenie trudne.

Każdy z nas na jakimś etapie życia mierzy się z mniejszymi bądź większymi problemami. Nasze dzieci się mierzą, nasi partnerzy, rodzice, przyjaciele. Trudno, że byśmy cały czas mieli z tyłu głowy, że coś takiego się może wydarzyć. Życie byłoby nie do zniesienia. Z drugiej strony zawsze oczywiście możemy zadać sobie pytanie, czy wystarczająco adekwatnie reagowaliśmy na te problemy. Ale wszyscy gdzieś pędzimy, mamy masę obowiązków, różne priorytety. Często wydaje się nam, że jak my sobie radzimy, to i nasi bliscy sobie poradzą.

Nie da się wcześniej w pełni zobaczyć tej historii także dlatego, że nie jesteśmy w stanie wejść do głowy osoby, która zamierza odebrać sobie życie.

To znaczy?

– Nigdy się nie dowiemy, dlaczego tak naprawdę to zrobiła. Nawet jeśli zostawia list, to jest to tylko wycinek rzeczywistości. Fragment, który zdecydowała się przełać na papier, nie pisząc o wielu innych rzeczach. Nie wiemy też, kiedy taki list powstał: czy tuż przed, czy może dwa- trzy tygodnie wcześniej. Czasami jest data, ale nie zawsze. Czasem jest to piękna papeteria, a czasem kilka słów napisanych na paragonie ze sklepu, co świadczy o pewnej spontaniczności tego zapisu. Nie poznamy odpowiedzi na wszystkie pytania.

W waszej książce jest opowieść córki o matce, która przez lata borykała się ze stanami lękowymi na tle zdrowotnym. Chodziła od lekarza do lekarza, opowiadała córce o swoich licznych dolegliwościach, mówiła jej, że chce umrzeć. Córka w pewnym momencie przestała te komunikaty traktować serio, a kiedy przyszedł ten ostatni SMS, pomyślała, że „mama znowu swoje”. Wyobrażam sobie, że w takiej sytuacji bardzo trudno jest stwierdzić, że to może być już ostatnie wołanie o ratunek.

– To jest w ogóle niezwykle trudne, bo są osoby, które mają myśli samobójcze przez kilka, a nawet kilkanaście lat i nie odbierają sobie życia. Znam takie przypadki. Bywa też odwrotnie: są tacy, którzy – wydawałoby się – świetnie funkcjonują i ukrywają kryzys do ostatniego momentu.

Weźmy na przykład rodzinę, w której bliski od dawna mierzy się z kryzysem, leczy się psychiatrycznie, też w szpitalu. Rodzina spodziewa się, czym ten kryzys może się skończyć, więc się ciągle o tego bliskiego boi, wypatruje sygnałów – jak wygląda taka codzienność, świetnie pokazał film „Ostatnia rodzina” o Beksińskich. Aż w końcu dochodzi do najgorszego. Z drugiej strony możemy mieć rodzinę, w której ten bliski tak się dobrze maskuje, że nikt niczego nie podejrzewa, a tragedia spada na nich jak grom z jasnego nieba.

Różne emocje mogą potem tym bliskim towarzyszyć.

Jak różne?

– Myślę, że najtrudniejszą emocją, z jaką często się zmagają bliscy w tym pierwszym przypadku, jest uczucie ulgi. Ono jest trudne, bo z jednej strony wreszcie wydarza się to, czego baliśmy się najbardziej na świecie, więc już nie musimy się bać, a z drugiej – za chwilę jesteśmy na siebie wściekli, że jak w ogóle mogliśmy pomyśleć w ten sposób! Co z kolei znów rodzi ogromne poczucie winy i wstyd. W tym drugim przypadku dominującym uczuciem na początku jest najczęściej szok.

Dlatego w suicydologii zwracamy uwagę, że osoby w żałobie są bardzo zagrożone podjęciem próby samobójczej. Bo czują winę, szukają powodów, a często po prostu

tracą sens życia. I znam wiele rodzin, które bardzo się starały – rodziców, którzy robili wszystko, co mogli, żeby pomóc dziecku w kryzysie, męża, który bardzo dbał o żonę i zapewniał jej cały czas opiekę – a i tak nie udało się im ich uratować. I takie osoby też mają potem ogromne wyrzuty sumienia. Poradzenie sobie z tym samemu jest niezwykle trudne, a czasem niemożliwe, bo to jest ból nie na ludzką miarę. Dlatego tak ważne jest wsparcie otoczenia, czasem specjalistów.

Tymczasem zdarza się, że otoczenie obwinia tych, którzy byli najbliżej. Teściowie oskarżają młodą żonę o samobójczą śmierć ich syna. Rodzice dziecka, które odebrało sobie życie, słyszą, że „to musiał być patologiczny dom”. Dziadkowie mówią do wnuczki: „Mówiliśmy ci, żebyś mamy pilnowała”. Dlaczego ludzie to robią?

– Dlatego, że to im pomaga uporządkować świat. Jakoś opowiedzieć tę straszną tragedię, w przeciwnym razie: jak z nią żyć?

Jeśli nie znajduję winy w sobie, to na pewno ktoś inny się do tego przyłożył, co jest szalenie krzywdzące, bo nigdy nie jest tak, że jedna osoba odpowiada za całokształt. Zawsze jest jakiś kontekst. Szukanie winnego nikomu też nie służy. Czasu to nie cofnie, bardzo często jest niesprawiedliwe, pochopne i ogromnie rani.



Winnego szukają też ci, którzy nawet niespecjalnie znają tę rodzinę i kontekst.

– Tym bardziej! Kiedyś znajomi piłkarze skarżyli się, że jak się wejdzie do jakiegokolwiek baru podczas meczu kadry narodowej, to w każdym znajdzie się trener albo selekcjoner – tak się wszyscy znają na piłce. Z samobójstwami jest podobnie. Są osoby, które nie mają o tym pojęcia, a uważają, że najlepiej wiedzą, dlaczego ludzie odbierają sobie życie: „on to zrobił dlatego, że żona miała romans”, „a ona dlatego, że rodzice jej nie kochali” itp. Mamy tendencję do przyczepiania latek, jednocześnie boimy się zbliżyć do tych w żałobie. Rozmawiać z nimi, być przy nich, bo to jest trudniejsze.

Przy okazji można sobie zrobić dobrze: „w moim domu takie rzeczy się nie dzieją”, „ja mam fajny związek”, „moja rodzina jest normalna”.

– Co może być złudne. Nieraz byłam świadkiem sytuacji, w której rodzic mówił, że jego dziecko na pewno nigdy nie wzięłoby narkotyków, po czym się okazywało, że już od pół roku je zażywa, i to te twarde. Inny rodzic mówił: „moje dziecko nigdy nie było w kryzysie psychicznym”, a potem wyszło na jaw, że jest w poważnym od miesiący. Poziom wyparcia bywa głęboki.

Osoby w żałobie po stracie bliskiego na skutek śmierci samobójczej często mówią, że nagle wokół nich zapada cisza. Jaka to jest cisza?

– Pewien mężczyzna, samorządowiec, niezwykle aktywny, powiedział mi kiedyś: „Wie pani, przed śmiercią mojego dziecka telefon dzwonił nawet 200 razy dziennie, po jego śmierci zamilkł na długie miesiące. Nikt nie dzwonił”. Kiedy spytał później znajomych, dlaczego przestali się odzywać, usłyszał: „Bo myśleliśmy, że wolisz pocierpieć w samotności”. Wstrząsnęło mną to.

Za tym milczeniem kryje się kilka powodów. Po pierwsze, często nie wiemy, jak zacząć. Nie wiemy, co powiedzieć ani jak, bo nie chcemy jeszcze bardziej zranić. Kiedyś trafiłam na stronę dla rodziców, którzy stracili dzieci w różnych okolicznościach. Apełowali na niej między innymi o to, żeby pod żadnym pozorem nie omijać imienia dziecka w rozmowach z nimi. Nie gumkować go. Wiele osób to robiło, żeby nie podrażniać tej rany jeszcze bardziej. Ze śmiercią samobójczą bywa podobnie.

Co jeszcze może powodować tę ciszę?

– Są osoby, które boją się zetknięcia z takim bólem. Nie wiedzą, co zrobić, kiedy ktoś płacze. Obawiają się, że zostaną poproszone o pomoc, której nie będą w stanie udzielić. Chcieliby powiedzieć coś mądrego, lecz nie znajdują odpowiednich słów. Tylko że takie słowa nie istnieją. To są takie tragedie, że cokolwiek byśmy powiedzieli, nie rozpuścimy tego bólu. Możemy tylko pomóc go tej osobie ciągnąć, będąc przy niej.

Myślę też, że część osób boi się rozmów o śmierci, bo to im przypomina o ich własnej śmiertelności. Niektórzy obawiają się, że taka tragedia mogłaby dotknąć ich rodzinę. Ktoś ze społeczności facebookowej napisał mi zresztą niedawno, że nie chce już obserwować naszego profilu (Życie Warte Jest Rozmowy), bo „ile można o tym mówić” i że to jest „takie smutne”.

sAppie. A tak się nie da. Potrzebna jest realna obecność.

Tu warto wiedzieć, że jednym z czynników utrudniających przechodzenie żałoby jest odnalezienie ciała tego bliskiego. Osoby, które mają takie doświadczenie, często chcą ciągle wracać do tych dramatycznych okoliczności, opowiadać o nich. Dziewczyna, która znalazła brata i miała ogromną potrzebę opowiadania o tym, jak wyglądało to miejsce, co się dokładnie wydarzyło, powiedziała mi: „Mówię to pani, bo wiem, że dla pani to nie będzie straszne”.

Dla wielu osób jest.

– Dlatego ci bliscy często nie mają komu tego wszystkiego opowiedzieć, choć bardzo by chcieli. I to opowiedzieć nie raz, nie dwa, ale 10 czy 50 razy. Często towarzyszą im przy tym te same emocje, ten sam ból. On nie znika, ale za każdym razem troszeczkę się zmniejsza, bo zostaje wypowiedziany.

Jedna cisza to ta, która powstaje na skutek tego, że ludzie się odsuwają. Czasem jednak osoby po stracie same milkną. Nie chcą się tym dzielić, z różnych powodów. – Oczywiście, i należy to uszanować.

Jednym z tych hamulcowych jest wstyd. Wciąż się zdarza, że bliscy proszą lekarza, żeby nie wpisywał samobójstwa jako przyczyny zgonu.

Spytał znajomych, czemu przestali dzwonić po śmierci jego dziecka, usłyszał:? Myśleliśmy, że wolisz pocierpieć w samotności

Żyjemy w kulturze sukcesu. Często nie chcemy myśleć o tych, którzy cierpią, bo to nas za bardzo obciąża.

W takich okolicznościach często dochodzi do paradoksu, który nazywany jest fenomenem książki telefonicznej.

– Opisał go amerykański suicydolog Thomas Joiner. Polega on na tym, że ci, na których liczymy najbardziej, nie dzwonią, za to dzwonią zupełnie inni, o których byśmy nie pomyśleli, że nas wesprą. I nagle te kontakty się nam przetasowują.

Dlaczego tak się dzieje?

– Czasem jest tak, że ci najbliżsi chcieliby nas wesprzeć najlepiej, jak potrafią, no ale nie potrafią. To zadanie ich przerasta, bo jest w nim duży ładunek emocjonalny. Z kolei obcy ludzie, nie mając aż takiego obciążenia, często są odważniejsi w wykonaniu prostych gestów, jak właśnie telefon czy zrobienie komuś zakupów.

Nam się często wydaje, że jak mamy komuś pomóc, to musimy zrobić nie wiadomo co – od razu z nim zamieszkać, znaleźć mu pracę, kupić samochód, żeby móc do niego dojeżdżać. Zapominamy, że czasem wypicie z kimś herbaty, przytulenie go, pójście na spacer, pomoc w załatwieniu spraw pogrzebowych czy setki innych, drobnych rzeczy są na wagę złota. Pomagają tej osobie jakoś przetrwać.

Jedna z mam, której dziecko odebrało sobie życie, powiedziała mi: „Nie byłam w stanie wtedy oddychać. Umarłam razem z moim dzieckiem”, więc czasem to jest pomoc w nauce oddychania od nowa. W robieniu małych kroków każdego dnia. Nie każdy ma do tego cierpliwość.

I czas.

– Zgadza się. Niektórzy chcieliby to załatwić jedną wiadomością czy rozmową na What-

– Dodam, że zdarza się to nie tylko na wsiach i w małych miastach, ale i w Warszawie, Gdańsku, Krakowie. W przypadku znanych osób czasem rodzina podaje inną przyczynę śmierci do mediów. I ja to rozumiem, bo nie każdy musi sobie z tym poradzić. Poza tym zobaczymy, ile osób dziennie umiera na raka. Jakoś nikt nie wchodzi do szpitalnych sal, nie robi zdjęć pustych łóżek. A wystarczy, że ktoś umrze śmiercią samobójczą, od razu zbiegają się dziennikarze, fotografują miejsce zdarzenia, wypytują bliskich, przychodzą na pogrzeb. Nie mówiąc o tym, że bliscy muszą się mierzyć z policją, często z przesłuchaniem. Dla wielu osób to jest koszmar i potem nie chcą do tego wracać.

Rozumiem niechęć do upubliczniania tej informacji. Ale jakie ma znaczenie, kiedy próbuje się utrzymać ten fakt w tajemnicy przed rodziną, na przykład przed dziećmi?

– Przed dziećmi bardzo często się to ukrywa, bo nie wiadomo, jak im o tym powiedzieć. Niestety, takie milczenie zdarza się też w rodzinach, w których dochodzi do śmierci samobójczej dziecka. Rodzice skupiają się na swoim bólu, a przez to nie dostrzegają bólu rodzeństwa, które zostało i chce o tym rozmawiać, tylko nie ma z kim.

Ukrywanie do niczego dobrego nie prowadzi. Po pierwsze, prawda i tak prędzej czy później wyjdzie na jaw, a wtedy nie będziemy mieć kontroli nad tym, kiedy to się stanie ani w jakich okolicznościach. A po drugie, to, że się o czymś nie mówi, nie oznacza, że się tego nie czuje. Psycholożka Małgorzata Łuba, która od lat zajmuje się tematem żałoby po śmierci samobójczej, zwraca uwagę, że dzieci odbierają nie tylko przekaz werbalny, ale i niewerbalny. Nie wiedzą, co się dzieje, lecz wiedzą, że COŚ się dzieje, i są tym bardzo zaniepokojone. Czują napięcie, chociaż nikt nie wypowiedział „tego” słowa.

W wielu rodzinach to tabu jest przekazywane z pokolenia na pokolenie. Często w tych rodzinach jest strach, że jak się zacznie o tym rozmawiać, to potem ktoś się „wygada” na zewnątrz, „ludzie zaczną mówić”, no a przecież „brudy pierze się w domu” itd. Dlatego lepiej od razu sobie te usta zagipsować.

Niektórzy po wielu latach dowiadują się o samobójczej śmierci, na przykład dziadka czy babci. I to też jest dla nich trudne, bo na przykład sami mierzyli się z myślami samobójczymi, obwiniali się o nie. Gdyby znali tę historię rodzinną wcześniej, być może byłoby im jakoś łatwiej? – No tak, a z drugiej strony są osoby, które na przykład przez to, że dowiadują się o śmierci samobójczej kogoś w rodzinie, choć wcześniej nie miały takiego kryzysu, zaczynają się obawiać o siebie lub o swoje dzieci. Między innymi przez to, że wciąż żywy jest mit, że to może być genetyczne.

Gen samobójcy?

– Właśnie. Nie ukrywajmy, że przez długi czas ludzi się straszyciło samobójstwem, od kościoła przez różne penalizacje, po takie myślenie magiczne. Ludzi, którzy odebrali sobie życie, chowano za ogrodzeniem cmentarza, przenoszono zwłoki przez okno albo pod progiem domu, żeby ta dusza nie wracała i nie straszyla. Teraz nam się to może wydawać abstrakcyjne, ale do dziś studenci opowiadają mi, że gdzieś w Świętokrzyskiem ksiądz odmówił pochówku, chociaż to jest wbrew aktualnym nakazom Kościoła.

Niesamowite, jak głęboko te przekonania się zapisują. Niektóre osoby, kiedy osiągną ten wiek, w którym ich bliski popełnił samobójstwo, przeżywają dużo napięcia. – Czasem odliczają dni do tego momentu, chodzą ciągle na cmentarz. A kiedy ten dzień nadchodzi, myślą o tym, że tego bliskiego już wtedy nie było, oni są. Czasem mają poczucie winy z tego powodu. Z historii wiemy, że ojciec Hemingwaya popełnił samobójstwo i Hemingway właśnie w ten sposób to przeżywał.

Prawda jest też taka, że – jak pokazują badania – jeśli doświadczyło się śmierci samobójczej rodzica przed 14. rokiem życia, ryzyko, że samemu się je popełni jest dwu-, trzykrotnie wyższe. – To jest związane nie tylko z samobójstwem, ale i z traumą osierocenia, ze stratą rodzica w ogóle. Jeśli chodzi o dzieci, choć nie tylko, często pojawia się tu jeszcze jedno – poczucie odrzucenia. „A może ten rodzic mnie nie kochał?”, „Może mnie się nie dało kochać, bo byłem złym dzieckiem?”, „Może, gdybym był lepszy, tata nie odebrał sobie życia?”. Czasem pojawia się też złość na rodzica. A za nią często idzie pytanie: „Czy ja mam prawo się gniewać?”. Wiele osób w ogóle kwestionuje różne swoje uczucia i stany po takiej stracie, jakby istniał jeden słuszny model jej przeżywania. On nie istnieje.

Zdarza się, że złość odczuwają również partnerzy i partnerki: „Dlaczego mnie zostawił?”. „Gdyby mnie naprawdę kochał, toby nie odszedł”. – „A jeśli mnie kochał, to dlaczego mi nie powiedział, że mierzy się z takim problemem?”. Słyszę to też czasem od rodziców dzieci, które odebrały sobie życie. „Przecież on wiedział, że może na mnie liczyć, że o wszystkim może mi powiedzieć?”. W tym jest i złość, i zarzut do siebie, że być może nie było się godnym zaufania. Kiedy rozmawiam o tym z bliskimi, zwracam im uwagę, że często osoby w kryzysie samobójczym nie chcą obciążać swoich najbliższych. Nie mówią im o tym, co przeżywają, bo wydaje im się, że to jest nie do rozwiązania, że nie da się im pomóc, a nie dlatego, że im nie ufają czy ich nie kochają. Bardzo często to myślenie pojawia się u osób starszych. Piszą o tym w listach pożegnalnych: „W końcu będziecie mieli spokój”, „Nie będę już dla was ciężarem”.

Na ile to, że bliski, który odszedł, zostawia list, ma znaczenie w przeżywaniu żałoby? – To bardzo różnie, dlatego że listy są różne. Zdarzało mi się też czytać listy agresywne, pełne złości czy pretensji. One są rzadkie, ale są. Trzeba też pamiętać, że autorzy tych listów znajdują się w szczególnym stanie psychicznym i emocjonalnym, który w suicydologii nazywamy syndromem presuicydalnym. Składa się na niego zespół czterech zawężeń: sytuacyjne, dynamiczne, świata wartości i relacji międzyludzkich. Do tego dochodzi jeszcze odhamowanie agresji i ideacje samobójcze, czyli wyobrażenia na temat tego, jak ta śmierć będzie wyglądała.

A prościej?

– Osobie przed podjęciem próby samobójczej często wydaje się, że z jej sytuacji nie ma wyjścia – to jest zawężenie sytuacyjne. Pojawiają się uczucia beznadziei – „do niczego się nie nadaję”, „moje życie jest nic niewarte” – to zawężenie świata wartości. W związku z tym, że osoba czuje, że nie ma dla niej rozwiązania i jest beznadziejna, zrywa kontakty z ludźmi, bo nie chce ich sobą obciążać – to jest zawężenie relacji międzyludzkich. Na koniec wszystko się w niej tak intensyfikuje, negatywne uczucia występują tak często, że coraz trudniej jej sobie z nimi poradzić – to zawężenie dynamiczne.

Zdarza się też, że nagle, tuż przed, nastrój się znaczenie poprawia.

– Bo ta osoba podjęła już decyzję. Nazywamy to złowieszczym spokojem. Ktoś na przykład wychodzi ze szpitala, zaczyna się uśmiechać, chodzić na imprezy, nawiązywać kontakt. Uspokaja otoczenie, a w międzyczasie wszystko planuje. Słyszę potem: „A byliśmy przekonani, że już jest dobrze”. Czasem dajemy się nabrać na to, że kryzys, który był tak ciężki, tak głęboki, który trwał miesiącami, a czasem latami, nagle po kilku tygodniach przechodzi. To tak, jakby ktoś, kto – dajmy na to – przeszedł operację na otwartym sercu, po miesiącu pobiegł maraton. To niemożliwe, ale chcemy w to wierzyć. Zapominamy, że rehabilitacja psychiczna tak jak rehabilitacja fizyczna wymaga czasu, jest bolesna, nierówna. Są takie bodźce i przeżycia, które podnoszą na duchu, pomagają się pozbierać, to jednak nie znaczy, że trzy czy cztery dni później trudne myśli nie wrócą.

Bohaterowie waszej książki często mówią, że żałoba w zasadzie się nie kończy. – Jak to ujęła jedna z czytelniczek, osoba z takim doświadczeniem: „Ten ból nie znikną, ale z czasem przestaje przesłaniać cały świat”. Też tak o tym myślę.

Jedna z bohaterek, której nastoletni syn odebrał sobie życie, mówi z kolei, że jest w przewlekłej żałobie.

– Niedawno rozmawiałam z kobietą, która dwa lata temu straciła dziecko. Odnalazła ciało, musiała spędzić z nim kilka godzin, bo tyle trwały czynności policyjne, i do dziś budzi się i zasypia z tym widokiem przed oczami. Nie jest w stanie wyjąć go z głowy. Czasem ten widok wraca do niej, kiedy idzie ulicą. Ma problem z przebywaniem w tłumie, nie lubi komunikacji miejskiej, w ogóle ma problem ze zwykłym funkcjonowaniem. Czasem okoliczności śmierci są tak traumatyczne, że powodują bardzo duży uraz psychiczny i mają wpływ na to, jak przez żałobę będzie się przechodzić. Również to, jak się nam ostatnio układały relacje z tym bliskim. Jeśli było między nami złe, jeśli się od siebie oddaliliśmy, to też będzie miało znaczenie. Dlatego tak ważne jest, kiedy dojdzie do takiej sytuacji na przykład w szkole, żeby szczególną opieką otoczyć nie tylko uczniów, którzy byli blisko tej osoby, nie tylko tych, którzy są bądź byli w kryzysie, ale także tych, którzy się z nią kłócili, mieli jakieś napięcia. Od bliskich czasem słyszę: „Nie dzwoniłam do siostry od dwóch lat”, „Od miesięcy nie miałam kontaktu z tatą”, „Nie interesowałem się”. Zerwanie kontaktu też budzi duże poczucie winy.

Powiedziała pani, że nie ma jednego modelu przeżywania żałoby. Czasem jednak trudno jest znieść, że ktoś bliski, na przykład nasz partner, przeżywa tę stratę zupełnie inaczej. – I czasem związki się przez to rozpadają. Poznałam parę, w której ojciec miał ogromną potrzebę rozmowy o tym. Chciał nawet podjąć jakieś działania upamiętniające dziecko, natomiast jego żona w ogóle nie chciała o tym mówić. Jak to ujęła: „nie chcę, żeby ktoś się żywił na mojej tragedii”. Była zła na męża, że on to przeżywa inaczej. Często oczekujemy, że druga osoba będzie cierpiała tak samo jak my, zapominając, że ból można okazywać na różne sposoby. Ale możemy z tego impasu spróbować wyjść inaczej – zacząć się jakoś komunikować z najbliższą osobą, bo nie ma nikogo, kto by nas lepiej zrozumiał.

Ludzie, którzy mają za sobą bardzo trudne doświadczenia, intuicyjnie szukają innych, którzy przeszli przez to samo. To podstawa działania wszelkich grup samopomocowych. – Opowiem coś pani. Kiedy po premierze książki siedziałam w kąciку i podpisywałam kolejne egzemplarze, pochodziły do mnie osoby w żałobie, w tym matki, które straciły dziecko w wyniku śmierci samobójczej. I każda z nich mówiła mi to samo...

...że nie zna żadnej matki, która by straciła dziecko w ten sposób? – Dokładnie tak, więc z każdą kolejną mamą podchodziłam do tej, która była przed nią, i je sobie przedstawiałam. W pewnym momencie zebrało się ich sześć czy siedem. Kątem oka widziałam, jak ze sobą rozmawiają, jak się przytulają. Kilka dni temu dostałam wiadomość od jednej z nich, że mi bardzo za to dziękuje, bo pobycie we wspólnocie osób, które właściwie rozumieją się bez słów, było dla niej bardzo ważne. Czasem tak niewiele trzeba.

Wielu waszych bohaterów i bohaterek tworzy takie wspólnoty. Młoda wdowa zakłada grupę wsparcia dla innych wdów. Mężczyzna, który stracił ojca, organizuje grupę wsparcia dla dorosłych dzieci samobójców, a matka po stracie nastoletniego syna otwiera dom, w którym znajdują wytnienienie inne matki. Czy to jakiś sposób na poradzenie sobie z żałobą? – Tu nie chodzi o to, żeby poradzić sobie z tą śmiercią, tylko o to, żeby nadać życiu, które trwa dalej, jakiś nowy sens. Na studia podyplomowe z suicydologii, które prowadzimy w ramach Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego, w każdym naborze zgłasza się sporo osób w żałobie, które, po pierwsze, chcą więcej zrozumieć, a po drugie, chcą potem jakoś tę wiedzę wykorzystać – najczęściej właśnie pomagając innym. Bo pomaganie, zaangażowanie w coś sprawia, że ich własny ból też się trochę zmniejsza. No i jest jeszcze o co walczyć.

Jak pani widzi swoją rolę w tym wszystkim? – Mąż nazywa mnie architektem, bo buduję konstrukcje, tyle że pomocowe. Kiedy zaczynałam zajmować się tym tematem, myślałam: a co ja jedna, mała mogę zrobić dla tych ludzi? Mam być jak ten Gombrowicz na plaży, który ratuje żuczki jeden po drugim, przewracając je z powrotem na brzuch? Szybko rozumiałam, że do tego jest potrzebna cała struktura. I bardzo się cieszę, że wraz z innymi specjalistami udało nam się założyć platformę edukacyjno-pomocową dla osób w kryzysie samobójczym i ich bliskich (Życie Warte Jest Rozmowy), że tyle osób codziennie korzysta z naszej wiedzy i darmowych konsultacji, że w ciągu trzech lat odwiedziło nas milion użytkowników. Mam satysfakcję, że udało się nam stworzyć coś, co realnie pomaga.

Rozmawiamy już kolejny raz, a w sumie nigdy panią o to nie pytałam. Czy był jakiś osobisty powód, który sprawił, że zajęła się pani tym tematem?

– Kiedy byłam młoda, przyjaciel mojego brata odebrał sobie życie. Potem mój ukończony weterynarz, który opiekował się moimi końmi, jednak w rodzinie nie było nikogo takiego i sama też nie przechodziłam kryzysu psychicznego. Tym, co mnie najbardziej przyciągnęło do tego tematu, była lektura listów pożegnalnych w ramach pracy doktorskiej. To wywróciło moje życie do góry nogami.

Początkowo interesował panią sam język tych listów. – Chciałam się przyjrzeć temu, jak się ludzie komunikują w sytuacjach granicznych. Jak mówią o cierpieniu, bólu, miłości. Szybko się zorientowałam, że to nie materiał badawczy, tylko świadectwo ogromu ludzkiego cierpienia. Pamiętam ten moment. Przyniosłam te listy z prokuratury do domu, położyłam je na łóżku, zaczęłam czytać i pomyślałam: Halszka, co ty właściwie robisz? Czy masz w ogóle prawo zaglądać do tak intymnych historii? Ale zaraz przyszła kolejna myśl, że trzeba dać tym ludziom głos, że ktoś musi zacząć o tym bólu mówić.

Jak chciałaby pani, żeby się zmienił sposób rozmawiania o samobójstwie w Polsce? – Chciałabym, żebyśmy się nie straszili tym tematem. Nie powtarzali sloganów o „epidemii samobójstw”. Nie używali tego sensacyjno-prerażającego tonu, tylko patrzyli na to zjawisko właśnie z perspektywy życia. Myśleli o tym, ile osób jeszcze możemy uratować. Bo ja po to się głównie tym zajmuję, żeby tych samobójstw było mniej. I kiedy w tym roku ogłaszaliśmy statystyki za 2024 rok, najniższe od 10 lat, to zapaliło się we mnie światełko nadziei. A jeśliby mnie ktoś spytał, jakie jest moje największe marzenie, to oprócz tego, że chciałabym, aby samobójstw było jak najmniej, chciałabym też, by każdą osobę, która ma myśli samobójcze, ktoś przytulił i zapewnił ją, że jest potrzebna i kochana. Chciałabym żyć w takim świecie, w którym drugi człowiek potrafi utulić taki ból. ●



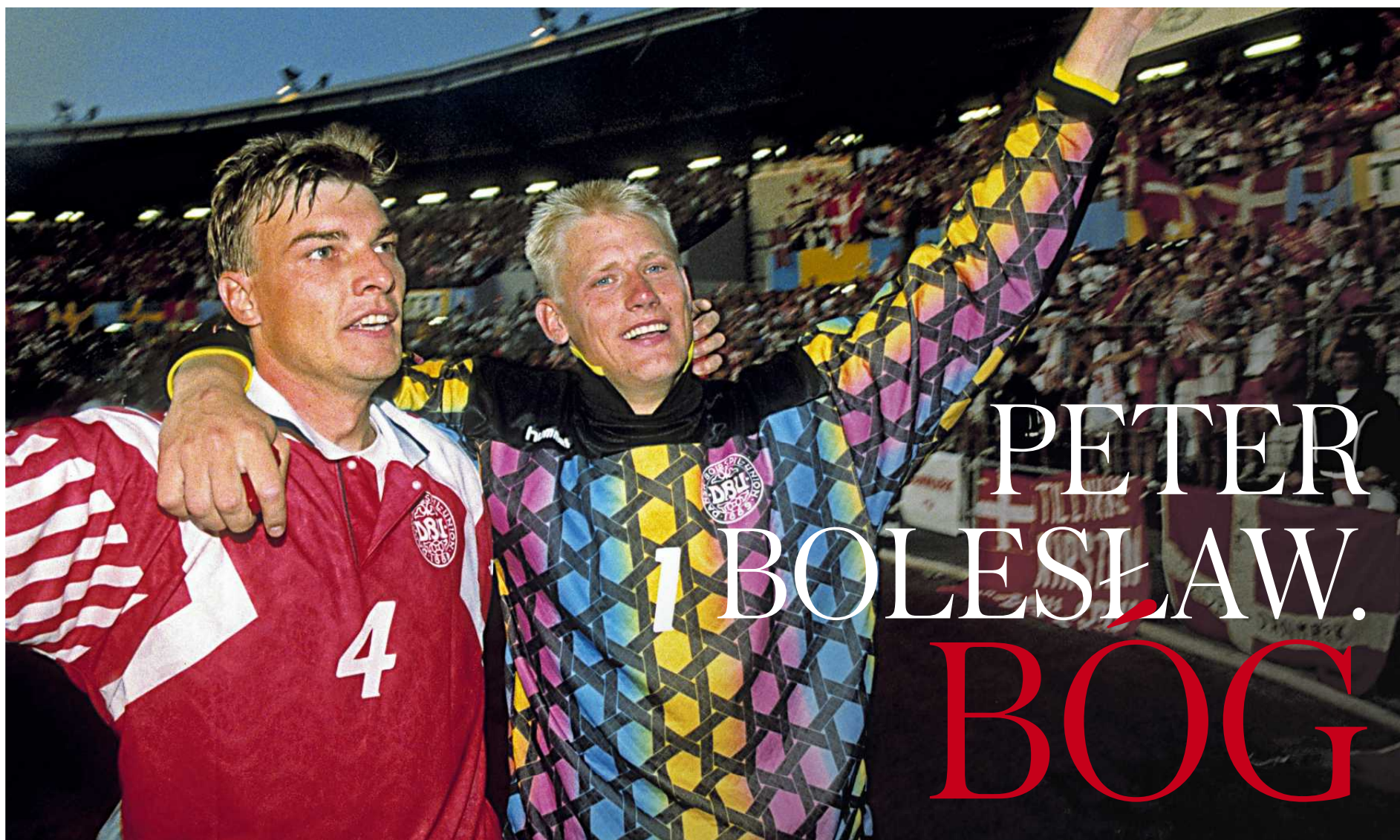
*Halszka Witkowska

• suicydolog, ekspertka Biura ds. Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie, konsultantka kryzysowa, pomysłodawczyni i koordynatorka serwisu edukacyjno-pomocowego dla osób w kryzysie i ich bliskich Życie Warte Jest Rozmowy (www.zwj.r.pl), współautorka (z Moniką Tadrą) książki pt. „Niewysłuchani. O śmierci samobójczej i tych, którzy pozostali”



Jeśli jesteś osobą w kryzysie samobójczym albo bliskim takiej osoby, tu znajdziesz pomoc:

- Numer alarmowy w sytuacji zagrożenia życia lub zdrowia 112
- Centrum Wsparcia dla Osób Dorosłych w Kryzysie Psychicznym 800 702 222
- Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży 116 111
- Ogólnopolski telefon dla ofiar przemocy w rodzinie Niebieska Linia 800 120 002
- Więcej informacji znajdziesz w Strefie Pomocy na platformie Życie Warte Jest Rozmowy (www.zwj.r.pl) – dostępne są tam również bezpłatne konsultacje dla osób w żałobie po śmierci samobójczej



Dziadek zginął w '39 od niemieckiej bomby, babkę zamordowali Sowieci, ojciec wyjechał z Polski na Zachód dopiero po zawarciu umowy z komunistycznym wywiadem. Scenariusz filmowy? Nie, historie rodzinne jednego z najlepszych bramkarzy w historii futbolu.

Andrzej Kulasek

„W Danii jest jeden bóg. Jest nim Peter”.

Patrzę na 61-latkę. Może faktycznie? Nie wygląda na swój wiek, rzeczywiście prezentuje się jak młody bóg. Wysoki, szczupły, swobodny. OK, gra na własnym boisku, bo jesteśmy w Kopenhadze, za chwilę uroczysta premiera poświęconego mu dokumentu, w którym to właśnie padają słowa o boskości. Ale Peter Bolesław Schmeichel, jeden z najsławniejszych bramkarzy na świecie, chyba zawsze czuł się jak u siebie.

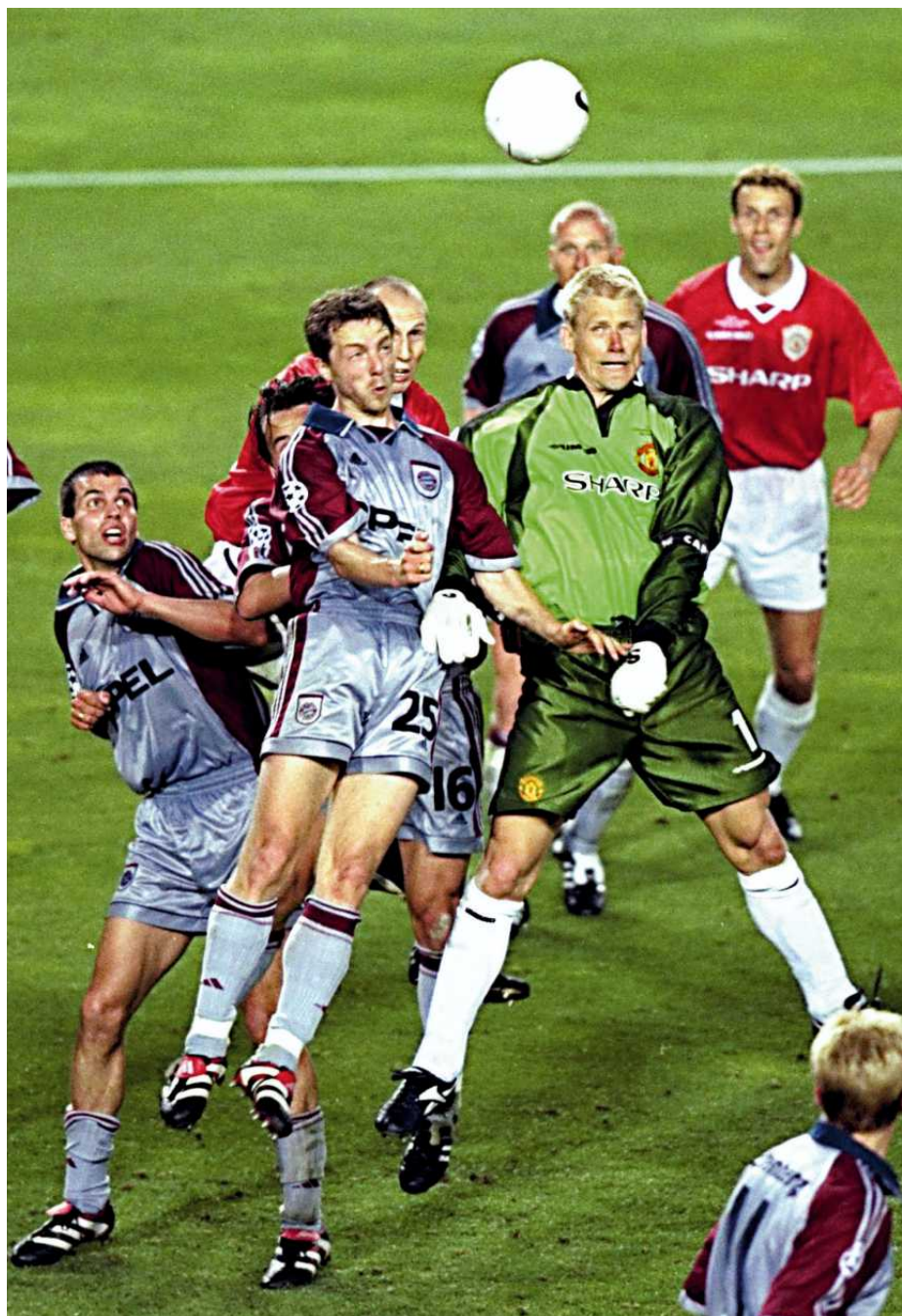
– Żałujesz czegoś w karierze?

– pytam. – Nie. – A w życiu?

– To byłoby bezcelowe, bo i tak tego nie zmienisz, a tylko cię to dobije. Możesz co najwyżej wyciągnąć z tego wnioski i kiedy potem znajdziesz się w podobnej sytuacji, zareagujesz inaczej.

Ojciec. Demony przeszłości

„W domu wpajano mi, że trzeba być najlepszym. Ojciec zawsze tak powtarzał, ale myślałem, że w ten sposób chciał się chronić. Stracił swojego ojca pierwszego dnia II wojny



• **Zdj. u góry: To była jedna z największych sensacji w historii futbolu: Dania Mistrzem Europy 1992! Finałowy triumf nad Niemcami świętują kapitan reprezentacji Lars Olsen (z lewej) oraz jej największy bohater, Peter Schmeichel**

• **Zdj. poniżej: 26 maja 1999 r., Camp Nou w Barcelonie. Piłkarze Bayernu Monachium w myślach już odbierali puchar za wygranie Ligi Mistrzów. Peter Schmeichel i drużyna Manchesteru United nie poddali się do końca. I wygrali 2:1**

światowej. A po jej zakończeniu matkę. Zabrano ją na oczach czwórki dzieci, już nigdy jej nie zobaczył” – tak Peter zaczyna swoją opowieść w filmie „Schmeichel”.

Ojciec, czyli Antoni Aleksander Schmeichel, dla przyjaciół „Tolek”. Polak urodzony w 1933 r. na terenach dzisiejszego województwa kujawsko-pomorskiego. Jak opowiadał w rozmowie z „Dziennikiem Bałtyckim”, jego tata, a dziadek Petera, zginął w 1939 r. w Toruniu. Był żołnierzem, a bomba zrzucona z niemieckiego samolotu trafiła w koszarę, w których stacjonował. „Mama była członkinią konspiracyjnej organizacji wojskowej »Miecz i Pług«, działała w Armii Krajowej. W 1945 roku zabili ją Sowieci” – wspominał „Tolek”.

Peter opowiada, że ojciec miał w sobie dużo żalu i smutku, a on sam potrzebował czasu, by to zrozumieć. Zresztą Antoni nigdy nie wspominał o Polsce. Demony przeszłości nie opuszczały go przez większość życia. Dlatego był impulsywny, łatwo wpadał w gniew, dużo krzyczał. Młodsza siostra piłkarza Margrethe wspomina, że gdy sama miała dzieci, wciąż powtarzała sobie, by na nie nie krzyczeć. Bo tak nie wolno.

Schmeichel – podwójny agent

Rodzice poznali się w Sopocie latem 1959 r. Matka Inger była pielęgniarką, pływała na transatlantykach, także na „Batorym”. Kiedy statek zawinął do Polski, wybrała się do Sceny Kameralnej Teatru Wybrzeże na sztukę „Smak miodu” w reż. Konrada Swinarskiego. Biletów w kasie już nie było, ale przed wejściem stał chłopak z plikiem wejściówek. Czekal na przyjaciół. Podeszła, zapytała, czy nie odstąpi jej jednej.

Akcja „Smaku miodu” dzieje się w Salford w hrabstwie Wielki Manchester, a główny bohater ma na imię Peter. Jakże proroczo, nieprawdaż?

Ale najpierw trzeba było szczęściu trochę dopomóc. Inger i Antoni pobrali się w Polsce na początku 1961 r. Potem ona wróciła do Danii, mówiąc na odchodnym: „Znajdź sposób, żeby do mnie przyjechać”.

Łatwo powiedzieć. Komunistyczne władze nie wypuściły goniącego małżonkę muzyka jazzowego. Wyjechać mógł, ale pod warunkiem, że zgodzi się na współpracę z polskim wywiadem. „Tolek” niczego podpisywać nie chciał, ale okazało się, że to je-

dyna droga. Ustąpił, ale jak tylko dotarł do Danii, to zdekonspirował się przed zachodnimi władzami i dostał kolejną ofertę – by pracował jako podwójny agent.

„Najpierw przesłuchiwali go więc w polskiej ambasadzie, potem przepytывali Duńczy” – opowiada Peter w dokumencie, choć Antoni Schmeichel zaznaczał, że oferty Duńczyków nigdy nie przyjął.

„Chciał żyć normalnie. Ludzie, którzy próbują ułożyć sobie życie mimo przeciwności, bardzo mi imponują. On jest tego doskonałym przykładem. Przez lata nosił w sobie ogromny gniew, ale rozumiem, dlaczego się tak zachowywał” – mówi Peter.

Nie zrozumiał ani nie usprawiedliwił tylko jednego: alkoholizmu ojca. Dlatego, kiedy po odejściu z Manchesteru United przeniósł się do Lizbony, by grać w Sportingu, zerwał z Antonim kontakty. Do Portugalii wyjechała też mama, ale „Tolek” ich odnalazł. Pewnego razu stanął przed ich drzwiami. Pijany. Peter zaświcił mu w oczy latarką i zapytał, czego chce. „Zobaczyć rodzinę”. „Nie chcemy cię tu. Odejdź”.

Ojciec wrócił do Kopenhagi i od tego czasu, przez 20 lat, nie tknął alkoholu. Ale latarki długo nie mógł synowi zapomnieć.

Jak daleko jest Polska?

– Potrafisz przeliterować Wąbrzeźno? Tam urodził się twój ojciec.

– Jak? Rety, polski jest taki trudny... Ta wymowa... Długo nie potrafiłem nawet poprawnie wypowiedzieć swojego drugiego imienia.

Z tego, że urodził się Polakiem, zdał sobie sprawę dopiero po śmierci ojca (zmarł w maju 2019 r.), kiedy załatwiał pogrzebowe formalności. Do 6. roku życia miał polskie obywatelstwo i dopiero wtedy dostał duńskie.

– Nigdy nie myślałeś, by ponownie wystąpić o polski paszport? – pytam.

– Cóż, myślę, że mógłbym, choć tak naprawdę nie ma powodu. Dania jest w Unii Europejskiej, Polska też, możemy swobodnie podróżować, jesteśmy tacy sami. A ja serio nie miałem pojęcia, że urodziłem się jako polski obywatel, moje siostry też. Ojciec nigdy nam tego nie powiedział.

Z Polską nie ma jednak żadnego związku. Nie zna rodziny z Polski, a ci, których poznał, już nie żyją. Po polsku umie powiedzieć kilka słów. Nie ma wśród nich Wąbrzeźna, na zdanie: „W Szczebreszynie chrząszcz brzmi w trzcinie” robi wielkie oczy i tylko kręci głową. Kłopoty są też przy „Wojciechu Szczęsnym”.

– Jak to się mówi? – Szczęsny. - Nieee, nie ma szans... My nazywamy go Czesny.

Szczęsny-Czesny to dla Schmeichela obecnie najlepszy polski bramkarz, ale za najlepszego, którego widział w akcji, uważa Jana Tomaszewskiego. I wspomina mecz Polski z Anglią na Wembley w 1973 r., który dał nam awans na mistrzostwa świata. Oglądał to spotkanie w duńskiej telewizji. „Niesamowity występ!”.

Bramkarz – sportowiec indywidualny

Przez ojcowskie wybuchy gniewu małego Petera często nie było w domu. I tu paradoks: „Tolkowi” marzyła się dla syna kariera muzyka, ale niejako sam pchnął go w inną stronę. „Grał bardzo dobrze, mógł zostać jednym z najlepszych pianistów w Danii. Ale dla niego liczyła się tylko piłka nożna” – mówi Antoni w jednej z archiwalnych wypowiedzi w dokumencie.

Peter od zawsze był roslým dzieckiem (ostatecznie urosł do 193 cm) i stąd kłopoty z koordynacją. Jeden z pierwszych trenerów poradził mu, by spróbował sił na bramce. „Gra na bramce to jest oddzielny sport. Sport indywidualny: mamy inne stroje, innych trenerów niż reszta piłkarzy. To wreszcie my ponosimy ostateczną odpowiedzialność” – opowiada przed kamerą Kasper Schmeichel, syn Petera, również golkipier.

Jego ojciec szybko doszedł do wniosku, że stojąc między słupkami, nie ma się kontroli, można tylko zareagować na to, co zro-



PO: MICHAEL REGAN - PHOTOFEST/GETTY IMAGES

• **Peter i jego syn Kasper, też świetny bramkarz, obecnie w klubie Celtic Glasgow. Ale w 2016 r. grał w Leicester City i wywalczył z nim mistrzostwo Anglii. „Wtedy po raz pierwszy się wzruszyłem” – mówi o sukcesie syna Schmeichel ojciec**

bi strzelec. Dlatego uznał, że zmieni reguły. Że to on przez agresywną grę, pewność siebie zmusi napastnika sunącego na jego bramkę, by się zastanawiał, co robi bramkarz. Że zacznie się bać.

Dlatego grał tak agresywnie, tak siłowo. Miał niesamowite warunki fizyczne, ale umiał z nich robić użytek. Gdy wychodził do piłki, „obrońcy schylali głowy. Wiedzieli, że on się nie zatrzyma” – opowiada sir Alex Ferguson, legendarny menedżer Manchesteru United.

Potem, po lekcji, jakiej udzielił mu znany boiskowy prowokator John Fashanu z Wimbledonu, dorzucił do swego repertuaru zagrań arogancję: będzie rywali dekoncentrował, denerwował, prowokował, wybił z rytmu.

Glory, glory, Man United!

Schmeichel trafił do Manchesteru United późno, w wieku 27 lat (Anglicy zapłacili Broendby Kopenhaga trochę ponad pół miliona funtów), ale na MU był skazany. Już jako kilkulatek marzył o koszulce Czerwonych Diabłów. „On ma 27 lat? Gdzie się podziewał?” – dziwił się Alex Ferguson.

Do legendarnego klubu wszedł w swoim stylu, z drzwiami – choć jego siostra uważa, że tak naprawdę jest nieśmiały, co maskuje właśnie arogancją. Na pierwszym treningu Brian Kidd, jeden z asystentów Fergusona, zarządził piłkarzom z pola grę w dziadka, a Schmeichelowi inne zajęcie. „Nie, ja gram w dziadka jak reszta” – rzucił Duńczyk.

W pierwszych czterech meczach w lidze nie puścił gola. „Nigdy nie widziałem, żeby bramkarz grał w ten sposób. Robił rzeczy, których w angielskiej lidze nikt nie widział. Na przykład rzucał piłkę na 70 metrów. W tamtym czasie to była rewolucja” – opowiadał Gary Neville.

Zdaniem sir Alexa po transferze Schmeichela United miało zespół kompletny, ale mimo to tytuł zdobyło Leeds. Do kolejnego sezonu najlepsze angielskie kluby przystąpiły już w zreformowanej lidze, tworze zwanym Premier League (dotychczasowe określenie angielskiej ekstraklasy First Division przeszło na de facto drugą ligę), ale MU zaczęło sezon słabo. Dopiero przyjsie na Old Trafford Erica Cantony, który wcześniej pomógł Leeds wywalczyć mistrzostwo, odmieniło ekipę.

Co zaszło w tunelu na Maine Road?

Ale symbolem tamtego United, które w 1999 r. sięgnęło po potrójną koronę po pamiętnym finale Ligi Mistrzów z Bayernem Monachium – Czerwone Diabły strzeliły dwa gole już w doliczonym czasie gry, triumfując 2:1 – był Schmeichel. I Ferguson rzecz jasna. Duet arcsylnych osobowości. Duet idealny.

„Krzyczał i wrzeszczał. Ciekawy gość” – wspomina Ferguson trening Broendby, który obserwował.

„Kiedy wybuchał, można było się z nim pokłócić. On czekał na twoją reakcję i był zawiedziony, jeśli żadnej nie otrzymał. To

był dla niego znak, że ci nie zależy” – opowiada duński bramkarz.

W styczniu 1994 r. Manchester grał na Anfield Road z Liverpoolem. Prowadził 3:0, ale potem dał sobie wbić trzy gole i skończyło się remisem. Ferguson obwiniał o niepowodzenie swego golkipera. Rozgorzała kłótnia, o której Cantona – sam bynajmniej nie aniołek! – przed kamerą mówić nie chciał, a którą Gary Neville komentuje tak: „Pomyślałem: Co to kurwa jest?! Byłem pewny, że się pobiją. Byli jak szaleńcy”.

Schmeichel nie gryzł się w język, dostało się wszystkim, także kolegom. Ferguson był wściekły. „Wiesz, że muszę cię wyrzucić z klubu?” – powiedział. „OK, zrób to”.

Schmeichel przeprosił potem drużynę, menedżer mu odpuszcł. Neville po latach mówi, że te wypowiedziane przed Duńczyka słowa brzmiały jak zdrada. Potem znów będzie mówił o zdradzie, kiedy Schmeichel wróci do ligi angielskiej i podpisze kontrakt z Manchesterem City. W słynnej scenie przed derbowym meczem w tunelu stadionu Maine Road nie chciał uścisnąć ręki Schmeichela. I w dokumencie powtarza, że nie może zrozumieć tej decyzji.

– To był najtrudniejszy moment w twojej karierze? Ten incydent z tunelu? – pytam Schmeichela.

– Nie, zresztą, coś ci powiem. Każdy myśli, że chciałem podać mu rękę, a obejrzyj ten filmik jeszcze raz, dokładniej. On stał po złej stronie, a ja tylko chciałem zwrócić mu na to uwagę. Najtrudniejszy moment to ten z 1991 r., kiedy z Broendby graliśmy w półfinale Pucharu UEFA. W rewanżu remisowaliśmy z Romą na wyjeździe 1:1 i to dawało nam awans do finału. I wtedy, tuż przed końcem meczu, Rudi Voeller strzelił gola. Do dziś to we mnie siedzi... To byłoby wielkie osiągnięcie dla całej Danii, gdyby nasz klub wszedł do finału! Na szczęście miałem w karierze więcej tych dobrych momentów – opowiada.

Po latach przyznaje, że opuszczenie MU było błędem. Zostawił Old Trafford, bo czuł się wypalony. Ostatni mecz w barwach Diabłów rozegrał właśnie przeciwko Bayernowi. „Czemu nie poszedłem do trenera i nie powiedziałem, że wciąż mogę tu robić dobrą robotę?” – zastanawia się teraz. Tłumaczy, że bał się, że Ferguson weźmie to za słabość, że go odrzuci, bo przecież zawsze chciał mieć w drużynie twardych gości.

Hotelowi goście

„Szczere? Pomyślałem, że to okropny pomysł”. Tak Schmeichel komentuje pamiętną sytuację po ogłoszeniu, że w turnieju Euro '92 Dania zajmie miejsce Jugosławii. To Jugosłowianie wywalczyli awans do szwedzkiego turnieju, ale potem w kraju wybuchła wojna domowa. „Wykopali ich z hotelu, zajęliśmy ich pokoje” – wspomina.

Ale mówi też o zobowiązaniu, które podjęli wspólnie z kolegami z reprezentacji. Są tu w zastępstwie, ale grają nie tylko dla siebie, ale i dla przeżywających dramat

Jugosłowian. Czy raczej Chorwatów, Serbów, Słoweńców i Bośniaków.

Zaczął się od remisu z Anglią, potem była porażka z gospodarzami, ale Dania nie wyglądała wcale jak drużyna ściągnięta awaryjnie z wakacji. W decydującym o awansie z grupy meczu podopieczni Richarda Mollera Nielsena pokonali faworyzowaną Francję (z Cantoną!) 2:1. „Przed meczem Francuzi mówili: »Tylko nie faulujcie, bo potem gramy z Holandią«. Czulem, że nie możemy dać im wygrać!” – wspomina Schmeichel.

Nie dali. Nie dali też wygrać Holendrom w półfinale i Niemcom w finale. Mimo iż po półfinałowym triumfie nad Holendrami ekipa świętowała do 5 rano przy piwie i fortopianie, na którym oczywiście grał Schmeichel. Do łóżek zagonił ich dopiero trener, który zszedł na śniadanie.

Czterech Niemców i trzech Holendrów znalazło się potem w najlepszej jedenastce turnieju. W bramce miejsce zarezerwowane było dla Schmeichela. A jak nazywa się jego pies? Cruyff. Skąd go wziął? Z Niemiec. „Niemcy i Holandia piłkarsko się nienawidzą” – natrząsa się.

Jaki ojciec, taki syn

„Nie mogliśmy widzieć jego słabości. Potrafił wpaść w gniew, ale nie okazywał uczuć ani emocji. Gdy tata przegrał mecz, nikt nie chciał z nim wracać jednym samochodem. Pamiętam, jak wracaliśmy po przegranym meczu razem. Nie było przyjemnie. Dzięki-waliśmy Bogu, że żyjemy” – wspomina Cecile Schmeichel, córka piłkarza.

Laura van Lindholm, jego druga żona, przyznaje, że wpływ na to, jaki jest Peter, miał jego ojciec, który nie był ani miły, ani troskliwy i rzadko okazywał emocje. Schmeichel miał niespełna 23 lata, kiedy urodził się jego syn Kasper. „Cieszyłem się, ale nigdy nie czulem, że to zmieni mój sposób myślenia” – opowiada. I przyznaje, że jego myśli były gdzie indziej i że to odbijało się na jego życiu rodzinnym.

„Rozumiem to zachowanie, bo uprawiam ten sam zawód. Piłka nożna nie zawsze sprzyja byciu dobrym dla innych ludzi. Ojciec był dość bezkompromisowy i krytyczny” – mówi Kasper Schmeichel. Ale dodaje, że wciąż słyszał od taty, że nie musi niczego udowadniać, bo jest więcej niż wystarczająco dobry. A dla innych? Nigdy taki nie będzie i tak. Tak jakby Peter chciał oszczędzić synowi mantry, którą sam słyszał w domu, że trzeba być najlepszym. I dlatego on zawsze chciał pokazać, że potrafi wszystko najlepiej.

– W 2001 r. Reuters zorganizował sondę dla kibiców, którzy wybierali najlepszego bramkarza w historii piłki nożnej. I wybrali ciebie. Teraz mamy 2025 r. i kogo byś wybrał? Możesz oczywiście siebie – podsuwam. – Wybieram Kasptra Schmeichela – odpowiada bez zastanowienia.

Jego syn w 2016 r. wywalczył z Leicester sensacyjne mistrzostwo Anglii. „Wtedy byłem najbardziej dumny i wtedy po raz pierwszy w życiu się wzruszyłem”.

Może nie trzeba być najlepszym? Tylko jak inaczej dostać się do Manchesteru United? ●

Peter Bolesław Schmeichel

• ur. 18 listopada 1963 roku w Gladsaxe) – bramkarz reprezentacji Danii, w barwach której rozegrał 129 meczów i zdobył mistrzostwo Europy w 1992 roku. Występował m.in. w: Broendby Kopenhaga, Manchesterze United, Sportingu, Aston Villi i Manchesterze City. Z MU pięciokrotnie sięgał po mistrzostwo Anglii, trzykrotnie po Puchar Anglii, wygrał też Ligę Mistrzów. Był również mistrzem Danii i Portugalii. Międzynarodowa Federacja Historyków i Statystyków Futbolu (IFFHS) dwukrotnie wybrała go na najlepszego bramkarza roku na świecie.

• **Dwuczęściowy dokument „Schmeichel” do obejrzenia w serwisie SkyShowtime**



Idziesz, pijesz, jesz, srasz i mimo prostoty tych czynności jesteś szczęśliwy. Tak jest ze mną na pustyniach...

Z PODRÓŻNIKIEM **MATEUSZEM WALIGÓRĄ***
ROZMAWIA RADOŚLAW LENIARSKI

Przypominasz mi Forresta Gump. Nadmiarowość i intensywność świata, przeżycia, które się odkładają kolejnymi ciężkimi warstwami, jego pchnęły do biegu.

Ty idziesz na pustynię Gobi.

– „Kiedy chciało mi się pić, to piłem. Kiedy chciało mi się jeść, to jadłem, a kiedy chciało mi się... no wiesz, to szedłem”. Znam na pamięć każdy fragment tego filmu. Na wyprawach wszystko wokół mnie nazywa się Aga, tak jak u Forresta Gumpa każda łódź miała na imię „Jenny”.

Tak jest ze mną na pustyniach. Idziesz, pijesz, jesz, srasz i mimo prostoty tych wszystkich czynności jesteś szczęśliwy.

Świat współczesny coraz bardziej drastycznie odcina nas od świata natury. Grenlandia wprowadziła gigantyczne opłaty za prawo do wyprawy. Stać na to tylko krezusów, o samotnej nie ma nawet mowy. Katastrofa klimatyczna powoduje, że kurczy się pokrywa lodowa Arktyki, a na dodatek logistyką zajmują się tam Rosjanie. Wolę nie zrealizować mojego wielkiego marzenia o dojeździe do bieguna północnego, niż zrobić to z Rosjanami.

Frustruje mnie to. Jeśli zasobność portfela ma decydować o zgodzie na przejście Grenlandii, pierdolę to. Mam gdzieś takie wyprawy. Przestaje mnie to bawić.

Moje plany były mocno związane z Arktyką. Teraz coraz częściej spoglądam ku oceanom jako ostatnim polom wolności.

Tylko że nie umiem pływać. I nie mam prawa jazdy.

Rozwiązałeś problem jedynej książki na bezludnej wyspie?

– Już dawno. Zabieram jedną papierową książkę.

Pierwszy raz wziąłem ją ze sobą w 2014 roku, kiedy jechałem po raz drugi na australijską pustynię, na Canning Stock Route – wtedy już sam, bo mieliśmy z żoną małego synka. Spojrzałem wtedy na półkę, a tam mała i lekka książeczka. Ewangelia Świętego Łukasza. I na pustyni wydarzył się prawdziwy cud.

Do cudu wystarczyła lektura jednej ewangelii?

– Moje świadectwo o wierze będzie bardzo gówniane, to muszę przyznać.

Wyobraź sobie: jestem w środku małej pustyni piaszczystej. Codziennie rano sobie czytam jakiś fragment. Nie zacytuję dosłownie, ale tego dnia chodziło o to, żebyśmy nie przejmowali się doczesnymi troskami. Bóg wie, co jest nam potrzebne i da nam to. Pomyślałem: dobra dobra, akurat. Kończy mi się papier toaletowy, weź Panie Boże i z tym coś zrób, i to szyb-

ko. Kilka minut później na środku ścieżki, pośrodku pustyni w Australii Zachodniej, leży biała rolka papieru toaletowego.

Ewangelia była ze mną na Grenlandii, na Antarktydzie, w Boliwii, na Evereście. Czytam ją za każdym razem od deski do deski, ale wciąż mam wrażenie, że nadal nie rozumiem wszystkiego. Na pustyni to ma na mnie tak ogromny wpływ, że już sobie nie wyobrażam, żebym jej nie miał przy sobie.

Wierzysz?

– Jestem człowiekiem wierzącym, ale i zarazem wątpiącym, o ile można tak powiedzieć. Może lepiej: praktykującym i wątpiącym. Innymi słowy, cały czas szukam odpowiedzi w oparciu o wiarę. Wierzę w Boga, a coraz mniej w Kościół. Na pustyni, na Antarktydzie, na Grenlandii doświadczam obecności Boga namacalnie, w kościele nie.

Mama zawsze mnie strofowała, że nie zdjąłem czapki w kościele. Potem pojechałem do Ameryki Południowej, w Andy, gdzie sposób celebracji mszy jest taki, że ludzie przychodzą do kościoła ubrani od stóp do głów, rzecz jasna w czapkach. I nikt im nie mówi, że mają je ściągać.

Jestem przekonany, że mój Bóg jest tak samo w kościele, jak na pustyni Gobi czy w namiocie, który rozbijam na Antarkty-

dzie. Czapka sama spada z głowy na widok natury, jaką tam znajduję. I z szacunku przed naturą.

Możesz policzyć swoje wyprawy?

– Ja wymieniam tylko te ważne dla mnie, ty liczysz.

Kuba na rowerze. Ameryka Południowa i Australia na rowerze, dwa lata w drodze. Później pierwsza próba Canning Stock Route, nieudana. Druga próba na Canning Stock Route – udana. Reporterskie wyprawy do Indii i do Peru. Potem przeszedłem pustynię Gobi i pustynię solną Salar w Boliwii. Trawers Grenlandii na nartach i ostatnio Everest.

Były jeszcze wyprawy przez Polskę, które też są dla mnie bardzo ważne. A do tego mnóstwo wypraw, w których prowadziłem ludzi w różnych miejscach świata, na przykład sześć razy na Kilimandżaro.

Pierwsza z nich?

– Po napisaniu matury. Jeszcze nie miałem wyników egzaminów, gdy pojechałem stopem do Watykanu przez Chorwację. Miałem 18 lat.

W kolejnym roku pojechałem stopem do Maroka. Potem poznałem moją żonę Agę i dzięki niej odkryłem rower.

To znaczy odkryłem powtórnie, bo miałem już rower. Mój pierwszy, komunijny, to był jubilat.

Składak!

– Wszyscy wokół mieli wtedy chińskie górale. A mi rodzice powiedzieli: żadnych chińskich górien, kupimy porządny polski rower. Jubilata. Był czerwony, stalowy, składany i ciężki jak wagon.

Ale za to z większymi kołami niż sokoły lub wigry.

– Mimo to na tym rowerze na wycieczkach szkolnych ledwo się trzymałem grupy, bo wszyscy uczestnicy mieli górale.

Później rodzice postanowili naprawić swój błąd i jednak kupić rower górski – na Dzień Dziecka dla mnie i dla siostry. Siostra była starsza, to ona wybierała kolor. Świński róż. Znowu się wstydzilem i znowu jechałem z tyłu na rowerowych wycieczkach.

Z rowerami nigdy nie było mi po drodze, aż do czasu, kiedy poznałem moją żonę, która miała damkę, meridę mtb.

Aga jest ode mnie o pięć lat starsza. Zanim mnie poznała, miała już za sobą podróż do Tybetu i rowerową wyprawę przez Skandynawię, przejechała całą trasę Koleją Transsyberyjską, Bajkał, Karpaty ukraińskie, rumuńskie. Miała więcej doświadczenia życiowego, a także podróżniczego, przynajmniej na tamtym etapie życia. Pierwszy raz w życiu leciałem samolotem z nią. Miałem 20 lat.

Dzięki Adze zrozumiałem, że na rowerze można nie tylko jechać do spożywczaka i wokół bloku, ale też w dowolne miejsce na świecie, w dodatku bezpiecznie. Otworzyła mi oczy. Pojechaliliśmy w pierwszą wspólną podróż przez Kubę. I to było coś! Kuba nie jest łatwym kierunkiem niezależnego podróżowania, a jeszcze na rowerach, bez znajomości hiszpańskiego...

A jednak wszystko się udało i byliśmy z tego dumni. Wiedzieliśmy, że razem pojedziemy w kolejną podróż.

Jako młody człowiek bardzo chciałem wyruszyć w podróż dookoła świata, zobaczyć świat, a nie tylko czytać o nim czy oglądać zdjęcia w „National Geographic”. Rower zmienił sposób patrzenia na podróż. Jak masz rower, to masz wolność. Wolność jest w tych podróżach najważniejsza. Decyduję, gdzie się zatrzymuję, dokąd jadę i kiedy. Dzięki rowerowi nie odgradzam się od ludzi, od pogody. W dodatku lubię się zmęczyć. Rower jest idealny.

Może się zepsuć.

– Na początku nie miałem zielonego pojęcia o rowerach. Myślałem, że można zamienić koło przednie na tylne, jeśli złapie się gumę. No i dojechałem na lotnisko w Hawanie z wielkim jajem zamiast koła. Ale złapałem bakcyła, a jak go łapię, to na 120 procent. Jeszcze studiując, zatrudniłem się w sklepie rowerowym, żeby się nauczyć wszystkiego o rowerach. Nasze rowery na wyprawę do Ameryki Południowej złożyłem sam, od podstaw, od najmniejszej śrubki. To było bardzo ważne, bo miała to być podróż dookoła świata. Po roku wjechaliśmy w Andy. Spędziliśmy dwa lata w Ameryce Południowej.

Gdy byliśmy w Kolumbii, złożyliśmy wniosek o grant do amerykańskiej firmy Polartec, tej od tkanin polarowych. Słynne w środowisku podróżniczym, prestiżowe stypendia Polartec Challenge są corocznie przyznawane na zwariowane pomysły eksploatacji świata. Na przykład ludzie, którzy zrobili film dokumentalny „Free Solo” o wspinaczu Alexie Honnoldzie i dostali za to Oscara, pieniądze mieli z Polartec Challenge. Nie wierzyliśmy w sukces, ale dostaliśmy ten grant. Pomysł: przejechać na rowerze najtrudniejszą drogą wytyczoną przez człowieka, Canning Stock Route w Australii Zachodniej, prowadzącą przez cztery pustynie. Pierwsza wyprawa nie



▲ **Mateusz Waligóra (38 l.) wędruje w najbardziej odludne miejsca na Ziemi. W ub. roku jako pierwszy zdobył Mount Everest z poziomu morza: rowerem z Indii do Nepalu, pieszo do bazy pod Everestem i stamtąd na szczyt**

◀ **W 2014 r. pokonał Canning Stock Route w Australii – nazywaną najtrudniejszą drogą świata**

▼ **W 2018 r. pierwszy raz przemierzył pustynię Gobi. Latem w ciągu 58 dni przeszedł 1785 km.**

FOT. ASEKOL GOBI WINTER EXPEDITION2 (3)

zakończyła się powodzeniem, bo na wielkiej pustyni złapała nas powódź, czyli największe zagrożenie dla człowieka w australijskim buszu – tuż obok pożaru.

Dlaczego już tylko ty podróżujesz, a ona nie?

– Zawarliśmy niepisaną umowę, że dopóki dzieci są małe, nie pojedziemy razem na żadną ryzykowną wyprawę.

Żona pojechała na jakąś?

– Nie, ale ma ode mnie zielone światło. Jeszcze z niego nie skorzystała. Ciśnię ją niesamowicie, wydaje mi się, że już niebawem to może nastąpić. Mamy dwóch synów, osiem i dziesięć lat. Gdy byli mali, jeden miał roczek, drugi trzy, przejechaliliśmy Polskę od Śnieżki do morza. 50 dni. Zmęczyliśmy się potwornie. I pewnie dlatego już tego więcej nie próbowaliśmy.

Dlaczego nie jesteście w stanie usiedzieć na miejscu? I gdybyś odpowiadając mógł nie używać słowa „pasja”, bo jest ono cholernie nadużywane i stało się wytarte.

– Poświęciłem podróżom całe swoje życie. Decyzje o przyszłym podróżowaniu podejmowałem w czasie, kiedy dzieciaki się zastanawiają, co chcą robić w życiu, na jakie studia iść. Zastanawiałem się, które studia pomogą mi podróżować. Poszedłem na turystykę i rekre-

ację, a potem dołożyłem dziennikarstwo, żeby pisać o tym, co zobaczę. Wydawało się to świetnym pomysłem na życie. Udało się, chociaż uważam, że mogło się też udać bez studiowania turystyki i dziennikarstwa.

Żonę poznałem na kursie przewodników górskich, a gdyby Aga nie była taka, jaka jest, pewnie nie byłibyśmy razem.

Jak wyruszyłeś? Jaki był początek?

– Do pierwszych wypraw pchnęła mnie ciekawość i wyobraźnia. Gdybyś zapytał mnie o moją najważniejszą zaletę, powiedziałbym, że właśnie wyobraźnia. Bo ja mam umiejętność przemieszczania się w czasie i przestrzeni bez ruszania się z miejsca. To brzmi jak herezje Beaty Pawlikowskiej, a jednak dążyłem do takiego stanu. Osiągnąłem go na pustyniach.

Są zawsze dwie komplementarne podróże. Jedną jest podróż ciała. Bardzo wymierna, można ją łatwo opisać liczbami, np. Mateusz Waligóra w 2018 roku przeszedł pustynię Gobi, schudł 24 kilogramy i przeszedł 1785 kilometrów. Super, mamy podróż opisaną.

To, co się działo w tym czasie w mojej głowie, jest o wiele trudniejsze do opisania. Nazywam to podróżą w piątą stronę świata. Mogę iść przez pustynię, a znajdować się w dowolnym miejscu i czasie. Analizuję różne

wydarzenia z mojego życia. Na pustyni nie ma nic, co mnie rozprasza. Nie ma żadnych reklam, nie ma radia, bo jestem w bardzo ograniczonym kontakcie ze światem. Zawsze czułem się dobrze we własnym towarzystwie. Dla innych pytania o samotność mogą być trudne. Dla mnie nie są. Czułem się samotny jako młody chłopak w klasie. Na studiach też. Ciężko się odnajduję w towarzystwie ludzi. Jestem introwertkiem.

Dziś trudno być samotnym. Czy motywacją do podróżowania jest dla ciebie chęć oderwania się od presji, chęć poczucia się dobrze we własnej samotności?

– Wyruszenie na pustynię jest wyłączeniem wszystkiego, o czym mówisz. Nie potrafię tego zrobić na co dzień, gdy jestem w Polsce. Mam telefon, więc mam świat w kieszeni, w teorii. Na pustyni tego nie ma. Na pustyni musisz tylko pić, jeść i iść, żeby dojść do kolejnego miejsca z wodą. Nic więcej. Gdy jesteś na pustyni, nie grasz żadnej roli. Gdy jesteś w domu, to jesteś dziennikarzem, ojcem, nauczycielem, pacjentem, obywatelem... Na pustyni jesteś sobą i przyglądasz się w niej jak w lustrze. Idealnie byłoby, żeby każdy z nas doświadczył choć raz dobrej samotności z wyboru, bycia w swoim własnym towarzystwie. Dzięki temu człowiek staje się szczerzy sam ze sobą, prawdziwszy.





▲ **Ekwipunek na zimowe spotkanie z Gobi. Łagodna zima to -30 st C., ale w ub. r. tempetartura spadła tam do -40 st. C. Rower to tzw. fat bike - trzy koła w jednej linii. Na przy-czepce nad trzecim kołem będzie namiot. Na przednim kole gaz, kuchenka, żywność, sprzęt do łączności. Wszędzie gdzie się da sakwy i termosy z wodą** FOT. ASEKOL GOBI WINTER EXPEDITION2

Taka separacja może być stanem, po pierwsze, trudnym do osiągnięcia, a po drugie, niekoniecznie korzystnym.

– Gdy wróciłem do domu po przejściu pustyni Gobi, przeżyłem sześć najtrudniejszych miesięcy w moim życiu, bardzo depresyjnych. Leżałem, gapilem się w biały sufit i docierało do mnie, że zniszczyłem swój organizm, byłem wykończony, brałem leki. Było to sześć miesięcy szukania odpowiedzi, jaki sens miało to, że jako pierwszy człowiek na świecie przeszedłem mongolską część pustyni Gobi. Nie uratowałem czyjegós życia, ludzie tutaj na miejscu przeważnie nawet nie zauważyli mojej nieobecności. I wtedy, żeby nie zwariować, wymyśliłem sobie, że z moim chodzeniem po pustyniach jest jak z czytaniem książek.

Lektura poszerza światopogląd. Rozwijasz się, przeżywasz emocje. Ale to, że przeczytasz książkę, nie zmieni świata. Robisz to wyłącznie dla siebie. Dlaczego ludzie nie negują czytania książek, a negują sens chodzenia po pustyni. Teraz z perspektywy czasu już wiem, że wyprawa na Gobi w największej mierze zmieniła moje życie, ale zupełnie inaczej niż ludzie myślą o takich przeżyciach. Zrozumiałem – cofając się do pierwszych zapamiętanych chwil – że nie potrafię sobie radzić z emocjami.

Nieradzenie sobie z emocjami sprawia, że jestem nieszczęśliwy.

Ale w takich sytuacjach nie chcesz iść do psychologa, bo wyobrażasz sobie, co ci powie: żeś wariat. I trzeba będzie iść do psychiatry.

U mnie było tak, że gdy po Gobi poszedłem do psychołożki, powiedziała, że jestem zbyt samoświadomy i ona nie może mi pomóc. Poszedłem do psychiatry. Diagnoza: afektywne wahania nastroju i depresja.

Przeszedłem terapię, lekoterapię. Radzę sobie, a w każdym razie rozu-

miem własne emocje. Jeśli trzeba było przejść pustynię Gobi, żeby sobie to uświadomić, to warto było.

Potrafiłem iść przez pustynię, codziennie pić śmierzdzącą wodę ze studni, żreć te same liofilizaty i być prawdopodobnie szczęśliwym człowiekiem. A potem wracałem do domu: bieżąca woda, mieszkanie, jedzenie, zdrowe dzieci. I nie potrafiłem znaleźć w tym jakiegokolwiek wartości, jakiegokolwiek szczęścia.

Wyprawy są lekarstwem.

– Rodzice nie potrafili mnie chwalić. Nigdy. W żaden sposób. Zawsze niedowartościowane dziecko. Wtedy kiedy już wiedziałem, że będę podróżnikiem, moi rodzice mówili: „Podróżnik? Nie ma takiego zawodu”.

Takie podejście było we mnie pielęgnowane, co z kolei powodowało, że raczej izolowałem się, byłem aspołeczny, nie widziałem żadnej wartości w przebywaniu z innymi ludźmi. I to może był jeden z powodów, dlaczego tak dobrze odnalazłem się na pustyni.

Na pierwsze wyprawy wyruszyłem jednak z czystej ciekawości. W liceum biblioteka szkolna publikowała listę nazwisk uczniów, którzy wypożyczali najwięcej książek. Regularnie byłem na górze, choć nie przeczytałem żadnej lektury, czyli obowiązkowego zestawu książek. Nienawidziłem tego. Odrobiłem zaległości na pustyniach. Przeczytałem, bo już nikt mi nie kazał.

W szkole czytałem Fiedlera, polarników Scotta, Amundsena i Shac-

kletona. Chodziłem po zamrożonym jeziorze nieopodal domu, myślałem, że w taki sam sposób kiedyś dojdę do bieguna południowego. Ciekawość, która napędzała tamtych ludzi, napędza i mnie. Chęć poznania świata, o którym tyle czytałem.

Wcześniej była ciekawość, teraz są podróże do wnętrza siebie?

– Tak. Ale ciekawość dalej we mnie jest, choć trochę innego rodzaju. Za pierwszym razem na Gobi – tam jest bardzo krótka jesień, jedna burza śnieżna i już jest całkowita zmiana pór roku – pomyślałem, że skoro teraz jest tak ciężko, to zima musi być hardkoro-wa. I jest, bo zimą z Gobi uciekają nawet nomadzi, którzy tam żyją w jur-tach w łagodniejszych porach roku.

Będę miał 10 termosów, w sumie 21,5 litra wody. Sztuką będzie utrzymywanie tej wody cały czas w stanie ciekłym. Sprawdziłem kilka modeli termosów. Obniżyłem temperaturę do -46 st. C i nawet w najlepszych woda po 24 godzinach zaczyna zamieniać się w sorbet. **Mróz to luzik. Uszyłem sobie na siodełko specjalną poszwę z baraniej skóry, żeby sobie tyłka nie odmrozić**

Czy wytrzymam? Czy ta rzeczka, którą wtedy mijalem, teraz funkcjonuje? Czy nie zamarza zimą?

Jest tam ogromna liczba wyzwań, którym będę musiał stawić czoła. Tyle rzeczy może się schrzanić. Musiałem znowu wymyślać przygotowania od podstaw, bez gotowych rozwiązań, bo nawet doświadczeń polarnych rowerzystów nie ma zbyt wiele.

Jeden kolega pojechał po Bajkale zimą, a drugi przez Syberię. Różnica jest taka, że na Gobi problemem jest woda i to, że tam wszystko kluje: rośliny, skały, żwir. Złapiesz gumę i jak ją zdjąć i naprawić, skoro przy –40 st. C jest twarda jak beton? Na Syberii kole-dzy rozpalali ogniska i ją podgrzewali albo zatrzymywali samochód i pytali, czy mogą w kabinie zmienić dętkę, bo w kabinie ciepłej.

Na Gobi nie ma drewna, nie ma samochodów. To jest moje największe zmartwienie. Dętka, możliwie najgrubsza, ma w środku elastyczny wypełniacz, który według producenta nie zamarza do –40 st. C. Sprawdzimy. Potem jeszcze jedna dętka rozciąta wzdłuż, do tego opaski syntetyczne. I dopiero opona. To wszystko może być niewystarczające.

Woda przy –40 st. C też nie przypomina wody.

– Przygotowania do pierwszej wyprawy na Gobi zajęły mi trzy lata. W dużej mierze polegały na szukaniu na mapach satelitarnych i papierowych, które udało mi się ściągnąć z całego świata, miejsc, gdzie znajdę wodę. I faktycznie to mi wtedy pomogło.

Wciąż tę bazę posiadam. Z tym że nie mam zielonego pojęcia, czy ten konkretny ciek funkcjonuje zimą, czy ta konkretna rzeka nie zamarzła, czy ten strumień nie zmienił biegu.

Wymyśliłem dwa rozwiązania. Będę miał 10 termosów, w sumie 21,5 litra wody. Sztuką będzie utrzymywanie tej wody cały czas w stanie ciekłym.

Sprawdziłem kilka modeli termosów. Obniżyłem temperaturę do –46 st. C i nawet w najlepszych termosach woda po 24 godzinach zaczyna zamieniać się w sorbet. Jednak one nie były w ruchu. Będę jechał na rowerze, to spowoduje obniżenie temperatury zamarzania. Bo jak woda zamarźnie, to koniec. W razie dra-

Trasa zimowego przejazdu Mateusza Waligóry przez pustynię Gobi



▲ **Trasa zaczyna się w mieście Altaj i wiedzie m.in. przez takie miejsca jak: BayanTsagaan, Shinejinst, Dalandzadgad. Kończy się w Sajnszand.**

Interaktywna trasa do obejrzenia online po zeskanowaniu kodu QR:



matu będę termosy podgrzewał każdego wieczora.

Będę je trzymał w przyczepce. Zostaną przykręcone w każdym możliwym miejscu na rowerze: dwa na widelcu, dwa w tylnych sakwach, reszta w przyczepie. Rower – fat bike – trzykołowy, trzy grube koła w jednej linii. Na przyczepce nad trzecim kołem namiot. Na przednim kole gaz, kuchenka, żywność, sprzęt do łączności.

Zima w tym roku jest na razie łagodna, –30 st. C. Rok temu była najgorsza zima od pięciu dekad, –40 st. C, ogłoszono stan klęski żywiołowej. Ale ta zima jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa.

Zakładam tempo około 50 kilometrów dziennie, bo nie będę w stanie zabrać więcej jedzenia.

Drugi sposób: jeśli będzie bardzo zimno i te termosy zamarzną, użyję mocnych worków z polietylenu, po 20 litrów pojemności. Napelnię wodą, zostawię na noc. I będę wioził z sobą bryły lodu.

Problem w tym, że wodę w stanie ciekłym łatwiej zagotować. A z gotowaniem w Mongolii nie jest łatwo, bo nie ma tam czystego płynnego paliwa, używanego na przykład przez himalaistów. A gaz słabo działa w niskich temperaturach.

Mówiliśmy o „punktach wody”. Ale jak będzie mróz, to nie będzie punktów wody, tylko punkty lodu.

– To będę zbierał lód. Tam będą też osady, przez które ja będę jechał. Mogę w nich podgrzać lód lub dostać wodę.

Osady na Gobi nie są stałe. Przemieszczają się.

– Właśnie. Kolejna wielka niewiadoma.

W gobijskim Altaju, w pierwszej części wyprawy, są stałe wioski. Trudny etap, muszę przebyć przełęcz na wysokości 2700 m n.p.m., może być śnieg, wiatr i mróz. Potem pustkowie Gobi. Mam ponad 250 kilometrów do przejechania i muszę je pokonać w pięć dni, korzystając z zapasów z termosów. Ostatni etap liczy około 550 km. Po drodze cztery stałe osady, jakichś ludzi spodziewam się po drodze spotkać.

Mówiliśmy, jak działa mróz na gumę, na wodę, na gaz. A jak na ciebie zadziała?

– Mróz to luzik. Uszyłem sobie na siodelko specjalną poszwę z baraniej skóry, żeby sobie tyłka nie odmrozić.

Będę wykorzystywał swoje doświadczenia z bieguna południowego, ale na Antarktydzie latem całą dobę jest jasno. Na Gobi będę miał 14 godzin na dobę ciemności. I to nie

zimno, nie mróz będą moimi największymi przeciwnikami, ale wilgoć.

W normalnych okolicznościach ciało grzeje, a kurtka izoluje. Jeśli kurtka jest mokra, przestaje izolować. A może złapać wilgoć z oddechu w namiocie, która osadza się na ścianach. Największym problemem jest więc utrzymanie śpiwora puchowego w stanie suchym. Co zrobić? Wskakujesz w białiznę termicznej do plastikowego wora. Potem do puchowego śpiwora, potem do syntetycznego, który lepiej radzi sobie z wilgocią, i do jeszcze jednego plastikowego wora, zewnętrznego. Niepraktycznie się wchodzi i wychodzi, ale da się zrobić.

Mam buty mukluki używane przez Inuitów. Są wielkie, monstrialne na normalnej stopie, a mój rozmiar to 50. Nie mieszczą się na pedałach roweru, mimo że zamówiłem największe na rynku, XXXL. Z kolegą jeszcze je poszerzyliśmy dodatkową aluminiową nakładką.

Czym zajmujesz mózg w samotności?

– Pościągałem dużo muzyki. Lubię na pustyni słuchać pieśni morza, szant. Robię mózgowi małą niespodziankę, żeby nie myślał o tym, że jest w dupie. Często myślę o czymś zupełnie przeciwnym temu, co akurat robię, wymyślam kolejną wyprawę, która prowadzić będzie w miejsce skrajne, gorące.

Teraz najchętniej ukończyłbym kurs SGH i Google'a „Umiejętności jutra”. Zakwalifikowali mnie do tego programu – w jaki sposób wykorzystać sztuczną inteligencję do prowadzenia małych i średnich przedsiębiorstw. Nie wiem, czy mi się uda ściągnąć kolejne webinary na środku pustyni Gobi. ●

*Mateusz Waligóra

• Jest pierwszym człowiekiem, który przeszedł mongolską część pustyni Gobi. Teraz chce być pierwszym, który przejedzie ją w zimie na rowerze. Przed nim wyprawa Asekol Gobi Winter Expedition do Mongolii, czyli 1400 kilometrów w mrozach sięgających nawet –40 st. C. 12 lutego Waligóra poleciał do Ułan Bator. Kilka dni później rozpocznie przejazd przez Gobi. Punktem startu będzie miasto Altaj, metą – Sajnszand.

REKLAMA

Kraj/34361853

FUNDACJA Pomagam.pl

KRS 0000 353 888

pomagam.pl/procent-podatku

Przekaz i zmień los tysięcy potrzebujących

1,5%

MIŁOŚĆ

Co za dużo, to niezdrowo



FOT. J. SHUTTERSTOCK

Z **PROF. GRZEGORZ INIEWICZEM**,
PSYCHOLOGIEM, SEKSUOLOGIEM,
ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

Wciąż żyjemy pod dyktandem romantyzmu?

– I często nie doceniamy, jak ogromny jest ten wpływ. Romantyzm odmienił na zawsze sposób postrzegania bliskich związków w kulturze zachodniej. Wprowadził konieczność miłości. I to miłości dość specyficznie rozumianej – jako coś ulotnego, bardzo emocjonalnego, intuicyjnego, co pojawia się nagle, wytrąca nas z codzienności i nie poddaje się racjonalności.

Dzięki romantykom „miłość” to termin, który rozumiemy bardziej na poziomie emocjonalnym. Ale problemem nie jest wniesienie jej przez romantyzm do bliskich relacji. Jest nim sprowadzenie relacji wyłącznie do miłości rozumianej tylko w kategoriach emocjonalnych. Emocjonalny może być – i zazwyczaj jest – początek, dosięga nas strzała Amora, popadamy w rodzaj szaleństwa, sięgamy po język poezji, aby ten stan opisać. To jest jednak przelotne, nie da się żyć w takim stanie zbyt długo.

Z psychologicznej perspektywy można powiedzieć, że uruchamiamy mechanizm rozszczepienia. Rozszczepiam w swoim przeżyciu drugą osobę na jej część dobrą i złą. Pierwsza zawiera to, czym się zachwycam, druga to, co mi się nie podoba. Następnie odsuwam tę złą część drugiej osoby. Ale ona później wraca, co często interpretujemy jako rozczarowujące odkrycie, jaki ktoś jest „naprawdę”. Lecz to przecież my dokonujemy swoistej manipulacji w obrazie drugiej osoby. Przecież prawie zawsze na początku relacji idealizujemy obiekt westchnień, co sprawia, że relacja jest sprowadzona do uczuć i intuicji. A to gotowa recepta na problemy, bo automatycznie za-

kładamy, że wszystkie nasze oczekiwania zostaną spełnione.

Przypomina to bardziej relację z rodzicem niż z drugą dorosłą osobą. Oczekujemy, że partner czy partnerka tak jak rodzic będzie się starał odczytać nasze potrzeby i w magiczny sposób je zaspokoić. A miłość to proces, codzienne zadanie, nauka bycia razem, rozumienie swojej odmienności czy różnorodności.

Nawet romantyczny nakaz poświęcania własnych potrzeb na rzecz miłości nie ma na celu dobra drugiej osoby. Tak naprawdę okazuje się niezwykle egoistyczny. Cierpię i staję się to potem osnową tożsamości. Romantyzm w pewnym sensie wypromował zajmowanie się własnymi emocjami.

Przedromantyczny, jeśli tak można powiedzieć, model związku ujmował miłość zupełnie inaczej. To było coś, co mogło się pojawić w związku, ale nie stanowiło jego punktu wyjścia.

W swoim gabinecie na co dzień obserwuję konsekwencje braku dystansu do romantyzmu. Ale z tych moich obserwacji wynika również, że powoli chyba dochodzi do pewnej weryfikacji romantycznego rozumienia miłości. Coraz więcej związków zaczyna funkcjonować w oparciu o elementy pewnej racjonalności i refleksji nad wspólną interesów, analizą korzyści czy kwestii ekonomicznych, które nas łączą. Jak w czasach, gdy rodzice aranżowali związki swoich dzieci i zastanawiali się, kto będzie odpowiednim kandydatem czy kandydatką.

Według przysłowia w aranżowanych związkach „miłość przyjdzie z czasem”. Przychodzi?

– To zależy, jak rozumiemy miłość. Jeśli czekam, że nagle będę miał motyle w brzuchu, nie będę spał po nocach, to taka miłość może po prostu nie przyjść. Natomiast jeżeli miłość traktuję jako pewnego rodza-

ju decyzję, że chcę z kimś być, to myślę, że można powiedzieć sobie: „a czemu nie?”.

Nie wiem, czy aranżowane małżeństwa były bardziej nieszczęśliwe niż te, gdy decyzję podejmuje para. Trudno to porównać choćby dlatego, że miłość była inaczej rozumiana. Podejmowałem pewną decyzję i starałem się w tym wytrwać. Określiłbym to jako przedromantyczny model związku. Oczywiście jest przy tym ważne, aby nie krzywdzić siebie i drugiej osoby. Natomiast w dyktacie romantyzmu zakochuję się, odkochuję, potem znowu się w kimś zakochuję. Jakbym nie miał żadnej kontroli nad tym, co się ze mną dzieje.

Takie rozumienie miłości staje się też usprawiedliwieniem dla rozstań czy romansów.

Na pewno w pana gabinecie miłość romantyczna pojawia się często. Ideal zderza się z rzeczywistością i wtedy cierpimy?

– Tak, to częsty problem. Tworzymy sobie pewną wizję związku, która nie zawsze jest realna i w dodatku oczekujemy spełnienia naszych różnych potrzeb. Na początku pracy z parą muszę przede wszystkim dowiedzieć się, w jaki sposób te osoby definiują swój związek. Interesującym doświadczeniem jest praca z parami jednopłciowymi, które nie mają kulturowych wzorców budowania relacji, same muszą je stworzyć. Wiele aspektów wspólnego funkcjonowania muszą wynegocjować, ustalić.

A nowe technologie? Tinder zmienił reguły romantycznego schematu?

– Technologie są nowe, ale mają spełniać stare pragnienia. Również od Tindera oczekujemy, że nagle się zakocham. W tym tkwi paradoks, bo Tinder zmusza do jakiejś pierwszej selekcji, w dodatku na podstawie dość powierzchownych kryteriów. Tak, jak-

bym sam chciał zdecydować, w kim się zakocham. Zdaje się, że wiele z tych relacji dość szybko się kończy. Nie bardzo też potrafimy przyznać się, że to nie jest to, czego się spodziewaliśmy, stąd być może zjawisko ghostingu – znikaniu, zrywaniu relacji bez słowa wyjaśnienia.

Już Erich Fromm zauważył, że miłość stała się produktem. Tak ją traktujemy?

– Coś w tym jest. Poszukujemy przecież czegoś „idealnego”, a w aplikacji niestety zawsze znajdzie się „lepszy” produkt. Ktoś bardziej atrakcyjny fizycznie czy o wyższym statusie socjoekonomicznym. To uczy powierzchowności relacji, skupienia się na wyglądzie. Najważniejsze staje się to, jak się zaprezentuję, a nie jaki jestem. Często już pierwsze spotkanie weryfikuje mój wybór. Pokazuje drugą osobę bardzo odległą od wcześniejszych wyobrażeń.

Co interesujące, osobom, które nie chcą kontynuować znajomości, często trudno jest określić, co właściwie się stało.

Ale romantycy przecież cenili piękno.

– Tylko że inaczej je rozumieli. Chodziło bardziej o pewną oryginalność i spontaniczność. Piękna nie utożsamiano z pewnym kanonem, zestawem pożądanых u partnera cech. Było bardziej przeżyciem, czymś, co jest nasycone emocjami. Często z nutą erotyzmu – pomyślmy o długich sukniach i teatralnych omdleniach. Być może zachwyt dotyczył bardziej bycia w relacji niż tego, z kim jestem w relacji. Zachwycałem się niejako sobą, swoimi emocjami, a nie drugą osobą.

Spójrzmy na miłość na chłodno, oczami Marsjanina. Co by go zdziwiło w tym, co ludzie określają „miłością”?

– Najbardziej chyba to, że podejmujemy tak niezwykle ważne życiowe decyzje na

podstawie skąpych danych. Zamiast analiz zdajemy się na coś ulotnego. W dodatku w dość młodym wieku, mając niewielkie doświadczenie. Decydujemy, z kim spędzić życie, na podstawie własnych emocji i tego, czy ktoś nam pasuje do naszych wyobrażeń relacji, jaką chcielibyśmy mieć.

To może powinniśmy porzucić romantyzm? Zgodziłby się pan z Vargasem Llosą, że „sekret szczęścia, a przynajmniej spokoju, leży w tym, żeby umieć oddzielić seks od miłości. I, o ile to możliwe, wyeliminować romantyczną miłość z życia, bo ona sprawia, że człowiek cierpi. Tak żyje się spokojniej i lepiej się bawi”? *Profesor się śmieje.* – Byłbym jdaleki od formułowania tak radykalnych tez i narzucania ludziom, jak mają żyć. Nie ma jednej słusznej recepty, jak powinniśmy tworzyć związki. Wtłaczanie zachowań wszystkim ludzi w jakiegokolwiek ramy jest niewykonalne. Może w kulturach, w których jest ograniczona ilość wzorców relacji i tego, w jaki sposób należy być razem, ale ten typ kultur w dobie globalizacji jest już coraz rzadszy.

Dla jasności – nie opowiadam się za wyeliminowaniem romantycznej miłości, tylko za uświadomieniem sobie, jak ten model wpływa na nasze życie, gdy miłość bywa sprowadzana jedynie do emocjonalnych uniesień. Ale też świat zmienia się szybko. Dopuszczamy coraz więcej odstępstw od romantyzmu. Niektórzy z góry zakładają pewnego rodzaju negocjacje w związku. Na bieżąco podejmują decyzję, na ile są razem i co ich łączy, a co robią osobno.

Przeczytam coś panu. „Kiedy pacjent stale odchrząkuje, często brakuje mu słów, ciągle mówi do siebie nawet w samotności i bez powodu śmieje się na polu, jest wiecznie przygnębiony, ma ucisk w gardle, nie czerpie przyjemności z jedzenia i picia i wzdychając, bez końca powtarza – O, moje biedne serce! – taki człowiek cierpi na chorobę miłosną, jednakowoż przebiegającą u mężczyzn i u kobiet”. To fragment glinianej tabliczki, znalezionej w asyryjskiej bibliotece w Niniwie. Dlaczego po 27 wiekach wciąż cierpimy z tego samego powodu? – W romantyczną miłość jest wpisane cierpienie – takie, w którym cierpiąc, jesteśmy przekonani, że robimy to w imię jakichś wyższych wartości. Jakich? To pytanie pozostaje otwarte.

Oczywiście cierpieniem jest utrata ukochanej osoby – śmierć, porzucenie czy dłuższa rozłąka. Ale romantyzm kazał nam cierpieć już od momentu zakochania. Rozczulać się nad niemożnością całkowitego połączenia się, zlania w jedno. To perspektywa bardzo małego dziecka, które przeżywa jedność z matką. Znikająca matka nie sie lęk, że i ono zniknie. Romantyzm opisał miłość z punktu widzenia niemowlęcia i jego emocji. Starsze dziecko wie już, że nieobecność matki jest chwilowa, pojawia się racjonalność. Miłość nie jest już cierpiąca.

Romantycy uczynili z cierpienia wręcz obowiązek. Lord Byron napisał „Ilu leż próżne... Czaruj, ideale, Ale mi nie patrz w serce: tam jest piekło”. – Romantyzm powstał niejako w opozycji do Oświecenia, stawiającego na piedestale rozum. Z kolei czasy wiktoriańskie, w których próbowano przesadną emocjonalność – podobnie jak seksualność – poddać kontroli, można zrozumieć jako reakcję na romantyzm.

Romantyzm w pewnym sensie obalił rozum, obalił również pewne reguły. Miłość zaczęła być rozumiana jako usprawiedliwienie wszystkiego. Skoro w imię miłości mogę zrobić wszystko, to inaczej traktuję to, co z gruntu złe. Nie można zabijać, ale jeśli zrobić to z miłości, to czyn ma inną wagę i odbiór społeczny jest już inny. Myślę, że to romantyzmowi zawdzięczamy przyzwolenie na pewne szaleństwo, jeśli jego przyczyną jest miłość.

Niebezpieczeństwo dotyczy skrajności. Nie da się całkowicie porzucić schedy po romantyzmie, ale dobrze byłoby wypracować jakiś kompromis między rozumem a szaleństwem miłosnym. Nie trzeba oszaleć, żeby pokochać drugiego człowieka.

Czyli romantyzm to porzucenie „racjonalnych” płatów czołowych na rzecz „instynktownego” układu limbicznego. – W wielkim uproszczeniu można powiedzieć, że płaty czołowe są dosyć późnym wytworem. Patrząc z perspektywy ewolucji ludzkości, nie mają takiego stażu i doświadczenia, co położone głębiej struktury mózgu, w których zapadają decyzje dotyczące naszego przetrwania. Jednak z drugiej strony płaty czołowe potrzebne nam są do pisania wierszy, czyli czegoś wypływającego z instynktu i emocji.

A romantyzm dokonał jeszcze jednej ciekawej rzeczy.

Jakiej? – W pewien sposób poddał kontroli naszą seksualność. Wprowadził przekonanie, że seks ma być wyrazem miłości. Wcześniej miłość i seks to były raczej oddzielne obszary. Owszem, najpierw połączyły

miania własnych potrzeb oraz oczekiwań i tego, czy związek może je spełnić, ale przy uwzględnianiu drugiej strony i uważności – tak, aby nie narzucać własnych, uprzednio zidentyfikowanych, wzorców rodzinnych.

Taki przedmiot powinien również uczyć lubienia i akceptowania siebie. Często o tym zapominamy.

Kultura masowa nie ułatwia weryfikacji modelu romantycznego. W jednym z badań ponad 90 proc. ze 174 utworów, które w 2009 r. znalazły się w Top 10 popularnego za oceanem zestawienia „Billboardu” dotyczyło właśnie wątku miłości. I tej szczęśliwej, i tej niespełnionej. Analizy poprowadzono dalej wstecz w czasie, aż do XVI-wiecznych arii operowych. I większość oczywiście również dotyczyła miłości.

– W kinie jest tak samo. Niby pojawia się jakieś cierpienie, a druga osoba jest niedostępna, ale zwykle to stan przejściowy i wszystko kończy się dobrze. Chyba że sięgniemy po filmy spoza mainstreamu, tam miłość bywa niejednoznaczna, a zakończyć nie zawsze szczęśliwie.

Przekonanie, że muszę się zakochać za

Być może zachwył romantyków dotyczył bardziej bycia w relacji niż tego, z kim jestem w relacji. Zachwycam się niejako sobą, swoimi emocjami, a nie drugą osobą

się w kontekście kultury judeochrześcijańskiej, ale na dobre, w sposób świecki, to połączenie przypieczętował właśnie romantyzm.

I na tym polu też obserwujemy rozmywanie dominującego romantycznego modelu. Bo przecież obserwujemy zjawisko oddzielania miłości i seksu.

Psycholog Steve Bearman w głośnym eseju przekonuje, że seks to jedyny obszar współczesnego społeczeństwa, w który mężczyźni mają prawo doświadczać intymności i zmysłowości. – Myślę, że już dość dużo mówimy o emocjach mężczyzn. Na pewno już otrzymali przyzwolenie na ich doświadczanie, pozostaje pytanie, czy otoczenie jest gotowe na ich przyjęcie. Mężczyźni otrzymują trochę sprzeczny sygnał: „możecie płakać, możecie być słabi, ale nie za długo”.

Każde zauroczenie mija. Wtedy porzucamy partnera? – Jeśli kierujemy się emocjami, to nie mamy wyboru, chyba że zdecydujemy się pozostać w pustym emocjonalnie związku. Tu zauważmy, że zauroczenie wydaje się jeszcze bardziej ulotne od zakochania. Brzmi jak rzucanie uroku – i tak też często opisujemy „ten pierwszy moment”. Rzecz w tym, że ten pierwszy moment, coś niezwykle spontanicznego, romantyzm uczynił fundamentem związków.

To może powinniśmy się uczyć budowania związków? Poparłby pan pomysł szkolnego przedmiotu „związek, budowa i podtrzymanie”? – Tak. Oczywiście nie chodzi o to, aby uczyć ról płciowych, tylko komunikacji, rozumienia różnic, tzw. miękkich umiejętności. Wyznaczania własnych i szanowania cudzych granic, rozpoznawania, uświada-

wszelką cenę, nawet nieszczęśliwie, i traktowanie tego jako jedynej drogi do osiągnięcia szczęścia, nie służy zdrowiu. A poszukiwanie jej w pubach i klubach z pomocą znajomych to raczej ucieczka od odpowiedzialności. Może niektórzy snują takie analogie, ale to w niczym nie przypomina aranżowanych małżeństw i swatek, które poszukiwały odpowiednich kandydatów.

No i wszystkie komedie romantyczne kończą się w momencie ślubu. Czyli pomijają trudy codzienności. – Bo po co nam dalszy ciąg historii? Przecież zakładamy, że „żyli długo i szczęśliwie”. Tak samo kończą się bajki. Schemat, jaki sobie wyobrażamy, bo go pragniemy, jest prosty – ślub, dzieci, wspólna, równie szczęśliwa i pozbawiona cierpienia, starość. Tylko że nie wiemy, jak długo i czy szczęśliwie żyli albo, czy dzieci poprawiły ich związek. Niestety. W gabinecie nie mogę komuś powiedzieć: „żyj długo i szczęśliwie”, bo to w zasadzie nic nie znaczy.

Tylko jaką mamy alternatywę? Nasze zachodnie wzorce przedromantyczne, a usiłujące dopuścić emocje i pragnienia, nie są najlepsze. Romeo i Julia popełniają samobójstwo jako nastolatki i nie przekazują genów. Tristan i Izolda spali przedzieleni mieczem... – Ale potem już mogli być razem, tylko nie podjęli takiej decyzji. Jakby – jak u romantyków – atrakcyjne było cierpienie, a nie zaznanie szczęścia bycia razem.

A intymność, której potrzebuje każdy? Możemy ją znaleźć poza bliskim związkiem dwóch ludzi, opartym na konwencji romantycznej? Na przykład w małżeństwie aranżowanym czy z rozsądku? – To nie jest sytuacja zero-jedynkowa. Nie chodzi o to, by odrzucić jakiegokolwiek ro-

mantyzm, tylko żeby czerpać również z innych wzorców i epok. Może jakimś rozwiązaniem jest coś na kształt skrzyżowania go z Oświeceniem? Niestety, w ramach konwencji romantycznej jakiegokolwiek analiza relacji intymnych bywa uznawana za faux-pas.

To zrozumiałe, bo jako ludzie funkcjonujemy tak, że większość naszych naprawdę głęboko emocjonalnych reakcji i odruchów – to układ limbiczny. Dopiero potem przychodzi refleksja, czyli przysłowiowe płaty czołowe. Dlatego w procesie terapii oddziałujemy na płaty czołowe, uczymy kontroli i różnych interpretacji rzeczywistości. Tego, żeby nie wpadać w pułapkę szukania jednego wzorca. Współczesny świat jest na to zbyt różnorodny.

A może potrzebujemy również nowych określeń na związki? Włosi mają inny termin na „kocham cię” mówione rodzinie i przyjaciółom, inny na „kocham cię” kierowane do partnerki, partnerka? – Na pewno musimy zdekonstruować wzór rodem z komedii romantycznych. Praca w gabinecie nauczyła mnie, że wielu ludzi weń wierzy, a on nie musi być normą dla każdego. Owszem, miłość, seks i wspólne zamieszkanie zazwyczaj idą razem. Ale współcześnie coraz częściej tak nie jest. Seks odbywa się bez miłości albo towarzyszy mu przyjaźń.

A nie jest tak, że romantyzm, który zaszczerpił w nas egoizm, utrudnia bliskie relacje? Jeśli to miłość romantyczna, to nie zaakceptujemy żadnej skazy. – To raczej część większego procesu narcyzacji społeczeństwa. Narcyz przeciwieństwo oczykuje, że obiekt będzie potwierdzał jego wartość. Więc jakiegokolwiek rysa na związku czy partnerze świadczy, że to ja sam jestem niedoskonały.

Miałem pacjenta, który, kiedy zauważył, że partnerka przytyła 2-3 kg, reagował złością. Bo zaczynała odstawać od ideału, z czym nie mógł się pogodzić. Nie potrzebował jej, potrzebował jej idealnego ciała, aby potwierdzić to, że on sam jest idealny. Nie potrafił dokonać idealizowania wnętrza. A jeśli ktoś koncentruje się na wnętrzu, to naturalnie zmieniające się ciało nie ma aż tak dużego znaczenia. To zdrowsza idealizacja.

Osobiście obawiałbym się, że jak pogrzebiemy romantyzm, to nie będziemy mieć nic innego do zaoferowania. Trochę jak z Czesławem Miłoszem, który twierdził, że nie można komuś odbierać wiary w Boga, bo nie damy mu nic w zamian. – Ależ ja nie jestem za pogrzebaniem romantyzmu, tylko za lekkim zdystansowaniem się. Większą samoświadomością. Wprowadzeniem rozumu w nasze relacje. Również na ich samych początku, kiedy pojawiają się słynne motyle w brzuchu. ●



Dr hab. Grzegorz Iniewicz

• profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, pracuje w Instytucie Psychologii UJ i prowadzi własną praktykę. Psycholog, specjalista psychologii klinicznej, seksuolog kliniczny Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego, certyfikowany psychoterapeuta i supervisor Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Autor prac naukowych w dziedzinie psychoterapii, etiologii zaburzeń emocjonalnych, seksuologii i psychologii LGBT+, redaktor i współredaktor wielu książek naukowych.

SIŁA ZŁEGO NA JEDNEGO



Domniemanie niewinności?
W naszym kraju, dumnym
z chrześcijańskości, zasady z niej
wynikające nie mają dużego
poszanowania

Maria Anna Potocka

Irzeba wyjść od pytań, na które, niestety, nie można znaleźć satysfakcjonujących odpowiedzi. Dlaczego tak wielką aktywność potrafią wykazywać ludzie w sprawach napędzanych złością i nienawiścią? Dlaczego te sprawy są dla innych tak atrakcyjne?

Złość, nienawiść, pragnienie odwetu potrzebują współników i współwynawców, krótko mówiąc, ludzi, których można zarazić własną trucizną. Powstanie takiej grupy potrafi się przerodzić w niebezpieczną, głodną akcji siłę. Napięcia poszczególnych członków grupy wzajemnie się radykalizują i pęcznieją w poczuciu narastającej pewności. Po czym domagają się ujęcia dla swoich negatywnych, nienawistnych, czasem nawet morderczych uczuć.

W stosunku do grup te nastroje narastają często wiekami, mając po drodze mniejsze lub większe satysfakcje „pogromowe”. W końcu mogą osiągać katastrofalną kumulację, na skalę Holocaustu. Wobec pojedynczych osób są to procesy znacznie szybsze, jednak nadal rozłożone na lata.

Absolutnie nie można gigantów zła porównywać z krzywdą jednostek, niemniej mechanizmy emocjonalne wykazują pewne podobieństwa. Egzekutorzy w jednych i drugich szukają racjonalnych argumentów dla uzasadnienia agresji. Napastowanym

grupom czy osobom zarzucają naruszanie mniej lub bardziej wymyślonych reguł. „Przemoc ta jest formą sprawowania przez społeczeństwo kontroli nad tym, co uważa ono za normę” (Joanna Tokarska-Bakir, „Bracia miesiące. Studia z antropologii historycznej Polski 1939-1945”, IBL 2021).

Przemoc kolektywna jest dużo groźniejsza i bardziej bezwzględna niż przemoc indywidualna. W grupie złe emocje łatwiej się uzasadniają. Przykład i zaangażowanie innych radykalizują postawy indywidualne. To skuteczny mechanizm, którego zabójczość potrafi osiągać poziom okrucieństwa.

Intensyfikacja zła wynika m.in. z deindywidualizacji atakującego, który czuje się zwolniony z odpowiedzialności indywidualnej i poddaje się mglistej odpowiedzialności grupowej. Tym samym nie on popełnia zbrodnię, tylko grupa, do której przystał. To, co było jego wewnętrznym zahamowaniem, jego porządkiem etycznym, jego współczuciem, zostaje stłumione i „zwolnione z obowiązku” czuwania nad jego uczynkami. Deindywidualizacja pozwala człowiekowi popełniać zbrodnie, których by się nie dopuścił „prywatnie”, jako ON, jako człowiek „wyodrębniony”.

Dobrze udokumentowane są dwa zjawiska działania grupy poza prawem i wymierzania wymyślonej sprawiedliwości czy też brania odwetu za wymyślone krzywdy.

Najstraszniejszą, a zarazem w historii europejskiej najbardziej powszechną formą społecznej agresji są pogromy mające na celu zastraszenie, zniszczenie i zamordowanie świata żydowskiego. Tutaj grupa występuje przeciw grupie, prawie nigdy nie wskazując na poszczególne jednostki.

Inną formą społecznej agresji są lincze, za którymi też stoi nienawiść do pewnej grupy ludzi, z tym że wyzwalaczem agresji są jednostki i przypisywane

im winy. Zostaje wykonany wyrok tortur i śmierci na człowieku, któremu w żaden sposób nie udowodniono zbrodni. Tutaj odwet na społeczeństwie czarnych przybiera formę pogroźki - każdego z was może spotkać coś podobnego.

W obu przypadkach następuje transfer odpowiedzialności, zdjęcie jej z siebie na rzecz grupy, w której pokłada się zaufanie, będące często przykrywką dla brudnych interesów: okradzenia ofiar, przejęcia ich pozycji i władzy.

Te „złe” intencje są najczęściej schowane pod świętym oburzeniem. Ofiarom przypisuje się winy lub zbrodnie, które mają według oprawców uzasadniać zbrodnie na nich popełniane. W konstrukcji „zbrodni dokonana za zbrodnie wymyśloną” nie ma w pogromach i linczach żadnych proporcji - zawsze intencją jest śmierć.

Głód linczu bywa tak głęboki, że przyczajeni odwetowcy nie chcą czekać na powód z „tamtej strony”, tylko sami go inicjują. W 1934 r. rozpowszechniono drzeworyt przedstawiający dwie białe dziewczyny mówiące coś do ważnego urzędnika. Obrazek opatrzoneo wstrząsającą instrukcją. „Jeżeli dziewczyny powiedzą, że zgwałcili je »negroes«, sędzia puści je wolno i nawet kupi im ubrania” (Dora Apel, „Imagery of Lynching. Black Men, White Women, and the Mob”, Rutgers University Press 2004).

Była to zachęta dla białych prostytutek, „white trash”, które, oprócz doraźnych korzyści, mogły również liczyć na współczucie należne ofiarom. Dzięki ich „odwadze” głodni krwi prowokatorzy zyskiwali swój „trigger” (spust, cyngiel; przyczyna wybuchu) i mogli zaatakować wskazanych „negroes”.

Produkcja „cyngli” pojawia się we wszystkich aktywnościach mających charakter społecznego wymiaru „sprawiedliwości”. Obecnie jesteśmy świadkami narodzin nowej odmiany populistycznego wy-

mierzenia kary. Tu mamy do czynienia z inną konstrukcją.

W przypadku pogromów i linczów źródłem zbrodniczego napędu była mieszkanka złego przekazu historii z impulsami doraźnymi. Ta zabójcza energia była zawsze kumulacją dwóch przyczyn: tego, co przekazała ludziom wielowiekowa kultura, z tym, co było doraźnym naruszeniem interesów lub prowokacyjnym „triggerem”. Zderzenie czynnika starego z nowym uwalniało nienawiść do Żydów i czarnoskórych, znajdując swoje ujście w zbrodni oraz w napawaniu się cudzym bólem i strachem.

Nowa forma ma na celu uśmiercenie wybranej osoby na polu środowiskowo-zawodowym. Ma równocześnie dla oprawców charakter terapeutyczny i pragmatyczny. Jej celem jest zrehabilitowanie siebie własnych kompleksów i porażek oraz uwolnienie pola dla siebie. Nie chodzi tu o zabójstwo fizyczne, tylko o morderstwo psychiczne, zniszczenie lub obrzydzenie komuś życia. Krew się nie pojawia, chyba że w akcie samobójczej desperacji ofiary.

Podstawowym narzędziem operacyjnym tej formy społecznego wymiaru sprawiedliwości są media tradycyjne i społecznościowe, dające wszelkie możliwości wyrażania nienawiści, złości oraz pozwalające - ciągle jeszcze, bo to musi się zmienić - na bezkarne i anonimowe szkalowanie innych.

Trzeba na to zjawisko wymyślić nazwę. Dobrze odda je termin „pistolet medialny”, czyli „media-gun”. Oczywiście niektóre gazety i magazyny, na fali dumy zawodowej, odmawiają drukowania mediagunów, niemniej również one coraz częściej ulegają atrakcyjności czytelniczej tych zabójczych tekstów.

W takich artykułach największym przestępstwem prasowym jest podejście dziennikarza do tematu. Ten zawód, podobnie jak zawód sędziowski, jest zobowiązany do całkowitej neutralności i takiego ustalania oraz interpretowania faktów, aby „dać szansę prawdzie”. Dziennikarz stronnictwo obraża swój zawód, stając się intrygantem.

„»Walog« ludowej sprawiedliwości zazwyczaj polega na tym, że będąc społeczną kontrolą, żadną sprawiedliwością nie jest” (Joanna Tokarska-Bakir, „Bracia miesiące...”).

Niszczenie innych jest często wyrazem społecznego strachu lub frustracji, jest rekompensatą dla kompleksów czy zawiedzionych nadziei. Jest poszukiwaniem kózła ofiarnego, którego można oskarżyć za własne, takie czy inne porażki.

Zryw ludowej sprawiedliwości może być również formą forsowania własnego pokolenia, czyli „buntem pokoleniowym”, polegającą na wykluczeniu z przywilejów pokoleń starszych, zbyt długo zajmujących eksponowane pozycje. Małe rewolucje pokoleniowe - tak jak wszystkie inne rewolucje - nie mogą się bawić w powolne, „chrześcijańskie” rozpatrywanie detali, bo w ten sposób traciłyby rozpęd, napięcie determinacji i nieprzejednanosć. I przestałyby być rewolucją.

OK, tylko niech nikomu nie wmawiają, że rewolucja to forma „uprawiania” sprawiedliwości. Zasada „myślenia grupowego” wymaga zduszenia rozsądkowo-moralnych skrupułów. Żołnierz zabija, a nie rozważa sens wojny i ból ofiary. Ale przy tym nieuchronnie kaleczy sam siebie.

Osoby, które przeżyły pogrom, lincz czy media-gun, często doświadczają szoku i popadają w stan duchowy zawieszony między traumą a depresją. Wprawdzie żyją, ale do pewnego stopnia zostały zamordowane. Okazanie załamania przez „pobitego” jest dla wymierzających karę przyczyną dodatkowej satysfakcji, której nie wolno im dawać. Niechęć do sprawienia „tamtych” dodatkowej przyjemności po-trafi być skutecznym impulsem terapeutycznym dla ofiary, bo może pomóc w wypracowaniu godnej od-porności na „hałas” wokół karawany.

Również osoby, które były świadkami pogromu, linczu czy mediagunu, popadają w stany stresowe. W pierwszym i drugim przypadku przyczynami są widoki drastycznych scen oraz kapsuła strachu, w którą wpadają również świadkowie. W przypadku mediagunu jest nim lęk, że osiągnięcie eksponowanej pozycji i sukcesu skłoni zawistnych do intryg i pomówień medialnych.

Szczególnie powinni się tego obawiać politycy, którzy nie potrafią wyrobić w sobie odporności na ataki mediów i stają się ich zakładnikami, funkcjonariuszami, których paraliżuje tchórzostwo. Lęk medialny polityka lub urzędnika jest zgubny dla ich decyzyjności. A najgorsze są sytuacje, kiedy wystraszony urzędnik zaczyna się „podlizywać” i współpracować z mediami w tych rozgrywkach.

Wyimaginowana sprawiedliwość społeczna staje się przyczyną traumy historycznej, skutkującej sprzecznymi i skrajnymi efektami. Z jednej strony powstaje grupa osób stłamszonych i wystraszonych, ustępująca z drogi. Z drugiej grupa walecznych buntowników, napędzanych poczuciem niezasłużonej krzywdy, szukająca zadośćuczynienia, które pozwoli im odzyskać poczucie godności. Poczucie zagrożenia jednych paraliżuje, innych rewolucjonizuje.

Oba wyjścia „gwarantują” długoterminowy stres. W pierwszym przypadku obezwładniający, w drugim

*Atakujący innych w grupie
czuje się zwolniony z własnej
odpowiedzialności: to nie on
popęlnia zbrodnię, tylko grupa,
do której przystał*

- stymulujący. Ci, którzy zachowują siłę, potrafią się oprzeć dehumanizacji ze strony atakujących, dla których zabieg odwartościowywania osoby atakowanej jest istotny, bo usprawiedliwia okrucieństwo i agresję.

Bezwzględność społeczna w wymierzaniu wydanych przez „mob” (tłum, motłoch) wyroków niszczy wrażliwość i empatyczność obu stron. Atakującym ułatwia bezwzględność. Atakowanych znieczula i zubojetnia.

Podstawą deprawacji w samosądach jest konieczność tłumienia wszelkich wątpliwości, usprawiedliwień, cieplejszych odniesień. Osoba atakowana musi być całkowicie, w każdym detalu i temacie, negatywna. Tylko tak skonstruowany obraz atakowanego pozwala na wydanie i wykonanie wyroku. Dzięki temu „ulica” nie ma wątpliwości i wahań.

To podejście, taka preparacja drugiej osoby, wymaga bezwzględności, która deprawuje wykonawców (kusi inne słowo) medialnego wyroku. Deprawacja jest powiązana z odpornością.

W przywołanej wyżej książce Dory Apel znajduje się rysunek przedstawiający tłum obserwujący morderstwo czarnoskórego. Jedna z kobiet podnosi wysoko mniej więcej dziesięcioletnią dziewczynkę i z wielką dumą oraz ożywieniem oznajmia wszystkim wokół: „To jest pierwszy lincz!”. Odporność na krzywdzenie innych trzeba trenować od młodych lat.

Akcje typu pogrom, lincz czy mediagun wymagają lidera, osoby potrafiącej zradyzalizować „mob”, tłum o wspólnym mianowniku, którym mogą być religia, kolor skóry, narodowość, wiek lub gender. Te wszystkie formy przemocy społecznej mają podwójną funkcję. Najpierw przynoszą doraźną satysfakcję, czyszcząc pole z „niepotrzebnych” osobników i dając korzyści atakującym. Na szerszą skalę manifestują światu siłę grupy atakującej i ostrzegają - często skutecznie - przed jakimkolwiek występowaniem przeciw jej członkom.

Napędem w takich sprawach jest najczęściej mocno podgrzane święte oburzenie. Dobrym przykładem takich operacji są społeczne ataki lustracyjne. Pewne grupy nie pozwalają na to, aby procedura sprawdzająca zasadność takich oskarżeń odbyła się na drodze obiektywnych procesów i wyroków. Same wydają wyrok odgórnie skazujący, a przede wszystkim potępiający.

Sędzia społeczny, a raczej samozwańcza grupa sędziowska, stwarza wokół takiej osoby - dopiero sądzonej, a już skazanej - atmosferę obowiązkowego wykluczenia. Nie wolno jej współczuć, nie można próbować jej bronić, nie wolno wobec niej wykonać gestu pozytywnego. Jeżeli ktoś się na taki gest odważy, jest natychmiast bezwzględnie atakowany.

Ofiara ataku społecznego nie może liczyć na wysłuchanie, bo wszystko, co powie, każdy gest, każda próba manifestowania głębokości są traktowane jak pośrednie lub bezpośrednie wyznanie winy. Takie fanaberie jak domniemanie niewinności czy prawo wyjaśnienia oraz przekazania własnej interpretacji zdarzeń są przez tych „sędziów” odrzucane. W kraju dumnym z chrześcijańskich zasady z niej wynikające nie mają dużego pośzanowania.

W Krakowie przykładem zbrodni lustracyjnej jest casus Franciszka Ziejki, który odmówił pochowania

• Na zdjęciu:
autorka tekstu,
**Maria Anna
Potocka,**
na krakow-
skich Plantach
podczas
odsłonięcia
pomnika
„Hommage
à Maria Jare-
ma – Kraków
Jaremiance”
autorstwa
**Arystozofa
Bednarskiego**
(10. 11.2022)

FOT. JAKUB PORZYCKI

AGENCJA

WYBORCZA.PL

prezesa IPN-u w Panteonie Narodowym. „W zamian za to” IPN postanowił udowodnić mu współpracę. Intrygi poszukiwawcze były bardzo detaliczne, bo profesor niczego nigdy nie napisał ani nie podpisał. Więc oczywiście niczego mu nie znaleziono. Po paru latach przyszło uniewinnienie.

Profesor nie wytrzymał tego koszmaru i po trzecim udarze zmarł. Ale nawet wtedy intrygi nie ustały. Niektórzy pracownicy UJ - nawet profesorowie - mieli już „negatywnie skamieniały” pogląd na sprawę.

Propisowski prokurator Piotr Stawowy nawet zdecydował się na kuriozalną apelację przeciwko „trumnie”, domagając się kasacji wyroku uniewinniającego i pozostawienia sprawy nierozstrzygniętą. Sąd wykażal - nawet wtedy - dużą przytomność umysłu i postanowił pozostawić apelację prokuratora Stawowego bez rozpoznania. Udało się - niestety to coraz rzadszy przypadek - uchronić przed zasadą „patrzenia na bliźniego jak na źle przesłuchanego”. Ale zwycięski bohater został zamęczony.

 Jest ogromna różnica pomiędzy sądzeniem profesjonalnym a sądzeniem społecznym. W przypadku pierwszym osoba oskarżona nie jest obciążona odgórną niechęcią. Sprawa jest rozważana wyłącznie w odniesieniu do tematu oskarżenia i nie jest zatruta wcześniejszymi uprzedzeniami, niechęciami czy nawet odwieczną pogardą.

W przypadku drugiego modelu sądzienia „trigger”, czyli zapalnik w postaci mniej czy bardziej uzasadnionego oskarżenia nie jest najważniejszy, on jedynie uzasadnia eksplozję nienawiści. Wymierza się karę nie za to, co jest podawane jako przyczyna, tylko za to, co narosło przeciwko tej osobie w występującej przeciwko niej grupie społecznej.

Czasami do tej akcji dołącza druga siła - ktoś, kto doraźnie korzysta na zniszczeniu atakowanej osoby lub grupy społecznej. W tej piętrowej konstrukcji grupa inicjatorska działa na fali emocji, złych i często mocno przestarzałych, ale jednak emocji, a „gracz” sytuacyjny jedynie udaje emocje, a tak naprawdę cynicznie przeprowadza swoje prywatne interesy.

Przypadek rozgrywki piętrowej dobrze ilustruje „załatwienie” Tadeusza Słobodzianka. Akcja przeciwko niemu została zainicjowana podstępnie wewnątrz teatru. Były to lokalne rozgrywki mające na celu przejęcie teatru. Brzydka gra, ale uświęcona tradycją.

Podjęły ją - to już *signum* nowszych czasów - media społecznościowe. Można odnieść wrażenie, że są to chaszcze, w których kryją się istoty głodne czegoś bólu. To chirurdzy zła, dobierający odpowiednie narzędzia do drażnienia miejsc wrażliwych. Sytuacja teatru przeniosła się na ich obszary i nabrała „śmiertelnej” skuteczności.

Powstała atmosfera została wykorzystana przez organizatora instytucji do obniżenia szans w konkursie starego dyrektora i do wprowadzenia na to stanowisko osoby, która wtedy wydawała się politycznie i ideologicznie przydatna. Rządko w takich sprawach zwycięża sprawiedliwość i pokrętne intencje zostają ukarane. Tutaj właśnie tak się stało, bo wybrana osoba zawiodła nadzieje. Oczywiście teatr poniósł „dramatyczne” konsekwencje tego eksperymentu „niszczenia jednego na korzyść drugiego”.

W analizach kryminalistycznych i socjologicznych ofiara nie jest tak interesująca jak człowiek, który atakuje. On staje się głównym bohaterem dramatu. Dotyczy to również nagonek społecznych. To w oprawcy kształtuje się ofiara, to on ją definiuje i wyróżnia z neutralnego tła społecznego. Poznanie mechanizmu „kreowania ofiary”, poznanie procesu dokonującegocego się w oprawcy może pomóc w zapobieganiu tym samosądom, może powstrzymać ciąg zdarzeń przed „granicą krwi”.

Dobrym podsumowaniem tych rozważań wydaje się gorzka uwaga Jerzego Pomianowskiego: „W Polsce uśmiercono zasadę domniemania niewinności i tej straty nie odrobimy nawet przez sto lat” (rok 2005, cytowane z pamięci).

Otwarta przez PiS ścieżka oskarżeń i nienawiści oparła się właśnie na podważeniu tego fundamentu sprawiedliwości. Ponieważ podważenie domniemania niewinności usuwało „zbędne” ceregiele prawne, więc okazało się skuteczne. Zapewne dlatego podjęły ją inne opcje światopoglądowe, dotychczas dystansujące się od tak niegodnych metod. ●

W 1287 roku pewna Korsykanka podpisała sześćioletni kontrakt z weneckim kupcem, zobowiązując się towarzyszyć mu jako amaxia, czyli kochanka. W zamian za jedzenie, ubranie i 10 genueńskich funtów na pożegnanie.

Podrywce

Anna Brzezińska

Pod pozorem nauki cały czas poświęcaliśmy sobie” – opisywał w początkach XII w. swoje zaloty do Heloizy Piotr Abelard, jeden z największych filozofów średniowiecza, przez współczesnych zwany niekiedy człowiekiem, który wie wszystko. „Udzielenie lekcji było sprzyjającą okazją do potajemnych schadzek, tak upragnionych dla zakochanych. Nad otwartymi zwojami więcej było mowy o miłości niż o nauce, więcej pocałunków niż uczonych sentencji”.

Jego wybranka, 18-letnia Heloiza, słynęła w Paryżu z urody, czytania i pragnienia wiedzy. Jako kobieta nie mogła wstąpić na uniwersytet, toteż jej wuj, kanonik Fulbert, wynajął Abelarda, dwukrotnie od niej starszego, na nauczyciela podopiecznej i nieopatrnie zaoferował mu stancję we własnym domu. Efektem wspólnych lektur okazał się syn, któremu kochankowie – niełatwo się żyje dzieciom intelektualistów – nadali imię Astrolabiusz.

Heloiza i Abelard byli zakochani i szczęśliwi, lecz kanonik Fulbert pałał zrozumiłą żądzą zemsty za zhańbienie siostrzenicy, na dodatek pod jego dachem. Usiłując go ułagodzić, Abelard ją poślubił, zresztą wbrew protestom samej Heloizy, która była zdania, że uprawianie filozofii nie idzie w parze z małżeńskimi obowiązkami i po latach pisała do Abelarda:

„Nie nęciły mnie nigdy przywileje małżeńskie ani żadne bogactwa. Nie chciałam nigdy, jak sam wiesz najlepiej, spełniać swej woli ani szukać przyjemności dla siebie, ale we wszystkim pragnęłam być tylko twoją radością”.

Ślub utrzymywano w tajemnicy, by nie przekreślić uniwersyteckiej kariery Abelarda, który jako człowiek żonaty nie mógłby wykładać. Chcąc powściągnąć plotki, Abelard umieścił Heloizę w klasztorze w Argenteuil, co jej wuj uznał za oddalenie małżonki i kolejną zniewagę. Doprowadził do napadu i wykastrowania Abelarda. Ostatecznie zarówno on, jak i Heloiza wstąpili do klasztorów, pozostawiając legendę miłości wielkiej, tragicznej i – co wówczas rzadkie – opisaną przez samych zakochanych.

Korespondencja Heloizy i Abelarda pozwala w unikatowy sposób spojrzeć na ich historię miłosną z dwóch perspektyw, mężczyzny i kobiety, obojga wyjątkowych i wyjątkowo wykształconych. Zwyczajni ludzie w tamtych czasach raczej nie spisywali wspomnień ani nie zalecali się do siebie nad pismami św. Augustyna, bo w ogromnej większości nie byłiby ich w stanie przeczytać. Jednakże dalece nie wszyscy podzieliali rezerwę Heloizy wobec małżeńskich przywilejów. Wręcz przeciwnie, powszechnie aprobowane zaloty prowadziły do ołtarza, a ich jawność stanowiła potwierdzenie uczciwych intencji obu stron, przede wszystkim mężczyzny. Reputacja kobiety, zwłaszcza z elit, była bowiem ściśle związana z jej seksualnością. Narzeczona miała być cnotliwa, skromna i posłuszna. Nazbyt śmiałe zachowanie,

sekretnie spotkania i pocałunki – albo tylko plotki o nich – mogły ją wiele kosztować.

ZALOTY KOLEKTYWNE

W tamtych czasach takie porządne i zgodne z normami społecznymi małżeństwo postrzegano jako związek dwóch rodzin spojonych wspólnymi interesami ekonomicznymi czy politycznymi, nie zaś fanaberię dwóch zakochanych osób. Inicjowali je i negocjowali raczej rodzice niż państwo młodzi, często za pośrednictwem krewnych, sąsiadów lub dziewosłębów, choć oczywiście nie znaczy to, że skłonności przyszłych małżonków zupełnie pomijano. Zawarcie małżeństwa nie sprowadzało się do złożenia przysięgi, tylko było długotrwałym, rozłożonym na kilka etapów procesem, uroczystym i pełnym rytuałów, nie tylko kościelnych. Wieńczyło je przeniesienie panny młodej do nowego domu i pokładziny.

W cztery wieki po tragedii Abelarda syn kupca winnego z Kolonii Hermann Weinsberg – należąc już do wczesnonowożytnej kultury pisma – opisał w pamiętnikach przebieg takich oficjalnych zalotów. Zbliżał się właśnie do trzydziestki, kiedy rodzice postanowili go wyswatać. Zaproponowali mu sąsiadkę Weisgin Rigpin, owdowiałą właścicielkę sklepu sukiennego, starszą od Hermanna o lat 16. Ale Hermanna różnica wieku nie odstraszała, nadto uważał, że należy się żenić z osobą, którą się dobrze

• **Rycerz wyznający miłość szlachciance w XV wieku. Rekonstrukcja historyczna**
FOT. DEAGOSTINI/GETTY IMAGES

W DAWNYCH WIEKACH

zna. Oznajmił rodzicom, że skoro tak mu radzą i ponieważ dobrze zna Weisgin, będzie szczęśliwym człowiekiem, jeśli ona go zapragnie.

Następnego dnia patriarcha rodu Weinsbergów zagadnął Weisgin pod kościołem. Przyznała, że spodziewała się propozycji małżeństwa z Hermanem i jeśli stoi za nią wola boża, a jej rodzina ją zaaprobuje, ona także nie będzie się sprzeciwiała. W negocjacjach małżeńskich brały udział trzy rodziny: Hermann, Weisgin i rodzina jej zmarłego męża, a kontrakt małżeński uwzględniał prawa zarówno dwóch synów Weisgin z pierwszego małżeństwa, jak i dzieci, które jeszcze mogła urodzić. We wspomnieniach Hermann widać więc wyraźnie, że takie zaloty były przedsięwzięciem kolektywnym i ogromną rolę odgrywali w nich krewni i sąsiedzi.

Wszystko odbywało się na oczach innych członków społeczności, co pozwalało im okazać aprobatę dla planowanego związku – lub jej brak. Kiedy wieści o planowanym małżeństwie się rozeszły, do księdza przydreptał bowiem ojciec służącej państwa Weinsbergów i oznajmił, że Hermann nie może poślubić wdowy Rigpin, ponieważ przyobiegał małżeństwo jego córce, z którą notabene spłodził córkę. Hermann, owszem, nieślubną córkę posiadał i była jego oczkiem w głowie, ale nie zamierzał się wiązać z jej matką.

Gromada jego krewnych wybrała się do jej ojca i przekonała go, by wycofał zastrzeżenia. Niemniej kiedy w niedzielę Hermann i Weisgin składali w kościele, w obecności Boga i ludzi, przysięgę małżeń-

ską, patriarcha rodu Weinsberg na wszelki wypadek pilnował drzwi, by żadna porzucona narzeczona nie wtargnęła z pretensjami.

KLĄTWA SPADA NA GDAŃSK

Ale nie wszystkie dzieci były tak posłuszne jak Hermann, to zaś rodziło rozliczne problemy. Kościół stał na stanowisku, że małżeństwo, żeby było ważne, musi zostać zawarte dobrowolnie przez dwie osoby do niego zdolne. Zgodę tę wyrażano per verba de presenti (czyli: biorę sobie ciebie za męża/żonę) albo per verba de futuro (czyli wezmę sobie ciebie za męża/żonę), lecz w tym drugim przypadku obietnicę dopełniało skonsumowanie związku (pożycie). Sposób zawierania małżeństw ujednolicił dopiero sobór trydencki (1545-63). Wcześniej czyniono to w różny sposób, zgodnie z miejscową tradycją, niekiedy w domu czy rodzinnej kaplicy, bez obecności księdza, przez wymianę pierścieni czy wianków, a często wręcz bez świadków. Zdarzało się, że partnerzy rozmijali się w intencjach, inaczej interpretowali słowa wypowiedziane podczas zalotów lub po prostu jedno z nich wprowadzało drugie w błąd.

Co więcej, umacniane i uświęcane przez Kościół dobrowolne małżeństwo wchodziło w kolizję z bardzo starą tradycją władzy rodzicielskiej, która pozwalała rodzicom, przede wszystkim ojcom, aranżować związki potomstwa. Dlatego też młodzi zawierający związek wedle własnego upodobania musieli się liczyć z konsekwencjami, zwykle utratą posagu panny wydziedziczonej przez rozjuszonego rodzica. Najczęściej rodzice nie wyrażali zgody na małżeństwo z partnerem pośledniejszego rodu lub znacznie biedniejszym. Ale w przypadku Maurycego Ferbera i Anny Pileman z Gdańska powody sprzeciwu były bardziej złożone.

Maurycy i Anna poznali się na weselu przyjaciela Ferberów Jerzego Proykego, bo takie uroczystości, podobnie jak wizyty w kościele, dawały młodzieńcom z elitarnych rodzin okazję do poznania pilnie na co dzień strzeżonych panien i zalotów. Nie wiemy, co się dokładnie zdarzyło u pana Proykego, lecz w początkach 1498 roku ojciec Maurycego, stary burmistrz Jan Ferber, poprosił w imieniu syna o rękę Anny. Spotkawszy się z odmową, Maurycy wysłał do Anny list z żądaniem, by oznajmiła swojej rodzinie, że się zaręczyli, i zagroził, że gdyby wyszła za mąż za kogokolwiek innego, zrobi coś tak strasznego, że jeszcze po 10 latach będzie się o tym mówiło w mieście.

Indagowana przez rodziców, licząca zaledwie 16 lat Anna początkowo potwierdzała, że doszło do zaręczyn. Potem jednak przyznała, że mówiła tak wyłącznie z obawy przed Maurycym. Podczas spotkania się w kościele Mariackim krewni Anny zarzucili Ferberom, że Maurycy stara się o nią wyłącznie dla jej niezmiernie wysokiego posagu, a na dodatek ją szantażuje. Wobec odprawy Maurycy wniósł do

sądu biskupiego skargę o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa przez Annę. Przegrał, lecz niezrażony wraz z kilkoma świadkami udał się po sprawiedliwość do Rzymu, gdzie powołano specjalną komisję papieską do rozpatrzenia sprawy.

Maurycy okazał w Rzymie fragment sukni, który Anna jakoby podarowała mu na znak ich wzajemnych przyrzeczeń. Tymczasem w Gdańsku burmistrz Henryk von Suchten wymusił na jakichś dwóch kobiecinach zeznanie, że to one nieświadomej Annie ten materiał z sukni wycięły; po uwolnieniu jedna odwołała zeznanie.

Maurycy nadal procesował się wytrwale nawet wtedy, gdy w cztery lata po feralnym weselu Annę wydano za mąż za syna von Suchtena, wypada się więc zgodzić z mediewistką Beatą Możejką, że na przeszkodzie małżeństwa Anny i Maurycego mogły stanąć przede wszystkim ambicje burmistrza von Suchtena, który konkurował z Farberami i o wpływy w radzie, i o posaźną pannę. Kres tej mało budującej awanturze – z powodu której Gdańsk został nawet obłożony klątwą papieską – położył dopiero rozkaz króla Aleksandra Jagiellończyka. Wkrótce potem Maurycy przyjął święcenia i zrobił w Kościele karierę zwieńczoną godnością biskupa warmińskiego.

PORWANIA Z MIŁOŚCI I NIE TYLKO

Trudno po wiekach rozstrzygnąć, czy Maurycy mówił prawdę i Anna wyparła się obietnicy małżeństwa pod presją rodziców. Niemniej posłuszeństwa od córek wymagali nie tylko rodzice posażnych patrycjuszek, ale i małopolskich chłopcy z czasów późnego średniowiecza, fascynująco opisanych przez Małgorzatę Kołacz-Chmiel. Wprawdzie poznamy te sprawy z akt procesów o stwierdzenie nieważności małżeństwa wytaczanych przez niechętne panny lub zawiedzionych małżonków, czyli ze sformalizowanych relacji spisywanych na potrzeby procesowe, lecz w tych przypadkach trudno w ogóle mówić o zalotach.

Na przykład Elżbieta, córka Benedykta, kmiecia ze wsi Chełm nieopodal Szczyrzyc, zeznała, że rodzice usiłowali ją biciem i groźbami nakłonić do posłuszeństwa, gdy zaś to zawiodło, przytrzymywali ją w kościele. Pomimo oczywistego fizycznego przymusu Elżbieta nie wypowiedziała słów przysięgi małżeńskiej, co nie powstrzymało kapłana przed pobłogosławieniem związku. Następnie Elżbietę zawleczono do izby i zamknięto z małżonkiem, by ten skonsumował związek. Ponieważ całą noc płakała i stawiała opór, mężczyzna zrezygnował i wniósł do sądu o stwierdzenie nieważności małżeństwa. Warto dodać, że ojciec Elżbiety oznajmił w sądzie, że córka ma robić to, co on chce, i że wolałby ją widzieć martwą niż taką nieposłuszną.

Naturalnie niektóre dzieci sprzeciwiały się małżeństwu aranżowanym przez rodziców, uciekając się do różnych strategii, od padania z płaczem do stóp po uprowadzenie będące skądinąd plagą średniowiecza.

Dzieci sprzeciwiały się małżeństwu aranżowanym przez rodziców, uciekając się do różnych strategii, od padania z płaczem do stóp po uprowadzenie będące skądinąd plagą średniowiecza. Choć władze i świeckie, i kościelne zakazywały porywania panien, w praktyce sądowej traktowano je pobłaźliwie

Choć władze i świeckie, i kościelne zakazywały porywania panien, w praktyce sądowej traktowano je dość pobłażliwie, zwłaszcza jeśli kobieta oświadczyła, że podążyła za swoim porywaczem z własnej woli.

Ofiarą takiego ukartowanego porwania padła Eleanor West, która latem 1382 roku w czasie przejażdżki z matką i bratem wpadła w zasadzkę. Jej ojciec żołądkował się, że gromada nikczemników uzbrojonych w miecze, luki i strzały zasadziła się na jego córkę w leśnej gęstwinie i tak przeraziła jej matkę, że teraz obawiają się o jej życie. W rzeczywistości porywacz był dobrze znany i ojciec niechętnie przyznawał, że Eleanor mogła być z nim w zмовie i jeśli się to potwierdzi, zaraz pozbawi ją posagu.

Jednakże 13 lat później matka Eleanor – która ewidentnie nie umarła ze strachu po napadzie – uposażyła w testamencie i córkę, i jej porywacza, i nawet ich syna. Najwyraźniej jak wielu innych kochających rodziców postanowiła pogodzić się z tym, czego nie mogła zmienić, a wszak o to właśnie w ukartowanym porwaniu chodziło.

Najczęściej ofiarami porwań padały panny lub wdowy, acz warto wspomnieć, że sąd w Antwerpii badał u schyłku średniowiecza sprawę pewnej Lijsbeth, która z pomocą dwóch współników porwała niejakiego Jana Peetersa. Młodzi spotkali się wcześniej na targu i zakochali w sobie, lecz ojciec Jana nie przystał na jego związek z ubogą Lijsbeth. Krewka dziewczyna postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i porwała wybranka. Z dala od despotycznego ojca młodzi wzięli ślub.

Niemniej za uprowadzeniami potrafiła kryć się brutalna przemoc wobec kobiet oraz chęć zagarnięcia majątku osieroconych dziedziczek. Czasami porwana i przetrzymywana z dala od bliskich panna pod przymusem rezygnowała z oporu i wyrażała zgodę na małżeństwo, zwłaszcza jeśli porywacz uciekł się do gwałtu. Niekiedy jednak do małżeństwa nie dochodziło pomimo porwania i gwałtu, jak na przykład w przypadku szlachetnie urodzonej Agnieszki Nieparckiej, której burzliwe losy zrekonstruował Witold Brzeziński.

Osierocona przez ojca Agnieszka miała zaledwie 12-13 lat, kiedy w 1472 roku jej dwór najechał w pokaźnej gromadzie zbrojnych sąsiad Mikołaj Borka z Osiecznej, wdowiec i syn kasztelana nakielskiego. Uprowadził Agnieszkę z kościoła, gdzie wraz z matką słuchała mszy, gwałtem pozbawił ją dziewictwa i przetrzymywał, szarpiąc i bijąc. Uwolniona przez starostę z polecenia króla Agnieszka oskarżyła Mikołaja o gwałt. Zaocznie go skazano i nakazano, by zdał się na łaskę porwanej panny oraz jej krewnych co do życia lub śmierci i zapłacił odszkodowanie – czego nie uczynił. Dopiero w 1487 Agnieszka, wówczas już zamężna z zupełnie innym mężczyzną, oświadczyła, że otrzymała od Mikołaja Borka zadośćuczynienie, cokolwiek się pod tymi słowami kryło.

ZWIĄZKI WYCZAROWANE...

Nie znaczy to oczywiście, że tylko mężczyźni uciekali się do przemocy, by zdobyć upatrzoną osobę, acz w średniowieczu i epoce wczesnonowożytnej kobietom najczęściej przypisywano przemoc nie fizyczną, tylko magiczną. Wierzono, że z upodobaniem wykorzystują zaklęcia, dekokty, woskowe figurki czy świece, by zdobyć upragnionego mężczyznę, naruszając za pomocą magii miłosnej jego wolną wolę, a na dodatek porzucone się mszczą, przysparzając niewiernym kochankom uszczerbków na płodności. W średniowiecznych źródłach zachowało się mnóstwo wzmianek o kobietach stosujących magię miłosną i powszechna musiała być wiedza o rozmaitych napitkach z dodatkiem krwi miesięcznej lub zaklęciach sprawiających, że mężczyzna nie zazna spokoju, póki nie zaspokoi pożądania z tą konkretną kobietą. Podobne praktyki postrzegano jako grzech i zabobon, lecz w średniowieczu



▲ **Abelard i jego uczennica Heloiza, obraz Edmunda Blaira Leightona z 1882 roku**

FOT. NIDAY PICTURE LIBRARY / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

▼ **Randka w gondoli w XV-wiecznej Wenecji. Rycina według rysunku z 1903 roku**

Jacques'a Clementa Wagraza FOT. DEA / BIBLIOTECA AMBROSIANA / GETTY IMAGES



rzadko karano je śmiercią, gdyż stosy miały zapłonąć w całej Europie dopiero w epoce wczesnonowożytnej.

Zwyczaj podejrzanie o czary formułowano, jeśli mężczyzna zapalał zagadkową i niezrozumiałą dla otoczenia miłością do kobiety, którą uważano za nieodpowiednią. Typowa wydaje się historia niejakiej Bartholomei, wdowy z Vaccoli, która przez dwa lata mieszkała z Ciucchino del Fu Vanuccim, który, a to pech, miał żonę. Bartholomea urodziła mu córkę, a w 1359 roku znów zaszła w ciążę, więc nie była to przelotna miłostka. Przed sądem kościelnym świadkowie wyrażali wielkie zdumienie, że Ciucchino bije żonę i wyrzucił ją z domu, by zamieszkać z Bartholomeą, która jest przecież od ślubnej małżonki starsza i brzydsza.

Niepojęte zachowanie Ciucchino tłumaczono czarami, co notabene zwalniało go od winy, bo jako zaczarowany nie mógł wszak odpowiadać za swoje niegodziwości wobec połowicy. Bartholomea zdołała przekonać sąd, że nie jest czarodziejką. Długotrwałego i uporczywego cudzołóstwa nie mogła się jednak wyprzeć, więc pod groźbą ekskomuniki i dożywotniego wygnania nakazano się jej trzymać na 5 mil z daleka od Ciucchino, jego żony i całego miasteczka.

...I NIEDOBRANE

Związki osób niedobrych stanem raczej nie mogły liczyć wówczas na aprobatę. Na przykład w połowie XV wieku Florencję wzburzył romans Lusanny, córki krawca z Dalmacji, z Giovannim di Ser Lodovikiem della Casą. Giovanni jako potomek z jednego z najzamożniejszych rodów górował nad wybranką majątkiem i znaczeniem. Mimo to – zeznała Lusanna w sądzie – Giovanni zalecał się do niej z zapalem już za życia jej męża, co wydaje się prawdopodobne, bo wedle zeznań świadków była niezmiernie piękną kobietą. Wedle Lusanny Giovanni zachowywał się, jak to czynią zakochani, czyli snuł się za nią po ulicach i kościołach, które, choć księża surowo ganili takie zachowanie, dawały okazję, by się sobie przyjrzeć i poflirtować.

Kiedy owdowiła, Giovanni rozzuchwilił się jeszcze bardziej i zaczął spacerować przed jej domem. Brat Lusanny, obawiając się skandalu, poprosił wspólną znajomą, żeby z nim porozmawiała i wywiedziała, jakie ma intencje. Giovanni wyznał, że kocha Lusannę i pragnie ją poślubić. Ale kiedy brat zażądał, by odbyło się to w obecności notariusza – u którego we Florencji zwyczajowo sporządzano kontrakt małżeński – Giovanni odmówił z obawy, że ojciec go wydziedziczy. Wesela odbyło się więc w sekrecie, w obecności zaprzyjaźnionego mnicha. W kolejnych miesiącach zakochani we Florencji zachowywali swój związek w tajemnicy, lecz w podmiejskiej willi brata Lusanny żyli jawnie jak mąż i żona. Jakież więc było zdumienie, kiedy osiem miesięcy później, już po śmierci ojca Giovanniego, ten zawarł kontrakt małżeński z 15-letnią Mariettą pochodzącą z jednego z najprężniejszych patrycjuszowskich rodów Florencji.

Upokorzona Lusanna oskarżyła Giovanniego przed sądem biskupa o bigamię, ten zaś przyznał – acz nie bez oporu – że obiecywał Lusannie małżeństwo, lecz to ona, owdwieńnię pożądaniem, już za życia męża, wiele lat temu, zainicjowała romans, bo był młody i dobrze wyposażony. Nigdy jej jednak nie poślubił. Jego świadkowie twierdzili, że cieszyła się złą opinią, miała innych kochanków, a fasadę domu jej męża niejednokrotnie przystrojono rogami, czyli zgodnie z miejscowym zwyczajem wytykano mu niewierność małżonki. Opisywali ją jako niewiastę nieskromną, próżną i beczelną z powodu swojej urody, która bezwstydnie patrzyła na ulicach na mężczyzn, zamiast jak przyzwoite niewiasty spuszczać wzrok. Kreślili obraz niemoralnej cudzołżnicy, która wdała się w romans z kawalerem, teraz zaś podstępem próbuje wymusić małżeństwo. Wprawdzie biskup dał wiarę ko-

biecie, lecz Giovanni odwołał się do papieża i wykorzystawszy swoje koneksje i związki z Medyceuszami, uzyskał satysfakcjonującą dla siebie wyrok.

CHŁOPKI MOGŁY WIĘCEJ

Historia Lusanny uzmysławia, w jak niebezpiecznej sytuacji znajdowały się kobiety, jeśli uległy zalotom mężczyzny i rozpoczęły pożycie bez zgody obu rodzin, bez kontraktu małżeńskiego, jawnego ślubu i związanych z nim rytuałów. Niemniej mimo wysiłków Kościoła potępiającego wszelką pozamałżeńską i pozaprokreacyjną seksualność, mężczyźni uwodzili kobiety, a kobiety mężczyzn.

Wśród plebejuszy panowała znaczna tolerancja dla przedmałżeńskich relacji seksualnych, o ile odbywały się dyskretnie, a gdy panna zaszła w ciążę, kończyły przed ołtarzem. W przeciwieństwie do córek rycerzy czy patrycjuszy plebejuszki miały sporo okazji do spotkań z młodymi mężczyznami z dala od czujnego wzroku rodziców.

Nawet u kresu średniowiecza, kiedy coraz mocniej podkreślano, że miejsce cnotliwej kobiety jest w domu, większość córek chłopów albo rzemieślników musiała wykonywać prace w obejściu czy warsztacie, pracować w polu, wypasać zwierzęta, czerpać wodę i prać w rzece, chadzać na targ i na różne sposoby uczestniczyć w życiu wspólnoty, co w oczywisty sposób sprzyjało zalotom.

Podczas lektury akt procesowych trudno się oprzeć wrażeniu, że zaloty zwyczajnych ludzi nie przypominały wyczynów bohaterów romansów rycerskich ani elitarnych zabaw w dworną miłość, a ich głównym elementem była obietnica małżeństwa oraz współżycie. Lecz wrażenie pośpieszności i powierzchowności zalotów może być mylne, w źródłach nie zapisano bowiem wszystkich słów, gestów, spojrzeń oraz podarunków, tylko okoliczności istotne dla sprawy lub te, które zainteresowani pamiętali i potrafili przytoczyć.

Na przykład w 1425 roku Jadwiga Drozdówna z Gołębina w Wielkopolsce zeznawała, że Piotr Ratajczak w domu swojej matki podczas żniw obiecał jej małżeństwo, a następnie pozbawił ją dziewictwa. Kiedy jednak zaszła w ciążę, jakoś o przyrzeczeniu zapomniał. Piotr przed sądem przyznał, że Jadwiga była dziewczką, lecz obietnicy małżeństwa się wyparł. Sąd dał mu wiarę i nakazał ustalić z Jadwigą odszkodowanie za wianek, które miał jej wypłacić. Trudno się więc spierać z Magdaleną Binią-Szkopek analizującą XV-wieczne sprawy wnoszone przed oficjalną poznańskiego, że jedynie potwierdzenie woli małżeństwa w obliczu Kościoła zabezpieczało interesy kobiety, naturalnie jeśli w przeciwieństwie do Heloizy chciała wyjść za mąż.

Warto jednak pamiętać, że w dokumentacji procesowej widzimy głównie skonfliktowane pary. Zabawa, choćby – jak wielokrotnie utyskiwali kaznodzieje – bardzo swawolna, podczas dożynek bądź innych wiejskich uroczystości, na odpuszcie, pielgrzymce lub podczas karnawału mogła doprowadzić do bardzo szczęśliwego związku, acz niekoniecznie małżeństwa. Wiele par po prostu mieszkało razem, z czasem legalizując związek lub nie.

Takie szczęśliwe pary jesteśmy w stanie wychwycić w źródłach na przykład wówczas, gdy oskarżono je o niemoralność i cudzołóstwo, jak to się przytrafiło 40-letniemu garbarzowi, Guillaume’owi Baudry’emu. Indagowany przez sąd w Brie w 1501 roku zeznał, że od 10 czy 11 lat dzieli życie z niejaką Cecilią la Bernadete. Obiecali sobie małżeństwo, mieszkali razem w wielu miejscach, wielokrotnie się przeprowadzając, i wszędzie nazywali się mężem i żoną. Jak wyjaśnił Guillaume, gdyby doczekali się dzieci, poślubiłby Cecylię natychmiast. Skoro ich jednak nie mieli,

nie czuli potrzeby potwierdzenia związku w obliczu Kościoła.

ZOSTAŃ MĄ AMAXIĄ

Wbrew obiegowym opiniom związki i rodziny w średniowieczu przybierały bardzo różne formy, nie zawsze zgodne z przepisami, normami i oczekiwaniami moralistów, którzy widzieli kobiety jako żony, mniszki lub ładacznice. Rzeczywistość społeczna była znacznie bardziej złożona. Aż do późnego średniowiecza konkubinaty traktowano dość pobłażliwie, jeśli wchodzili w nie kawalerowie i panny. Na przykład w 1288 roku sąsiedzi niejakej Giucciardiany, która utrzymywała się w Bolonii ze sprzedaży świec, olejków oraz ziół, teraz zaś została oskarżona o prostytucję, zdecydowanie wystąpili w jej obronie. Twierdzili, że Giucciardiana cieszy się dobrą reputacją, wszyscy utrzymują z nią kontakty towarzyskie i w ogóle jest porządną kobietą – oraz amaxią, czyli kochanką, pewnego studenta, co w Bolonii, mieście akademickim, nie budziło zdumienia ani moralnej odrazy.

Relacje tego rodzaju bywały ograniczone czasowo, ale nawet wówczas potrafiąno je formalizować. Na przykład w 1287 roku na Korsyce Johaneta Oliveti podpisała kontrakt z weneckim kupcem Markiem Bentramem, zobowiązując się towarzyszyć mu podczas kolejnych sześciu lat we wszystkim miejscach, do których będzie podróżował, jako jego amaxia, kochanka – w zamian za jedzenie, ubranie i 10 genueńskich funtów na pożegnanie. Nie wiemy, czy takie związki traktowano wyłącznie jako transakcję ekonomiczną i zaloty sprowadzały się do ustalenia ceny, czy też posiadały komponent emocjonalny, a kontrakt stanowił zabezpieczenie słabszej strony, czyli kobiety, na wypadek, gdyby uczucia mężczyzny w jakimś momencie gwałtownie i zaskakująco wychłodziły. Wiemy natomiast, że na długo przed skolonizowaniem małżeństwa przez miłość romantyczną i indywidualizm zdarzały się uczucia bezinteresowne i głębokie.

Zdaje się, że właśnie takie połączyło w połowie XV wieku weneckankę ze szlachetnego rodu Polisenę Cavatorę i Giovanniego Valiera, również z dworku weneckiej rodziny. Zalecał się do Poliseny wytrwale, przysyłał jej liściki, obiecywał dożgonną miłość i proponował małżeństwo. Nie zniechęcił się nawet wówczas, gdy złożyła śluby zakonne, choć nie wiemy, czy jej do tego nie przymuszono, bo na przykład nie miała posagu niezbędnego do zawarcia odpowiedniego małżeństwa. Giovanni nadal spacerował z nią po klasztornym dziedzińcu, a pewnej nocy zakradł się do jej celi i znów zaproponował jej małżeństwo. Dziewczyna odmówiła, lecz dalej się spotykali i wyznawali sobie miłość. Z czasem zostali kochankami. Kiedy urodziła mu syna, Giovanni ponownie prosił, żeby została jego żoną. Wreszcie razem uciekli.

Kiedy ich pochwycono, Giovanniego skazano na dwa lata więzienia oraz wysoką grzywnę – chyba że wyposaży Polisenę w okazały posag w wysokości 1000 dukatów i się z nią ożeni, czyli zaproponowano mu to, o co przez lata zabiegał, zabezpieczając zarazem interesy Poliseny kwotą posagową.

Zawarcie małżeństwa rozpoczynało nową fazę w życiu, niekoniecznie jednak pozbawioną czułych gestów. Pierwsze polskie zdanie zapisane w XIII wieku przez opata z Henrykowa – „Daj, acj ja pobruczę a ty poczywaj!” – zostało wszak wypowiedziane przez troskliwego małżonka, który postanowił wyręczyć żonę w ciężkiej pracy przy żarnach. Historia wprowadziła nie odnotowała, czy propozycja podziału obowiązków domowych zadziałała równie skutecznie jak magia miłosna, lecz jakkolwiek było, para dochowała się trzech synów. ●

Cytaty z korespondencji Abelarda i Heloizy w tłumaczeniu Leona Joachiumowicza.

Jasne strony dziejów

Najszersza kładka świata

Jerzy Giedroyc i jego współpracownicy
dali Polsce jeden z najjaśniejszych punktów
w jej intelektualnej historii

Brzeziecki

O fenomenie paryskiej „Kultury” i Instytutu Literackiego świadczy i to, że liczba publikacji na ich temat dorównuje chyba liczbie publikacji samego IL. Dzieło Jerzego Giedroycia nie przestaje fascynować, choć w tym roku minie już ćwierć wieku od śmierci Redaktora i ukazania się ostatniego numeru „Kultury”. Maisons-Laffitte wciąż trwa, udostępnia swoje archiwa, ma świetny serwis internetowy.

Przykładem żywotności IL jest wydawana od trzech lat wspólnie z Wydawnictwem Uniwersytetu Łódzkiego seria „Jerzy Giedroyc i...”, w której ukazują się antologie tekstów (także z „Zeszytów Literackich”), monografie naukowe, dokumenty związane z „Kulturą”.

O tym, jak ważną rolę w latach 1945-1989 odegrała paryska „Kultura”, nikogo nie trzeba przekonywać. Była jednym z najważniejszych ośrodków emigracji, podtrzymywała polskie życie intelektualne i stale szukała łączności ze społeczeństwem żyjącym między Bugiem a Odrą. Wydaje się to oczywiście, ale ten program wcale nie był taki oczywisty zaraz po wojnie – zwłaszcza hasło łączności z PRL budziło kontrowersje wśród tych, którzy państwa rządzonego przez komunistów, bez Lwowa i Wilna, nie uważali za prawdziwą Polskę.

W 1954 roku Giedroyc w liście do Czesława Miłosza pisał, że „Kultura” staje się „kładką” między krajem i Zachodem. Cieszyło go to, ale też trochę martwiło, bo „ograniczyć się tylko do roli kładki... to straszne”.

Ładna mi kładka! Giedroyc i jego współpracownicy zbudowali wspaniały most, dając Polsce jeden z najjaśniejszych punktów w jej intelektualnej historii.

Teksty poświęcone emigracji polskiej po 1945 roku, które ukazały się na łamach „Kultury”, pieczołowicie zebrali Rafał Stobiecki i Aleksandra Sylburska przy współpracy Jędrzeja Bończaka w tomie „Fetysze i fikcje”. Razem ze znakomitą wprowadzeniem, kalendarium, biogramami itp. tom liczy blisko tysiąc stron.

Poznajemy tużpowojenne dylematy Polaków na uchodźstwie, gdy zastanawiano się, jak zareagować na nową rzeczywistość. Odpowiadamy najważniejsze ośrodki emigracyjne, czytamy o dyskusjach i sporach w liczonym gronie emigrantów (także interakcja z wcześniejszymi pokoleniami emigracji), śledzimy debaty intelektualne Polaków na obczyźnie, ich życie codzienne, relacje

z krajem, relacje z uchodźcami z Europy Środkowo-Wschodniej i wreszcie obserwujemy reakcję na odzyskanie przez Polskę niepodległości.

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego i Stowarzyszenie Instytut Literacki Kultura ukazało nam świat przebogaty, wielobarwny, niby odległy geograficznie i czasowo, a jakoś nam bliski, bo przecież to także polska historia.

Giedroyc miał ambicję, by „przylegać do rzeczywistości”, dlatego bacznie śledził wydarzenia w Polsce i witał każdy przejaw liberalizacji w kraju. W 1957 roku Juliusz Mieroszewski zakładał, że dla demokracji i niepodległości spełnione muszą być trzy warunki – wyjście wojsk sowieckich, uznanie granicy na Odrze i Nysie przez zachodnie mocarstwa, udzielenie Polsce wydatnej pomocy gospodarczej. Mieroszewski był pewien, że wtedy „naród polski wypracuje w Kraju demokratyczny, społecznie sprawiedliwy ustrój odpowiadający woli i poglądom większości”.

Tak mniej więcej potoczyły się dzieje Polski. Coś stało się wcześniej, coś później – ale te warunki zostały spełnione. W proroctwie najważniejszego politycznego publicysty „Kultury” zwraca uwagę nacisk na to, że to naród w kraju ma siłę sprawczą. Już po upadku komunizmu Jan Nowak-Jeziorański w wywiadzie dla „Kultury” zapewniał, że nie zna ani jednego aktu rządu Mazowieckiego, który byłby narzucony przez obce mocarstwo. I choć nie wszystkie decyzje rządu go zachwycaly, uznawał, że naród polski jest już suwerenem.

Giedroyc dodawał, że emigracja ma jednak sporo do zrobienia w kwestiach historyczno-kulturowych. Redaktor miał rację, zaś tom „Fetysze i fikcje” jest wspaniałym wypełnieniem jego testamentu. ●



„Fetysze i fikcje.
Antologia tekstów
poświęconych emigracji
polskiej po 1945 roku
opublikowanych na
łamach »Kultury«”

redakcja Rafał Stobiecki,
Aleksandra Sylburska
Łódź – Paryż 2024

LEĆ PROSTO W ATOMOWĄ *chmurę*

• Załoga brytyjskiego okrętu HMS Narvik obserwuje obłok unoszący się po próbie atomowej, przeprowadzonej 16 maja 1956 roku na Wyspach Monte Bello u zachodnich wybrzeży Australii

FOT. CENTRAL PRESS / GETTY IMAGES

Ubrani w krótkie spodenki, koszulki i sandały żołnierze siedzieli w rzędach na ziemi. Powiedziano im tylko tyle, żeby odwrócili wzrok. Nastąpił błysk, który „zapalił niebo”. Gordon Coggon zasłonił oczy rękami i zobaczył kości w swoich dłoniach i krew płynącą przez żyły, jakby patrzył na zdjęcie rentgenowskie. Następnie poczuł intensywne ciepło, jakby ktoś „pchał ogień przez jego brzuch”. Koledzy dookoła wzywali swoje matki. Coggon odwrócił się i spojrzał na grzyb atomowy rozlewający się w ciemnoczerwoną, niebieską i zieloną masę.

– To był niesamowity widok. Ale jednocześnie przerażający – wspomina.

Osiemnastolatek spod Doncaster odbywał obowiązkową służbę wojskową i w 1957 roku znalazł się na Wyspie Bożego Narodzenia. 8 listopada 30 km od wybrzeża zdetonowano w atmosferze bombę wodorową nazwaną Grapple X. Kilka miesięcy później 2,5 km od wybrzeża armia brytyjska przeprowadziła swój najpotężniejszy test. Grapple Y miała moc 3 megaton, 112 razy większą niż Fat Man zrzucona przez Amerykanów na Nagasaki.

Tym razem żołnierze dostali odzież ochronną i okulary. Ale popełniono fatalne błędy: eksplozja nastąpiła zbyt blisko ziemi, a była pora deszczowa. Radioaktywny „czarny deszcz” nieoczekiwanie spadł na okręty, żołnierzy i rdzennych mieszkańców, których potem przymusowo przesiedlono.

ŻYCIOWA OKAZJA

– Musimy mieć tę rzecz, bez względu na koszty. Musimy mieć na niej cholerną Union Jack – oświadczył brytyjski minister spraw zagranicznych Ernest Bevin w 1947 roku. Mówił o bombie atomowej. Wielka Brytania właśnie opuściła niepodległe Indie i szykowała się do oddania kolejnych kolonii. Broń jądrowa miała jej pomóc utrzymać status mocarstwa.

Londyn zainicjował program atomowy o kryptonimie Tube Alloys podczas II wojny światowej. Oryginalnie był on częścią amerykańskiego projektu „Manhattan”, ale w 1946 roku Stany Zjednoczone przestały dzielić się technologią nuklearną z sojusznikami.

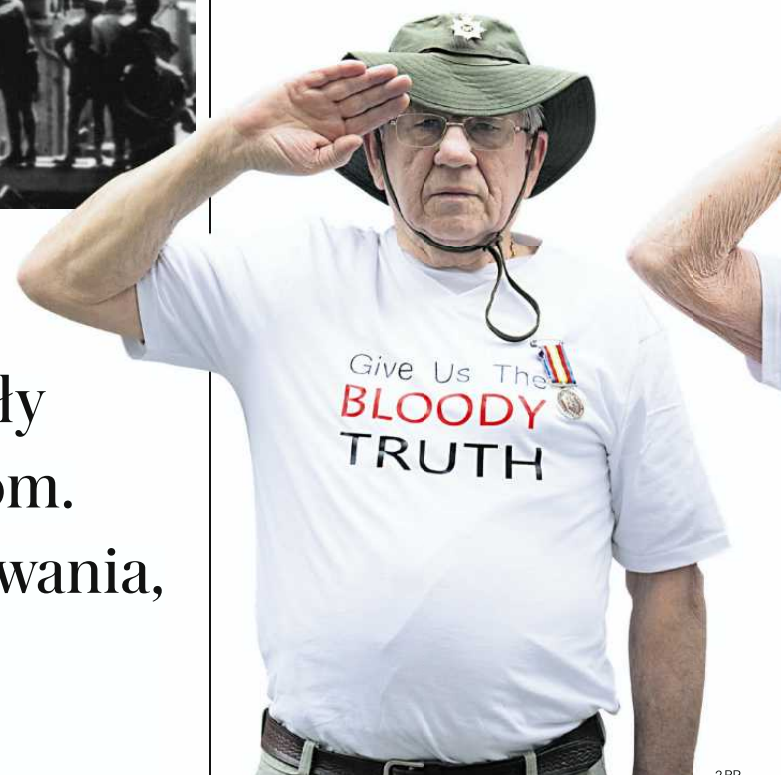
W październiku 1958 roku miało wejść w życie moratorium między USA a ZSRR o zakończeniu testów atmosferycznych. Aby stać się trzecią potęgą nuklearną na świecie, Wielka Brytania musiała działać szybko, samodzielnie, bez względu na koszty materialne czy ludzkie.

Testowanie broni nuklearnej w pobliżu Wysp Brytyjskich było politycznie niewykonalne, więc kłopot wyeksportowano na odległe ziemie, których Londynowi wciąż nie brakowało. Najlepiej na te „bezludne”;



Robert Stefanicki

Wielka Brytania zaprzecza, że testy broni jądrowej zaszkodziły uczestniczącym w nich żołnierzom. Wydaje miliony nie na odszkodowania, lecz na procesy wytoczone przez weteranów.





garstkami tubylców nikt się nie przejmował.

W latach 1952-67 w Australii i na południowym Pacyfiku Brytyjczycy zdetonowali łącznie 45 bomb atomowych i wodorowych oraz przeprowadzili setki eksperymentów radioaktywnych. Ich świadkami było ponad 39 tys. żołnierzy i naukowców.

Dla młodych poborowych dorastających w powojennej biedzie wyjazd do tropikalnego raju wydawał się życiową okazją. Grzali się w słońcu, pili piwo, jedli owoce morza, grali w piłkę plażową. O misji powiedziano im niewiele. Starszy oficer poinformował marynarzy z jednego okrętu, że „zaraz doświadczą czegoś, czego nikt inny na świecie nigdy nie zobaczy”. To, że byli ofiarami eksperymentu na ludziach, zrozumieli dużo później.

Żołnierzy ustawiano na plażach blisko punktu zero, bez żadnych osłon. Później kazano im szukać w okolicy ptasich truchel i napromieniowanych szczątków. Piloci i dowódcy wypełnionych setkami ludzi okrętów dostawali rozkaz przelotu lub przepłynięcia przez grzyby atomowe. John Gower, kapitan okrętu HMS „Diana”, bohater arktycznych konwojów zaopatrujących Związek Radziecki w czasie wojny, napisał później relację z misji, w której twierdził, że „szefowie sztabu chcieli wiedzieć, jaki wpływ na okręty, ich zawartość, wyposażenie i ludzi będzie miała eksplozja atomowa”.

WIEDZIELI, ŻE SZKODZĄ

John Folkes miał 19 lat, gdy na atolu Maralinga kazano mu przelecieć przez radioaktywne chmury. – Można było w tym dostrzec zło. To jak patrzeć na diabła – wspomina w nowym filmie dokumentalnym BBC, „Britain’s Nuclear Bomb Scandal: Our Story”. Jego ręce trzęsą się od tego dnia. Badano mu w wojsku krew, lecz nigdy nie poznał wyników. Dożył 89 lat, ale ma raka prostaty, a niedawno zdiagnozowano u niego zespół stresu pourazowego.

U wielu weteranów i ich dzieci stwierdzono raka skóry, guzy, choroby serca, białaczkę, poronienia i wady wrodzone. W 2007 roku naukowcy odkryli, że weterani testów jądrowych z Nowej Zelandii mieli podobny wskaźnik uszkodzeń DNA jak pracownicy wysłani do sprzątania po katastrofie jądrowej w Czarnobylu w 1986 roku.

Kucharz Royal Air Force Brian Unthank był świadkiem detonacji dwóch bomb wodorowych o łącznej mocy równoważnej 320 bombom z Hiroszimy. Kilka miesięcy po powrocie do Wielkiej Brytanii z jego ust zaczęła tryskać krew. Potem stracił wszystkie zęby. Od tego czasu usunięto mu 93 nowotwory skóry. Jego pierwsza żona poro-



• **Żołnierz John L. Stanier w odzieży ochronnej przed ogrodzeniem strefy radioaktywnej na atolu Maralinga, 1956 rok** FOT. NATIONAL ARCHIVES OF AUSTRALIA

niła 13 razy w późnym stadium ciąży. Z jego sześciorga żyjących dzieci czworo ma wady wrodzone. Córka urodziła się z dwoma macicami, syn z dziurami w sercu, a inny ze wzrokiem skierowanym w przeciwnych kierunkach. Czwarte dziecko ma problemy z układem kostnym i żołądkiem. Wnuk urodził się ze złośliwym czerniakiem na czole. Stara dokumentacja medyczna Unthanka dziwnym trafem zaginęła.

85-letni Terry Quinlan, który w 1958 roku służył na Wyspie Bożego Narodzenia, powiedział BBC, że nabawił się zaćmy, utracił słuch i ma problemy z sercem. Po opuszczeniu wyspy rozwinęły mu się dwa guzy na boku tułowia, tak duże, że mógł „oprzeć na nich rękę”. Lekarze odkryli, że w jego klatce piersiowej tkwią potencjalnie radioaktywne odłamki.

Brytyjski establishment nie mógł się tłumaczyć niewiedzą. W 1946 roku amerykański genetyk Hermann J. Muller otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny za udowodnienie, że nie ma bezpiecznego poziomu promieniowania. W 1955 roku brytyjskiemu premierowi Anthony’emu Edenowi pokazano raport ostrzegający, że narażenie na promieniowanie uszkodzi DNA żołnierzy. – Szkoda, ale nie możemy na to poradzić – odparł.

AMNEZJA LABURZYSTÓW

Ofiarami prób byli także nieświadomi niczego tubylcy. W 1953 roku zdetonowano bombę na Emu Field w południowej Australii, ignorując ostrzeżenia o wietrze, który poniósł radioaktywną chmurę nad miasteczko Woomera, 500 km dalej. W ciągu kilku godzin mieszkańcy zaczęli zgłaszać dolegliwości. Yami Lester, który stracił wzrok i później został działaczem antynuklearnym, opisywał „mgłę cicho toczącą się przez drzewa mulga, czarną i błyszczącą, o oleistym wyglądzie”.

Na cmentarzu w Woomera ponad połowa działek z lat 50. i 60. XX wieku jest wypełniona grobami dzieci i niemowląt. Autopsje rzadko były przeprowadzane, dokumentacja pozostaje zapieczętowana w państwowym archiwum Australii.

Naukowcy z Uniwersytetu Sydney odkryli, że Aborygeni z ludu Tjarutja po

• **Brytyjscy weterani wojenni Terry Quinlan (po lewej) i Brian Unthank, przed Downing Street 19 marca 2024 roku. Do siedziby premiera przynieśli petycję, w której domagają się dostępu do brakującej dokumentacji medycznej i odszkodowania za odniesione obrażenia podczas testów nuklearnych w czasie zimnej wojny**

FOT. STEFAN ROUSSEAU - PA IMAGES / GETTY IMAGES

testach na Maralinga zgłaszali choroby, poronienia i wady wrodzone. W 1967 roku zamknięto ośrodek testowy w Maralinga, ale nadzieje Tjarutja na powrót na ojczystą ziemię okazały się płonne, bo Brytyjczycy pozostawili tam „wystarczająco dużo plutonu, aby zabić wszystkich na planecie”.

Po kilku nieudanych operacjach oczyszczania (polegały na zagrzebywaniu starych śmieci i wyrzucaniu piachu do morza) w 1993 roku Londyn w końcu zgodził się zapłacić Australii 20 mln funtów na pokrycie kosztów dekontaminacji.

Wielka Brytania jest jedynym poza Koreą Północną mocarstwem nuklearnym, o którym wiadomo, że nie wypłaciło odszkodowań weteranom testów. I ostatnią potęgą, która uparcie zaprzecza, że jej testy wyrządziły jakąkolwiek szkodę czy krzywdę. Zgodnych co do tego było 18 kolejnych rządów, bez względu na polityczną afiliację. Chociaż Partia Pracy obiecała w 2019 roku wypłacić 50 tys. funtów każdemu żyjącemu weteranowi, zapomniała o tym, kiedy w zeszłym roku odzyskała władzę.

KREW I MOCZ WETERANÓW

Atomowi weterani walczą o swoje od dziesięcioleci. W 1993 roku Ken McGinley i Edward Egan złożyli pozew, twierdząc, że ich prawa człowieka zostały naruszone przez narażenie na promieniowanie. Sprawa dotarła aż do Strasburga, gdzie ostatecznie upadła.

W 2012 roku brytyjski sąd najwyższy nie zgodził się na wniesienie roszczeń przeciwko ministerstwu obrony o przyjęcie odpowiedzialności prawnej i wypłatę odszkodowań lub przyznanie renty wojennej atomowym weteranom (spośród 22 tys. dostało ją kilkuset). Sędziowie niewielką większością głosów stwierdzili, że roszczenia się przedawniły.

Ale weterani stoją na straconej pozycji głównie dlatego, że trudno im udowodnić, iż to ekspozycja na promieniowanie spowodowała konkretny przypadek tej czy innej choroby.

W 2006 roku nastąpił mały przełom, gdy Brytyjczyk Roy Prescott, chory na raka płuc, dostał odszkodowanie od Amerykanów w wysokości 40 tys. funtów. Umożliwiła to ustawa podpisana przez prezydenta Ronalda Reagana zobowiązująca do wypłacania ryczałtu każdemu amerykańskiemu żołnierzowi, który był obecny podczas testu jądrowego i cierpiał na jedną z chorób wymienionych na liście.

Podobny program w Wielkiej Brytanii został zablokowany przez posłów Partii Konserwatywnej. Ministerstwo obrony odrzuciło wniosek Prescott’a o emeryturę wojenną, twierdząc, że nie ma wystarczających dowodów na związek jego choroby ze

służbą. Weteran zmarł kilka tygodni później w wieku 66 lat.

W marcu 2024 roku pozostali przy życiu weterani i wspierający ich aktywiści wezwali rząd do powołania specjalnego trybunału, który miałby zbadać sprawę, wypłacić odszkodowania i uczcić pamięć ofiar testów nuklearnych. W szczególności domagają się dostępu do wyników badań krwi i moczu pobieranych od nich w okresie zimnej wojny. Twierdzą, że próbki zostały przeklasyfikowane na „dane naukowe” i umieszczone w ośrodku badawczym ministerstwa obrony narodowej w Zakładzie Broni Atomowej.

W brytyjskim MON twierdzą, że przeszukano archiwa placówki i nie znaleziono w nich kwestionowanej dokumentacji medycznej. Jednak dziennikarka śledcza „Daily Mirror”, Susie Boniface, która od ponad 20 lat opisuje zamiatanie sprawy pod dywan przez władze brytyjskie, odkryła 150 wyników badań krwi żołnierzy, cywilów i rdzennej ludności, obejmujących pół wieku. Tylko trzy z nich są dostępne w Archiwum Narodowym. Kolejnych dziesięć zostało utajnionych, a pozostałe 137 nie ma numerów referencyjnych archiwum.

JAK ZUŻYTA AMUNICJA

Ministerstwo obrony nadal twierdzi, że niczego nie ukrywa. I zamiast na rekompensaty wydaje miliony na walkę z weteranami w sądach.

– Weterani nuklearni zapewniali nam bezpieczeństwo przez 70 lat, ale w zamian byli oszukiwani przez brytyjskie państwo – powiedział ich adwokat Jason McCue, cytowany w „Daily Mirror”. – Kolejne rządy odmawiały im prawdy i spokoju ducha. Byli traktowani jak zużyta amunicja: wyrzuć i lekceważeni przez tych, którzy mieli prawny i moralny obowiązek opieki. Oni i ich rodziny cierpieli przez dziesięciolecia z powodu niezmierzonego żalu, krzywdy i strachu. Gdyby cywilni lekarze mieli dostęp do ich dokumentacji wojskowej, mogłoby ich dzisiaj żyć znacznie więcej.

Z czasem problem sam się rozwiązuje – przy życiu jest już tylko mniej niż 10 proc. mężczyzn, którzy brali udział w testach nuklearnych na południowym Pacyfiku. A ci ostatni są już w takim wieku, że rak jest normą. Mimo to spory mogą trwać jeszcze bardzo długo.

„Większość [weteranów] może być martwa, jednak mutagenne skutki promieniowania są takie, że 'jest' całkiem możliwe, iż niektóre ofiary brytyjskiego programu nuklearnego z czasów zimnej wojny jeszcze się nie urodziły”, zauważa „Foreign Policy” w recenzji dokumentu BBC.

SKAŻONE WYSPY I ATOLE

Inne potęgi też budowały swój status nuklearny po trupach.

Francja przeprowadziła w Polinezji 193 próby nuklearne w latach 1966-96, narażając na promieniowanie miejscową ludność, pracowników i francuskich żołnierzy. Ostatni test atmosferyczny odbył się nad atolem Mururoa 17 lipca 1974 roku. Przewidywano, że chmura skieruje się na północ i rozplynie w górnych warstwach atmosfery, ale została zdmuchnięta w kierunku Tahiti, gdzie skutki opadu radioaktywnego mogło odczuć nawet 110 tys. osób.

Długo to ukrywano. Trzy lata temu wyciekł poufny raport wysłany z Paryża do rządu Polinezji, w którym wspomniano o „skupisku nowotworów tarczycy” na Wyspach Gambiera, które ucierpiały w wyniku opadu radioaktywnego z pierwszego francuskiego testu. Wyciekła też korespondencja, w której armia francuska przyznała po raz pierwszy, że aż 2 tys. spośród 6 tys. żołnierzy biorących udział w testach zachorowało na raka. Z raportu z 2021 roku wynika, że odszkodowania

otrzymało tylko 63 cywilów z Polinezji, a ponad 80 proc. roszczeń odrzucono bez podania przyczyny.

Francja przeprowadziła też 17 testów nuklearnych na algierskiej Saharze w latach 1960-66. Algieria była już niepodległa, ale Paryż zapewnił sobie pięcioletnią dzierżawę poligonów. „Radioaktywny pył nadal unosi się z Sahary... W tym sensie nawet sam piasek został zajęty przez kolonialną okupację”, napisała badaczka Jill Jarvis. Odszkodowanie od Francji uzyskał jeden Algierczyk.

Związek Radziecki od 1949 roku testował swoje bomby – 450 razy w ciągu 40 lat – w regionie semipalatyńskim w Kazachstanie. Szacuje się, że ucierpiało 1,5 mln osób. Miejscowi chorowali i umierali młodo. Kobiety cierpiały z powodu poronień, powikłanych ciąż i martwych urodzeń. Dzieci rodziły się z brakującymi kończynami, zespołem Downa i innymi niepełnosprawnościami. Lekarzom nie wolno było diagnozować nowotworów.

Dopiero po upadku komunizmu informacje o skażeniu wydostały się na światło dzienne. W niepodległym Kazachstanie narodził się masowy ruch antyatomowy, w 1991 roku rząd zamknął poligon jądrowy w Semipalatyńsku i zakazał wszelkich testów na swoim terytorium.

Chiny mają poligon w Lop Nur w Sinciangu (Turkistanie Wschodnim), gdzie w latach 1964-96 przeprowadziły co najmniej 40 eksplozji jądrowych. Japoński fizyk Jun Takada, wykorzystując swój model komputerowy do szacowania wzorców opadu, obliczył, że szczytowa dawka promieniowania przekraczała tę zmierzoną na dachu reaktora jądrowego w Czarnobylu po jego stopieniu. I że 194 tys. osób w Sinciangu mogło od tego umrzeć.

TRUJĄCY „ŚNIEG”

Stany Zjednoczone w latach 1946-58 przeprowadziły 67 prób nuklearnych na atolach Bikini i Enewetak w archipelagu Wysp Marshalla. Szczególnie fatalna była eksplozja z 1 marca 1954 roku nazwana Castle Bravo, która tysiąckrotnie przewyższała tę z Hiroszimy. Zaskoczyło to nawet naukowców przygotowujących test, którzy oczekiwali eksplozji 2,5 razy słabszej. Radioaktywny pył pokrył okoliczne wyspy, w tym zamieszkane. Najbardziej dotknięty był atol Rongelap.

– Nikt nie wiedział, że to odpad radioaktywny. Dzieci bawiły się w tym „śniegu”. Jadły go – opowiadał amerykańskiej Fundacji Dziedzictwa Atomowego minister zdrowia Wysp Marshalla. Potem zaczęła się choroba popromienna: ludzie zaczęli wymiotować, mieli pęcherze, tracili włosy.

Amerykanie ewakuowali mieszkańców Rongelap dwa dni po teście. Mogli wrócić dopiero po trzech dekadach. Badania wykazały, że 55 proc. zachorowań na raka w Rongelap było skutkiem eksplozji Castle Bravo. Kolejnym skutkiem było skażenie gruntu. Nic z tym nie robiono aż do roku 1977, kiedy to armia USA wysłała zespół dekontaminacyjny. Cztery tysiące żołnierzy przez trzy lata zebrało 85 tys. metrów sześciennych ziemi, upychając ją w dole pod betonowym sarkofagiem. Wiele lat później „New York Times” ustalił, że kombinezony i maski zakładali tylko na pokaz dla mediów. Na co dzień pracowali w szortach i bez koszul. Wielu zachorowało na raka.

Amerykanie detonowali bomby również u siebie, na poligonie w Nevadzie. Początkowo okoliczni mieszkańcy traktowali to jak rozrywkę. Badanie National Cancer Institute wykazało, że testy naziemne w Nevadzie mogły spowodować nawet 212 tys. nadmiarowych przypadków raka tarczycy. Kongres w 1990 roku uchwalił pierwszą wersję ustawy o rekompensatach, która pozwoliła rozdysonować ponad 2 mld dolarów pomiędzy narażonych na promieniowanie (zwanych downwinders, co można przetłumaczyć jako „nawietrzni”) oraz pracowników elektrowni jądrowych.

POWRÓCĄ ŚMIERCIONOŚNE TESTY?

Od II wojny światowej co najmniej osiem państw przeprowadziło 2056 testów nuklearnych, około jednej czwartej z nich w atmosferze, powodując długoterminowe szkody dla zdrowia ludzkiego i środowiska. Ponad 60 miejsc na całym świecie nosi piętno tych testów. Nawet te, które były zamknięte przez dziesięciolecia i częściowo oczyszczone, pozostają niezamieszkane.

Stany Zjednoczone przeprowadziły swój ostatni test 23 września 1992 roku, detonując w Nevadzie 20-kilotonowy ładunek. Rosja po rozpadzie Związku Radzieckiego nie przeprowadziła testu nuklearnego. W tym stuleciu prób dokonywała wyłącznie Korea Północna.

To się może zmienić. Jastrzębie z otoczenia Donalda Trumpa proponują wznowienie podziemnych testów broni jądrowej, dzięki temu Stany Zjednoczone miałyby „utrzymać przewagę techniczną i liczebną nad połączonymi chińskimi i rosyjskimi arsenałami nuklearnymi”. Wielu ekspertów w dziedzinie energetyki jądrowej uważa, że jest to niepotrzebne i groziłoby zakończeniem moratorium. Ich zdaniem testy w terenie da się dzisiaj zastąpić eksperymentami laboratoryjnymi albo symulacjami komputerowymi. Władimir Putin powiedział, że wznowi próby jądrowe, jeśli zrobią to USA. ●

NAWROCKI, OSTATNIA REDUTA PiS

Za poprzedniego prezesa IPN historycy mogli wydać książki niepasujące do linii ideologicznej Zjednoczonej Prawicy. Gdy nastał Karol Nawrocki niepokorni badacze są zsyłani do pracy w archiwum.

Z **DR. BARTOSZEM MACHALICĄ** ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI: Jak pan ocenia Karola Nawrockiego w roli prezesa Instytutu Pamięci Narodowej?
DR BARTOSZ MACHALICA, CZŁONEK KOLEGIUM IPN: Karol Nawrocki realizuje założenia polityki pamięci zgodnej z interesem PiS, choć w wielu obszarach sytuuje się na prawo od tej partii. PiS powołuje się na różne tradycje historyczne, nie tylko związane z endecją. Natomiast prezes Nawrocki wyrósł w tradycji narodowej, zarówno tej narodowo-demokratycznej, jak i narodowo-radykalnej, która w okresie międzywojennym odrzucała demokrację parlamentarną.

W jaki sposób Karol Nawrocki wpisuje się ze swoimi pogłębiami w główny nurt PiS?
– PiS mocno skręca w prawo, czego dowodem jest poparcie Nawrockiego w wyborach prezydenckich. Tę ewolucję widać doskonale na przykładzie stosunku tej partii do Marszu Niepodległości. Kiedyś był on krytyczny, PiS postrzegał narodowców raczej jako zagrożenie i tradycję obcą. Kontynuatorem tradycji endekich było przecież Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, nie Porozumienie Centrum, pierwsza partia Kaczyńskiego. Teraz politycy PiS starają się wręcz wprosić na tę imprezę. Nawrocki jest więc symptomem pewnej ewolucji PiS, jeszcze 15 lat temu ktoś taki zmieściłby się w tej partii, a na pewno nie byłby kandydatem na prezydenta. Dzisiaj jest naturalną częścią obozu Kaczyńskiego.

Które elementy działań prezesa IPN i które konkretne poglądy można osadzić w tradycji endeckiej?
– Symptomatyczne jest wzmocnienie kultu Żołnierzy Wyklętych w sytuacji, kiedy ta koncepcja opowiadania o przeszłości budzi

coraz większe kontrowersje. Karol Nawrocki i niektórzy historycy wrzucają do jednego worka rotmistrza Pileckiego, którego pamięć należy pielęgnować i „Burego”, o którym ten sam IPN pisał kilkanaście lat temu, że jego oddział popełniał zbrodnie noszące znamiona ludobójstwa. Poza środowiskami prawicowymi inni naukowcy i znaczna część opinii publicznej nie stosują tego rodzaju zabiegu, i rozdzielają te dwie grupy żołnierzy powojennego podziemia. Natomiast Karol Nawrocki wykorzystuje historię rotmistrza Pileckiego, aby legitymizować dowódców bliższych tradycji narodowej.

Co jeszcze?
– Konsekwentnie wymazuje z programów edukacyjnych i naukowych wątki związane z rocznicą wybuchu rewolucji 1905 roku czy postaci związane z tradycją socjalistyczną. Nawrocki przekazał również pieniądze na stworzenie centrum edukacyjnego im. Lecha Kaczyńskiego w Warszawie, mimo że już jedno działa z powodzeniem w stolicy w równie prestiżowej lokalizacji.

Jak radzi sobie z kierowaniem IPN?
– Jego poprzednik, dr Jarosław Szarek, jest wspominany jako prezes, który nie potrafił doprowadzić do finału wielu projektów, nie potrafił zarządzać tak dużą instytucją. Nawrocki zaczął kierować IPN nie tylko ze względu na program merytoryczny, ale też dzięki obietnicy sprawnego zarządzania wielką instytucją, która ma istotne znaczenia dla realizowania polityki historycznej kraju. Na Nowogrodzkiej uwierzono, że poprowadzi IPN twardą ręką, tak jak zarządził Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Członkowie kolegium IPN, którzy zasiadają w nim dłużej niż jedną kadencję i sprzyjają prawicy wielokrotnie wspominali, że dopiero przyjsie Nawrockiego uporządkowało badania naukowe, pojawił się spójny przekaz, wyznaczono kierunki badawcze i edukacyjne. Jeszcze za czasów prezesa Szarka niektórzy z historyków mogli wydać książki niepasujące do linii ideologicznej obozu Zjednoczonej Prawicy. Takim przykładem była biografia Mieczysława F. Rakowskiego autorstwa Michała Przeperskiego. Teraz niepokorni historycy są zsyłani za karę do pracy w archiwum. To przykład dr. Michała Siedziaki z oddziału IPN w szczecinie, którego ukarano w ten sposób za wydanie książki w wydawnictwie Europejskiego Centrum Solidarności.

Na cmentarzu w Woomera ponad połowa działek z lat 50. i 60. XX wieku jest wypełniona grobami dzieci i niemowląt. Autopsje rzadko przeprowadzano, dokumentacja pozostaje zapieczętowana w archiwum Australii



• Gdańsk, 20 listopada 2024. Debata prezesa IPN Karola Nawrockiego i posła PiS Przemysława Czarńka, podczas Pomorskiego Kongresu Pamięci Narodowej

FOT. MARTYNA NIEĆKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

Tajemnicą poliszynela jest fakt, że wielu badaczy terenowych oddziałów IPN, chcąc wydać książkę, szuka zewnętrznych wydawnictw. Obawiają się, że wydłużony proces decyzyjny uniemożliwi im chociażby uzyskanie habilitacji. Powszechnie znana jest sytuacja pracowniczek IPN, które w trakcie spotkania z prezesem Nawrockim zaśmiały się, po czym zostały zwolnione.

Jaka atmosfera panuje obecnie w IPN?
– Od czasów wyborów – obłożonej twierdzy. Panuje przekonanie, że IPN jest ostatnią czy jedną z ostatnich redut wolności w państwie rządzonym przez Donalda Tuska. Członkowie kolegium IPN wskazani przez Sejm poprzedniej kadencji mówią wprost o reżimie Tuska. Rzecz jasna, nie wszystkie osoby zatrudnione w IPN myślą w podobny sposób, w końcu pracuje tam 2,5 tys. osób i pewnie większość po prostu chce pracować, zarabiać, utrzymywać rodzinę. Natomiast bardzo widoczna jest grupa pracowników, która twierdzi, że wrogi reżim stara się zniszczyć IPN.

Dlaczego wspólnie z prof. Grzegorzem Motyką zagłosował pan w poprzednim roku przeciwko przyjęciu sprawozdania rocznego prezesa Nawrockiego?
– Po pierwsze nie zgadzam się zasadniczo z linią polityki pamięci, którą wyznaczył prezes, a po drugie z brakiem pluralizmu światopoglądowego. Jedynym ukłonem w stronę innych tradycji niż endecka jest ukłon w stronę historii ruchu ludowego. Sprawa jest dla wszystkich jasna: senatorowie Polskiego Stronnictwa Ludowego poparli kandydaturę Karola Nawrockiego na szefa IPN, bez ich głosów Instytutem kierowałby ktoś inny.

Prof. Antoni Dudek powiedział o Nawrockim, że jest skrajnie niebezpiecznym kandydatem i jako prezydent będzie stwarzał realne zagrożenie dla ładu demokratycznego.
– To niestety możliwe. Karol Nawrocki, co udowodnił w IPN, jest człowiekiem czynu, który realizuje cele polityczne. Przykładem działań z rozmachem są wojewódzkie i krajowe Kongresy Pamięci Narodowej. W tym roku główna impreza z tego cyklu odbyła się na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich i była demonstracją sprawności organizacyjnej prezesa. Szczególnie znamienny jest Pomorski KPN, gdzie obok stanowisk edukatorów historycznych znalazła się przestrzeń dla debaty Karola Nawrockiego z Przemysławem Czarńkiem w przededniu decyzji, który z nich będzie kandydatem PiS na prezydenta. Impreza, w której wzięło udział kilka tysięcy osób kosztowała ok. 1,5 mln zł.

W IPN Nawrocki nie musiał przejmować instytucji, musiał ją usprawnić. Natomiast to, że potrafi przejmować instytucję, pokazał w Muzeum II Wojny Światowej. Możemy sobie wyobrazić, że Karol Nawrocki jako prezydent RP wywoła potężny kryzys

konstytucyjny, ponawiając groźby rozwiązana parlamentu, naginając Konstytucję do swoich potrzeb w sposób, jaki obserwowaliśmy w kadencji Lecha Wałęsy.

Skąd te przypuszczenia?
– Chciałbym wierzyć, że Karolowi Nawrockiemu bliższa jest tradycja Narodowej Demokracji, a nie Katolickiego Państwa Narodu Polskiego. Wołałbym, aby Polska nie testowała prezydentury człowieka wyznającego poglądy, które wykluczają ze wspólnoty politycznej całe grupy społeczne, ponieważ Polakami mogą być wyłącznie katolicy i patrioci w wąskim tego słowa znaczeniu. Ale nie jest przypadkiem, że Nawrocki mówił o „genie polskości”. To nie jest włączająca koncepcja obywatelstwa.

Nawrocki zapowiedział, że nie będzie – wzorem poprzedników – zapalał świec chanukowych w Pałacu Prezydenckim.
– Powiedział, że swoje przywiązanie do wartości chrześcijańskich traktuje poważnie i będzie obchodził tylko święta, które są bliskie „jego osobie”. Zapomina, że nie wszyscy obywatele wyznają taką samą religię jak on. A głowa państwa powinna otaczać szacunkiem przedstawicieli wszystkich wyznań. Zapalenie świec chanukowych, życzenia złożone w dzień Bożego Narodzenia obchodzonego przez chrześcijan obrządków wschodnich, to gest włączający ich we wspólnotę. Rozumiał to Lech Kaczyński. Zapalenie świec chanukowych przez prezydenta RP, to powiedzenie, że w Polsce jesteście u siebie. A nawet, że warto być Polakiem. To ostatnie mówił swego czasu nawet Jarosław Kaczyński.
A kandydat Nawrocki czuje się wśród grup kibicowskich wyznających nacjonalistyczne poglądy jak ryba w wodzie i wysłał taki oto sygnał: po moim zwycięstwie nie wszyscy będą mogli czuć się dobrze we własnym kraju. Jako obywatel nie rozumiem, dlaczego Nawrocki zapowiada, że nie zapali jako prezydent świec chanukowych? Czy mu czegoś ubędzie od tego gestu? Widać jest przekonany, że przybędzie mu zwolenników, którzy byli zachwyceni działaniem Grzegorza Brauna. ●



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dr Bartosz Machalica

• (ur. 1985), historyk i politolog, zajmuje się dziejami najnowszy-
mi, Współzałożyciel Centrum im. Ignacego Daszyńskiego, człon-
kiem Kolegium IPN jest od czerwca 2023 roku

Antypolityka historyczna

„... Ukrów!”

Pojedynczy człowiek, obiekt konkretnego ataku, jest dla atakujących ucieleśnieniem zła przypisywanego całej grupie. Musimy wierzyć, że wzrost wiedzy redukuje uprzedzenia.

Janowski



Wiem, jestem monotematyczny, ale nic nie poradzę. 5 lutego, piękna pogoda, słońce; rodzinny spacer po parku. I nagle: – Widzisz, co napisali? Patrzę – na ścianie jakiegoś baraku, pięknie ozdobionej kolorowymi bohomazami, wybija się wielki napis czarnym sprayem: „Jebać Ukrów!” Miły nastrój prysł.

Pierwsza myśl, jaka przychodzi do głowy: kogo autor ma na myśli? Kto to są ci „Ukrzy” (czy „Ukrowie”, jakby jakieś plemię podobne do Orków)? Czy to pani z niedalekiej kwiaciarni, czy dziewczyna z pobliskiej kawiarenki, czy ekspedientki i ekspedientki z okolicznych sklepów? Czy koledzy i koleżanki moich synów ze studiów, czy ukraińscy naukowcy, z którymi spotykam się na seminariach i konferencjach?

Oczywiście nie. Autorzy hasel takich jak zacytowane powyżej, o ile wdadzą się w rozmowę z socjologiem czy dziennikarzem, z reguły mają trudność z wyjaśnieniem, kogo konkretnie mają na myśli. Nienawiść narodowościowa odnosi się do abstrakcyjnego tworu.

Kiedy zaś nienawiść ta przechodzi od hasel do pogromów, wtedy wprawdzie koncentruje się na niewielkich grupach lub jednostkach, ale nie jednostkowego w nich nie widzi.

Pojedynczy człowiek, obiekt konkretnego ataku, jest dla atakujących jedynie ucieleśnieniem zła przypisywanego całej grupie. Każde bliższe zapoznanie się z indywidualną biografią, z osobistymi cechami danego Ukraińca, Niemca, Żyda itp. mogłoby przecież zasiać u napaśników jakieś wątpliwości. Wróg ma być jeden, uogólniony, ten sam, choć uosabiany przez wielu poszczególnych ludzi.

A druga myśl powiązana jest z tamtą. Jeśli mamy w jakiś sposób zapobiegać takim postawom, to chyba jedyną drogą jest próba przełamania tego ogólnikowego obrazu abstrakcyjnego wroga i przebicia się do ludzi z jakimiś konkretnymi – innymi słowy, z jakąś wiedzą o Ukrainie. Jako ludzie w miarę racjonalni chyba musimy wierzyć (ludzie racjonalni też w coś muszą wierzyć) – że wzrost wiedzy redukuje, choćby trochę, obawy i uprzedzenia.

Generalnie nie sędzę, aby państwo było w stanie sensownie

wpływać na postawy społeczne. Tu jednak obawiam się, że społeczeństwo obywatelskie samo nie da rady. Musiałaby włączyć się szkoła. Nie mam kwalifikacji do doradzania pedagogom, mogę więc tylko pytać: Dlaczego nikt głośno nie mówi, że kwestia adaptacji Ukraińców przebywających w Polsce dotyczy nie tylko przybyszów, ale i ludności przyjmującej, większościowej. Ta ludność też musi być przedmiotem programów adaptacyjnych.

Dlaczego nie ma w programach szkolnych – na historii, języku polskim, geografii, mo- że i innych przedmiotach – niemal nic o historii, kulturze, literaturze, sztuce, języku, społecznych problemach gospodarczo-społecznych Ukrainy?

A także o tym, że Ukraińcy nie zabierają nam pracy, lecz przyczyniają się do naszego rozwoju gospodarczego i do wzrostu bogactwa Polski. Jaką wiedzę wyniesie ze szkoły uczeń, nawet do bry uczeń dobrego liceum, o problemach historycznych i współczesnych Czech, Słowacji, Węgier czy właśnie Ukrainy?

Jeśli ten brak zainteresowania był wybaczalny przed 24 lutego 2022 (choć moim zdaniem nie był), to po tej dacie i po napływie ukraińskich uchodźców wybaczalny już nie jest. Od początku wojny minęły już trzy lata. To naprawdę jest wystarczający czas, aby zmienić programy i podręczniki. Dlaczego PiS-owskie ministerstwo się na to nie zdobyło – szkoda gadać. Dlaczego obecne tego nie robi, nie potrafię pojąć.

Wiem, że na taką politykę posypałyby się gromy; że antynarodowa, że depolonizacja szkoły, że zdrada, i w ogóle to wszystko, co zawsze powtarzają polscy nacjonaliści o każdym działaniu obecnej koalicji rządzącej. Jedyne więc dla porządku zauważę, że to nie jest zdrada polskich tradycji narodowych, tylko ich urzeczywistnienie. Jeśli jest jakaś prawdziwa polska tradycja narodowa, to jest nią tradycja dawnej Rzeczypospolitej, państwa wielonarodowego i wieloreligijnego, a nasza postendecka prawica robi wszystko, żeby tę tradycję zastąpić fikcyjną, i niemającą oparcia w polskiej historii tradycją państwa monoetnicznego i jednojęzykowego.

I jeśli mogę sobie pozwolić na odrobinę złośliwości pod adresem MEN – zwalczanie uprzedzeń narodowościowych, szowinizmu i nienawiści do sąsiadów jest chyba żelaznym elementem światopoglądu lewicowego i powinno być przedmiotem troski Ministerstwa w nie mniejszym stopniu niż zwalczanie lekcji religii. ●



Zył w III wieku n.e. Był biskupem Nahars, czyli miasta Terni leżącego nieopodal Rzymu, bądź rzymskim kapłanem, ściętym za panowania cesarza Klaudiusza II Gockiego. Albo jednym i drugim.

Opiekował się chorymi, a także udzielał potajemnie ślubów zakochanym. Dlaczego potajemnie? Otóż ów Klaudiusz zabronił młodym mężczyznom wchodzić w związki małżeńskie. Uważał, że kawalerowie są lepszymi żołnierzami, bo żonaci mniej skłonni są wyruszać w bój, częściej myślą o domu i rodzinie i nie w głowach im wojaczka.

Tymczasem Walenty z Terni przyszłym legionistom ślubów udzielał, za co cesarz kazał go uwięzić, a następnie zgładzić. Stało się tak w roku 269 (najprawdopodobniej), ponoć 14 lutego.

W więzieniu jego strażnikiem był Asterius. Walenty nawrócił go, a także jego rodzinę. Sprawił także, że wzrok odzyskała adoptowana córka Asteriusa. W owej córce miał się zresztą Walenty zakochać, i przed śmiercią wysłać jej wiadomość podpisaną „od twojego Walentego”.... Choć ten szczegół dodano do historii Św. Walentego znacznie później, bo w roku XVIII.

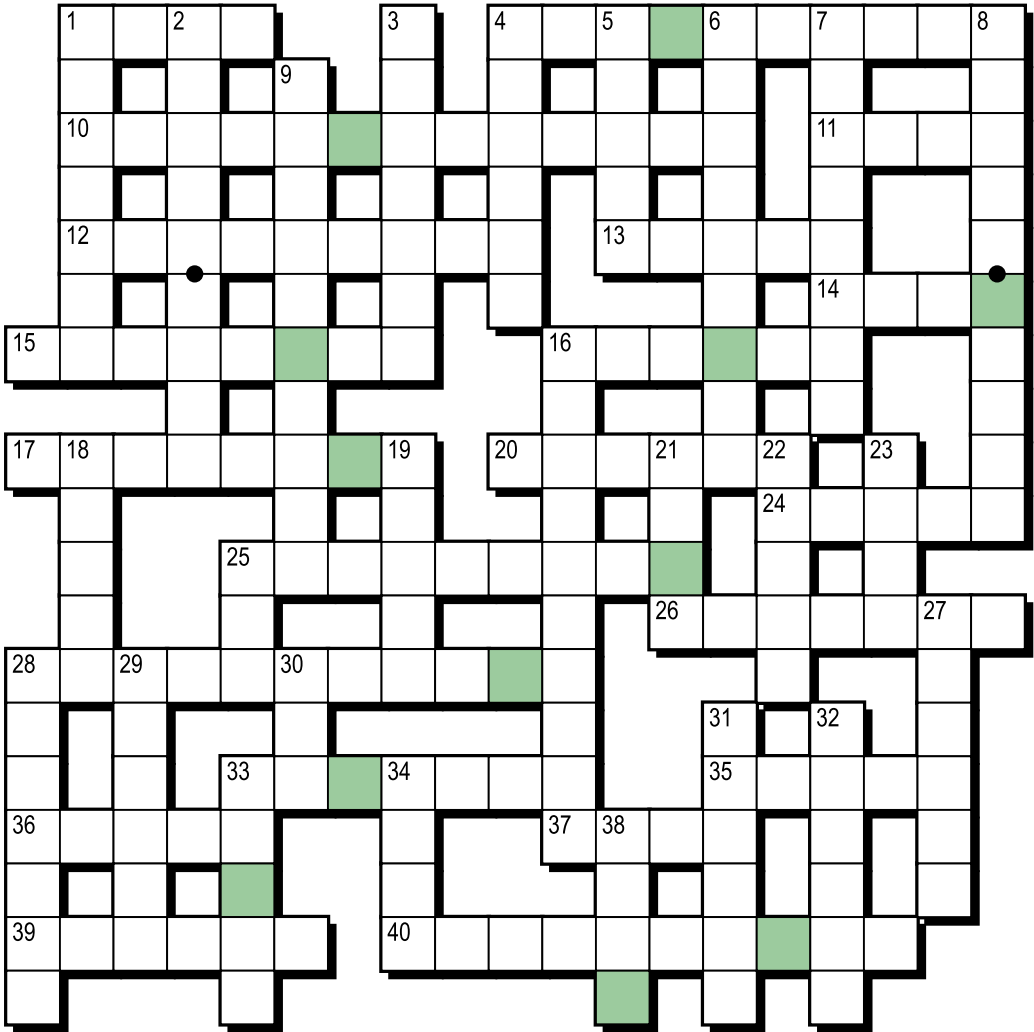
Tradycja walentynkowa rozwinęła się szczególnie w krajach anglosaskich. Wspominał o Dniu Św. Walentego, jako święcie zakochanych Geoffrey Chaucer, XIV-wieczny angielski poeta (ten od „Opowieści kanterberyjskich”), w poemacie „Sejm ptasi”, w którym Natura dobierała w pary ptactwo. Pisał w „Hamlecie” Szekspir, ustami Ofelii, wspominał w swych poematach Walter Scott.

Najstarsza zachowana „walentynka” pochodzi z XV wieku. Karol I Orleański, więziony do niewoli przez Anglików, pisał z londyńskiej Tower do swej małżonki, Bony z Armaniaków: „*Je suis desja d’amours tant né, Ma très doulce Valentinée*” (Jestem już chory z miłości, moja słodka Walentyńko).

Do Polski „Walentynki” dotarły nieco później, za sprawą Niny Kowalewskiej-Motlik, w latach 90. szefowej Harlequina. Znała święto ze Stanów Zjednoczonych, postanowiła przeszczepić je na nasz grunt, by podpromować wydawnictwo. Powstał kilkugodzinny blok programów telewizyjnych, przeprowadzono sondy uliczne, był teleturniej o miłości, konkurs na najbardziej całusną osobę w Polsce. Nazwę „Walentynki” mieli zaś wymyślić polscy widzowie.

Dziś jesteśmy już wprawdzie po Walentynkach, ale może u kogoś celebryta przeciągnie się na cały weekend? A poza tym nawet i bez serduszkowego święta warto dla siebie być miłym i okazywać uczucia. 15 lutego i w każdy inny dzień.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki” nr 141
z 8.02:

Poziomo:
3) spaghetti westerny,
9) polenta, 10) nacja,
13) Toskania, 14) pesto,
15) panna, 17) kawa,
18) marsala, 19) dieta,
21) pizzeria, 23) cannoli,
24) pulpety, 25) obiad,
29) oliwa, 31) ser,
33) gorgonzola, 35) kapusta,
37) wyspa, 39) chanti,
40) sól, 41) todaygi,
42) fasola.

Pionowo:
1) penne, 4) pepperoni,
5) gelato 6) trattoria,
7) warstwa, 8) sałatka,
11) cannelloni,
12) ananas, 16) amaretto,
20) zabaglione, 22) zupa,
24) pastisio, 26) bazylia,
27) carpaccio, 28) focaccia,
20) lody, 32) rukola,
34) risotto, 36) pasta,
37) wino, 38) sosy.

HASŁO:
SEREK MASCARPONE

SPRAWY SERCOWE

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 1)** serce miękkie jak ..., u kogoś łagodnego, wrażliwego
- 4)** aparat stosowany przy niewydolności serca
- 10)** lekarze, którzy słyszą szmery
- 11)** nagrała album „Heart of Stone”, piosenkę „Dov’è l’amore”
- 12)** sercówka na drzewku w sadzie
- 13)** w tytule piosenki Maryli Rodowicz, w której „od tygodnia leje w mym mieście, ścieka wilgoć po sercu i palcie”
- 14)** duet odpowiedzialny za „Last Christmas I gave you my heart...”
- 15)** adoratorzy śpiewali je nocami pod oknami swych wybranek
- 16)** „... szuka żony”, telewizyjne reality show
- 17)** Marek, nagrał piosenki „Godzina miłowania”, „Serce”

- 20)** zabieg polegający na ominięciu niedrożnego odcinka tętnicy przy pomocy przeszczepu
- 24)** kobieciarz z komedii filmowej „Och, ...”
- 25)** smallili cholewki do wiernej Penelopy
- 26)** zespół, który nagrał utwór „Heart-Shaped Box”
- 28)** człowiek o wielkim sercu, bezinteresownie pomagający innym
- 33)** „My Heart Will Go On” albo „Dumka na dwa serca”
- 35)** serce swoje, on swoje
- 36)** zdrobniale o ślubnej
- 37)** kochanka Nerona z kart powieści „Quo vadis”
- 39)** ogrodowe miejsce schadzek zakochanych
- 40)** „... miłości”, program telewizyjny

Pionowo:

- 1)** gorąca pora wielu gorących romansów
- 2)** napis na nagrobku Bolesława Prusa
- 3)** święty, patron zakochanych
- 4)** muzyka zespołu Daab („Ogrodu serce”, „Fala ludzkich serc”)
- 5)** ... serca (obumarcie części mięśnia sercowego)
- 6)** ... serca, wyczuwalne w tętnicach
- 7)** przedsionkowo-komorowa – w sercu
- 8)** komedia filmowa kojarząca się z piosenką Edyty Geppert „Szukaj mnie”
- 9)** ... miłosna (romanse, erotyki)
- 16)** masaż serca + sztuczne oddychanie
- 18)** najstynniejszy Szekspirowski kochanek
- 19)** potocznie o flirtowaniu
- 21)** ... w osierdziu, oznaka zapalenia osierdzia sercowego
- 22)** „Tam ... twój, gdzie serce twoje”, tajemnicze zdanie

- z powieści „Pan Samochodzik i templariusze”
- 23)** „Twoim jest serce me” z operetki Franciszka Lehára „Kraina uśmiechu”
- 25)** „Wznies serce nad ...”, śpiewa Ryszard Rynkowski
- 27)** nazwisko wykonawcy piosenki „Jednego serca”
- 28)** uwodziciel, casanova, bałamut, lowelas
- 29)** nazwisko siostr z powieści Jane Austen „Duma i uprzedzenie”
- 30)** Mikołaj II, mąż Aleksandry Fiodorowny
- 31)** autor komedii „Śluby panińskie, czyli Magnetyzm serca”
- 32)** potocznie o młodym przystojniaku, który usiłuje się wszystkim przypodobać
- 33)** ... na wydaniu
- 34)** grecki bóg miłości
- 38)** Leonardo i ..., czyli Jack i Rose z filmu „Titanic”

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiąż gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w **App Store** | **POBIERZ Z Google Play**

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację